


GORZKA
CZEKOLADA

LORRAINE
FOUCHET

Miedzy
niebem
La
Lou



Media Rodzina

LORRAINE
FOUCHET

Miedzy
niebem
La
Lou

Tłumaczyła
Iwona Banach

Media Rodzina

Tytuł oryginału ENTRE CIEL ET LOU

Copyright © Éditions Héloïse d'Ormesson – Paris 2016

Published by arrangement with Lester Literary Agency

Copyright © for the Polish translation by Media Rodzina Sp. z o.o., 2017

Projekt logotypu Gorzka Czekolada

Dorota Wątkowska

Projekt okładki

Ewa Beniak-Haremska

Wszelkie prawa zastrzeżone. Przedruk lub kopiowanie całości albo fragmentów książki – z wyjątkiem cytatów w artykułach i przeglądach krytycznych – możliwe jest tylko na podstawie pisemnej zgody wydawcy.

ISBN 978-83-8008-336-3

Media Rodzina Sp. z o.o.

ul. Pasięka 24, 61-657 Poznań

tel. 61 827 08 50

mediarodzina@mediarodzina.pl

www.mediarodzina.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer** firmy Elibri.

*Me'zo ganet e kreiz ar mor,
Urodziłem się pośród fal*

Yann-Ber Kalloc'h

*Skąd ona to imię ma?
Od wróżki, od czarownicy?
Może z piekiel czeluści,
czarnych jak ziemia z jej pól.
Mówią, że człowiek widzi w niej radość swą,
Mówią, że człowiek krzyż swój tu ma,
A ja mówię o wyspie Groix.*

Gilles Servat, Michelle Le Poder

*Wyspa, wyspa odchodzi,
drzemała w naszych oczach
od najwcześniejszego dzieciństwa.*

Jacques Brel

*Malarzowi Simone Marini, który
sześć miesięcy po śmierci Isabelli Peroni
podarował mi zalakowaną butelkę z zamkniętym w niej jej głosem.*

*Mieszkańcom wyspy Groix – ta ziemia rzucona w ocean należy do nich.
Wszystkim tym, którzy tam przyjechali z daleka i zostali.
Wszystkim, którym Bretania poplątała losy.*



31 PAŹDZIERNIKA

Jo, wyspa Groix

Mam na imię Joseph, ale ty nazywałaś mnie Jo. Stoję teraz z zaczerwienionymi oczyma w pierwszym rzędzie w kościele. Mam na sobie marynarkę i narzucony na ramiona turkusowy sweter. Kiedyś powiedziałaś, że lilie pachną tak pięknie, że mogłyby obudzić umarłego. Powiniennem ci kilka kupić. Miałaś ogromne poczucie piękna i miłości, ale twoje poczucie humoru było o wiele gorsze od mojego. Przez całe życie robiłaś mi marne kawały. Nie jestem w stanie pogodzić się z tym, że tak świetlista istota jak ty po prostu zgasła. To musi być jakaś pułapka i ja w nią wpadnę, nie wiem tylko kiedy.

Nasze dzieci przyплыnęły statkiem. Cyrian przyjechał porsche cayenne z Paryża ze swoją żoną Albane, córką Charlotte i psiakiem Hopla. Samochód zostawił na parkingu w Loriencie. Sarah wybrała pociąg. Przyjechała, wspierając się na lasce, bo nie chciała zawracać sobie głowy wózkiem inwalidzkim. Cyrian zajął się wszystkim, tak jak zajmuje się swoją firmą. Wybrał trumnę, napisał nekrologi do gazet i opracował książeczkę z modlitwami, ozdobioną jednym z twoich cudnych zdjęć. Nasz syn nie jest ani sympatyczny, ani zabawny, ani nawet rozczulający, ale niczego nie można mu zarzucić.

Wszystkie ławki w kościele są zajęte, z jednej strony siedzą mieszkańcy wyspy Groix, z drugiej ludzie spoza wyspy. Twoja rodzina usiadła z przodu. W tym kościele pożeniliśmy dzieci naszych przyjaciół, tu pochowaliśmy ich rodziców. Siedzieliśmy zawsze z tyłu, trzymając się za ręce. Dziś siedzę w pierwszym rzędzie jak jakiś ucniak i brakuje mi twojego dotyku.

Tabliczka wotywna statku, który wisi nad moją głową, sprawia, że dostaję mdłości. Za ołtarzem, pod krzyżem jest kotwica, obok której klęczą dwa niewzruszone anioły.

Nowy kapłan, młody ojciec Dominique sam odprawia mszę. Kiedyś można było tu umierać codziennie, teraz księża nie przyjeżdżają na wyspę w ciągu roku. Odeszłaś w odpowiednim momencie, masz prawo do prawdziwej mszy. Chór z La Kleienn śpiewa *Audite Silete* Michaela Praetoriusa. To poruszające i mocne.

Jestem głodny jak wilk, jak marynarz, jak wilk morski, czuję głód srogi jak luty, bo Lou to ty. To twoje imię. Pragnę ciebie i naszych naleśników z serem camembert i karmelem na słonym maśle. Ciężko mi na sercu – dziwne uczucie dla kardiologa. Jestem źle ogolony i nie wypastowałem butów. Moja synowa Albane jest zbulwersowana tym, że mam na sobie turkusowy sweter. Dałaś mi go na naszą ostatnią rocznicę ślubu.

To ja tu jestem wdowcem, niech się wszyscy ode mnie odwalą! Zawsze noszę sweter zarzucony na ramiona, to mój znak fabryczny. Moi kumple powiedzieli, że jeżeli umrę przed nimi, przyjdą na mój pogrzeb z tym znakiem, z Josephem narzuconym na ramiona. Nie zobaczysz tego, nie będzie cię tutaj.

Życie jest jak cebula, składa się z warstw, a teraz wszystkie warstwy twojego świata zebrały się w tym kościele. „Banda z siódmego” – nasi przyjaciele z Groix, z którymi spotykaliśmy się na kolacjach w mieście u naszej przyjaciółki Fred, siódmego każdego miesiąca – jest w komplecie. Są wszyscy członkowie SPŻKM – Stowarzyszenia Pomocy Żonom Kiepskich Mężów – które założyliśmy z Jean-Pierre’em. Pomagaliśmy żonom kolegów, którzy tylko w weekendy przyjeżdżali na wyspę, a resztę tygodnia spędzali, pracując na łądzie.

Twoja rodzina usiadła z przodu. Siedzą wyprostowani z podniesionymi głowami. Twój ojciec, pan hrabia, zmarł dwa lata temu, twoja matka zginęła

w wypadku samochodowym, kiedy miałaś zaledwie roczek. Twoje starsze siostry, jak bracia Daltonowie, usiadły według wzrostu. Nie widziałem ich od pogrzebu waszego ojca. Pozostały w rodzinnym zamku, ciebie jednak udało mi się porwać. Są podobne do ciebie, ale nie mają w sobie tego blasku, tego lśnienia, szaleństwa i marzeń. Przyjaciółki z dzieciństwa z prywatnej szkoły katolickiej, jak zawsze wierne, przybyły wszystkie. Poznają je po garsonkach, szalach, mokasynach lub balerinkach. O tej porze roku nasi przyjaciele z Groix noszą raczej ciepłe żakiety, spodnie i ciężkie buty.

Byłaś zaangażowana w Prix Clara – konkursie na opowiadanie dla młodych, nastoletnich jeszcze pisarzy. Publikowano je, by wspomóc badania w dziedzinie kardiologii. Twoi koledzy i młodzi laureaci przyjechali aż z Paryża. Mój dobry kumpel Thierry Serfaty, ordynator oddziału neurologii, jest tu z powodu naszej przyjaźni, a kolega, który teraz kieruje moim oddziałem kardiologicznym, przyjechał z grzeczności. Jakoś nigdy nie byłem w stanie go znieść.

Bardzo wcześnie, bo dwa lata temu, odszedłem na emeryturę, żeby razem z tobą móc korzystać wreszcie z życia. Wystawiłaś mnie do wiatru koszmarnie. Odfrunęłaś w nocy z soboty na niedzielę. To stało się tej samej nocy, kiedy zmienialiśmy czas z letniego na zimowy. O trzeciej nad ranem. Francuzi cofali wtedy zegarki o godzinę. Ostatni raz zagrałaś mi na nosie właśnie w ten sposób, dokładnie o tej porze wydałaś ostatnie tchnienie. Pielęgniarka była na obchodzie. Ankou, uosobienie śmierci, u nas w Bretanii przyjeżdża po dusze swoją starą, skrzypiącą furmanką. Co mu powiedziałaś: „Przestaw zegarek, bo zawalisz sprawę?”.

Wychodzimy z kościoła na dziedziniec przez wielkie wrota. Jesienne słońce oświetla tuńczyka, który króluje na iglicy kościoła. W całej Francji na iglicach są koguty, ale tu jesteśmy na wyspie w krainie ludzi morza, a to miejsce to powstały jeszcze na początku XX wieku pierwszy francuski port połowu

tuńczyka.

Na wyspie nie mamy domu pogrzebowego, brakuje klienteli, kondukt obchodzi więc kościół, aby na piechotę przejść na cmentarz. Codziennie tędy chodzę, ale dziś wyjątkowo nie zatrzymuję się na kawę w „Triskell” i nie mam ze sobą żadnej gazety. Mam za to roztrzaskane serce i rozdartą duszę.

Wierzyłaś w Boga swoich ojców, ja wierzyłem w Boga marynarzy. Opuścił mnie. Tonę na stałym lądzie, tonę w smutku, choć nawet nie wyszedłem w morze. Bije żałobny dzwon. Samochody się zatrzymują, starcy robią znak krzyża.

Arthur, beagle Fredy, sika na jedno z kół karawanu. Dziękuję mu wzrokiem, tylko on zachowuje się normalnie. Nasze dzieci, załamane, idą o krok za mną. Modłę się, żeby to wszystko było jednym z twoich dziwacznych żartów. Kondukt mija „Le Cinquante”, właściciel Jean-Louis zmienia kartę dań w zależności od tego, co pojawia się na rynku. Ty dziś zamówiłabyś *mille feuille* z pomidorów, tych ze starych odmian z mięsem z kraba i sorbetem z papryki, ja zupę z wędzonego rdzawca z algami. Dzielnie opierałabyś się zjedzeniu deseru, ja dałbym się skusić na gruszkę Belle-Hélène, a ty oczywiście ukradłabyś mi połowę. Teraz będę się opychał sam. Ta myśl łamie mi serce.

A gdybym tak zostawił połowę dla ciebie, wrócisz?

Przechodzimy koło galerii malarstwa Yannicka, Maurie i Perrine. Wskoczysz z któregoś z obrazów i przestraszysz mnie na śmierć?

Lou, byłaś tak piękna, że ślepiec zaczynał widzieć jak pilot myśliwca, a paralityk zyskiwał szybkość geparda. Nie chciałem zobaczyć cię martwej. Odmówiłem. Nie chciałem tego obrazu przed oczami, mimo że moi koledzy psychiatrzy utrzymują, że to się przydaje przy pracy nad żałobą. Ja strajkuję, to mój żałobny strajk, zawsze miałem serce po lewej stronie.

W hali krytego targu coś się dzieje, widzę ten ruch, ale niczego nie słyszę.

Zamieram. Wszyscy się zatrzymują, wszyscy oprócz czarnego karawanu, który wiezie cię w dal. Przyglądam się. Oni tam tańczą. Dostrzegam afisz naklejony na jeden z filarów: „Cichy bal zorganizowany jako sprzeciw wobec SAIK – Stowarzyszenia Artystów i Kompozytorów – i opodatkowania miejskich handlarzy, którzy słuchają muzyki na straganach”. Opuszczam pochód, podchodzę do zaimprovizowanego parkietu, dziś nikt tutaj nic nie sprzedaje.

– Tato! – szepcze zażenowany Cyrian.

– Drogi teściu! – dorzucą wylewnie jego żona Albane.

Nienawidzę, kiedy tak do mnie mówi, i specjalnie ich wkurzam. Rozkładam ręce, obracam się. Każdy tancerz tańczy po swojemu. Mają wielkie słuchawki, słuchawki nauszne, iPody, telefony komórkowe. Ja poruszam się w rytmie muzyki, którą tylko ja jestem w stanie usłyszeć. W mojej głowie śpiewa Serge Reggiani.

Kondukt pogrzebowy czeka na mnie zdezorientowany. Twoi przyjaciele z dzieciństwa szeroko otwierają oczy, twoje siostry patrzą osłupiałe. Cyrian podchodzi, żeby chwycić mnie za ramię, ale brutalnie mu się wyrywam. Wtedy Sarah upuszcza laskę, która upada na ziemię, tancerze się rozsuwają, ona obejmuje mnie i zaczynamy wirować razem.

– Fellini zmarł trzydziestego pierwszego października – szepcze mi do ucha.

Tańczymy drżący, niepewni, niezgrabni, każde w rytmie swojej własnej muzyki. Nasza córka tańczy z pewnością do jednej z melodii Nino Roty.

– Dołączę za chwilę – mówię do Cyriana tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Odchodzi niezadowolony. Jego żona zaciska wąskie usta. Ich córka Charlotte, dziewięć lat, ma to gdzieś. Jej przyrodnia siostra Pomme, która ma dziesięć lat, starsza córka Cyriana, mieszkająca u nas wraz z matką, ma twarz całą we łzach. Ledwie zna swojego ojca. Od kiedy się urodziła, ojciec wpada do niej na Groix jak po ogień, na urodziny, Boże Narodzenie i Wielkanoc. Przyjeżdżał też do ciebie z okazji Dnia Matki. Nigdy nie spotykał się z Maëlle,

swoją „byłą”, mamą Pomme.

Kończę zwrotkę: „Kocham cię, ty, która nigdy nie wydoroslejesz, nie opuszczaj mnie, kocham cię”¹. Po raz ostatni mówię do ciebie w dialekcie wyspy Groix, *me galon*, moje serce, *me karet vihan*, maleńka moja, ukochana. Potem skłaniam się przed Sarah i podnoszę jej laskę.

– Powinniśmy dołączyć do konduktu – mówię.

Sarah szepcze do Pomme:

– *Kondukt* to także wiersz Préverta, który zaczyna się od słów: „Połączany staruszek i zegarek w żałobie, królowa w rozpacz i mężczyzna Anglii, poławiacze porządku i strażnicy pereł”.

Pomme ma oczy swojego ojca, są niebieskie ze złotymi iskierkami. Jest sprytna, przestawia urywki zdań na swoje miejsca. Dołączamy do ciebie w tempie Sarah.

Żeby być naprawdę stąd, z Groix, trzeba mieć cztery tabliczki na cmentarzu. To cztery wyspiarskie pokolenia, urodzone i zmarłe na tym skrawku ziemi rzuconym w ocean, trzy mile od Lorientu. Tu się urodziłem, jestem potomkiem wielu pokoleń marynarzy rybaków, ty urodziłaś się w zamku swojego ojca jako dumna spadkobierczyni rycerzy i myśliwych. Wychodząc za mnie, straciłaś szlachectwo, ale zyskałaś Groix. Stałem się twoją bratnią duszą, twoim przyjacielem. Twoim „przybracielem”, jak mówiła Pomme, przekręcając słowa, kiedy była malutka, ale to słowo zostało.

Wyspa chroni, ale też izoluje. Ci, którzy ją kochają, przyjeżdżając tu, odnajdują zagubioną duszę. Opuszczając wyspę, zabierają ze sobą jej cień, skazują na wygnanie jej wspomnienie, żyją w oczekiwaniu na spotkanie. Groix – ta żywa, namacalna prawda, osiem kilometrów na cztery – uzależnia. Kiedy statek przepływa między dwoma latarniami wejścia do portu Port-Tudy i przybija do brzegu, człowiek czuje, że zaczyna żyć.

Wyspy i ich wewnętrzne drzenie służą za stawy duszom wyspiarzy, ale nie

chodzi o „stawy” w sensie akwenów wodnych, ale o znaki nawigacyjne, stałe obiekty, coś, co służy za punkt odniesienia na wybrzeżu. Tu człowiek nie ma wyboru, tu trzeba być prawdziwym.

Kiedy Sarah i Cyrian byli mali, powiedziałem im, że serca ludzi stąd są zatopione w morskiej wodzie. Pierwszego dnia każdych wakacji zawsze zabierałem ich na plażę, aby wypili po szklance morskiej wody. Na plażę biegaliśmy zawsze, nieważne jaka była pogoda. Piliśmy, patrząc sobie w oczy. Cyrian, starszy, pierwszy zarzucił ten rytuał. Sarah wytrzymała dłużej, chyba żeby zrobić mi przyjemność. Teraz robię to z Pomme, próbowałem też z Charlotte w tych rzadkich chwilach, kiedy tu przyjeżdżała, ale wypluwała wszystko. Albane za to wydawała piski rozhisteryzowanej mewy. Zrezygnowałem.

Widząc cię otoczoną świecami z każdej strony, z bakburty i sterburty, pomyślałem o „Czuwaniach żałobnych i innych śmiertelnych przyjemnościach” Luciena Gouronga, opowiadacza świata z Groix. Ostatnim razem, kiedy byliśmy go posłuchać, wróciliśmy do domu, śpiewając: „Straciła wianek w dolinie Kerlivio”. Teraz jestem mniej pewny siebie.

Pomme drży, kiedy wpuszczają twoją trumnę do grobu, usiłuje chwycić ojca za rękę, ale on tego nie zauważa. Charlotte pochyla się nad swoim telefonem, wykrzywia twarz. Nie ma zasięgu. Łzy zalewają oczy Pomme. Twoje dwie wnuczki mają wspólnego ojca. Rodzina jest ważna. Rodzina to błogosławieństwo, ale ja dziś po prostu czuję się jak ukrzyżowany.

Zawsze mnie dziwi, kiedy ludzie zapytani w jakimś wywiadzie o najpiękniejszy dzień ich życia, mówią: „Dzień narodzin moich dzieci”. Mój to ten, kiedy po raz pierwszy się do mnie uśmiechnęłaś. Nasze dzieci to oczywistość, ale to, że mnie pokochałaś, ty, kobieta o czarownym spojrzeniu i fantastycznej urodzie, to był dla mnie cud. Miałaś olśniewający uśmiech, wciąż jeszcze mnie oślepia, ale ciebie już nie ma i brak mi przewodnika

w ciemności.

Kiedy twoja siostra, ta najbardziej pobożna, powiedziała mi, że jesteś teraz szczęśliwa blisko Boga i Bożej chwały, odpowiedziałem jej, że to nieprawda. Ty byłaś szczęśliwa z nami. Bóg się pomylił albo wyjechał na weekend, a Jego zastępca skreślił niewłaściwe nazwisko na liście.

Dorastałem na tej wyspie. Były tu dwie szkoły: diabelska i boska, laicka i katolicka. Chodziłem do obu. Potem był internat w liceum Lorient, potem medycyna w Rennes. Harowałem jak wół i zdałem egzaminy konkursowe w Paryżu. Pobraliśmy się. Nie zgodziłem się zamieszkać w zamku twojego ojca tak jak grzeczni mężowie twoich posłusznych sióstr, miał mi to za złe.

Urodziły się nasze dzieci: Cyrian, potem Sarah. Zapożyczyłem się na dwadzieścia lat, żeby kupić mieszkanie na Montparnasse blisko dworca, z którego odchodzą pociągi do Bretanii. Wybrałem karierę w lecznictwie publicznym, a nie w prywatnym, choć tam zarabiałbym sto razy więcej. Na wakacje jeździliśmy na Groix. Wróciliśmy tam na stałe wraz z naszą radosną bandą młodych emerytów. To było cudowne. Znów staliśmy się wolni i swobodni, aż do dnia, kiedy wywinęłaś mi ten numer, ukochana. To było ostatniej wiosny. Miałaś pięćdziesiąt sześć lat, nie byłem przygotowany.

Cyrian i jego rodzina mieszkają w Le Vésinet, Sarah mieszka w Paryżu w dzielnicy Marais. Wiedzie im się zawodowo. Opuścili nas po królewsku, kiedy oświadczyłaś, że chcesz zamieszkać w domu opieki. Z krwawiącym sercem musiałem zgodzić się na twoją decyzję, nikomu nie powiedziałem dlaczego. Obowiązywała mnie tajemnica lekarska, zresztą to dotyczyło tylko nas samych, a ty nie chciałaś, żeby wiedzieli. Przyjaciele nie byli w stanie zrozumieć. Dzieci czuły się źle, wiedząc, gdzie jesteś, ale żadne nie wyraziło chęci pomocy. Cyrian uciekł w pracę i zaproponował, że opłaci kogoś do opieki w domu, Sarah poszła w picie i jednodniowych narzeczonych. Kilka razy przyjechali, żeby cię zobaczyć. Zasługiwałaś na więcej. Potem

przyjechali za późno. Od roku nie widziałaś Charlotte.

Jestem szczęściarzem. Wygrywam w monopole z Pomme, bez problemu znajduję miejsce do parkowania w Paryżu, kasy w supermarketach są otwarte, dopóki ja nie zrobię zakupów. Spotkałem ciebie i ty mnie pokochałaś. Urodziłem się pod szczęśliwą gwiazdą, ale zabrałaś ją ze sobą i teraz dookoła mnie trwa atramentowa noc. Całe życie spóźniałaś się na samoloty, pociągi, na przedstawienia, na filmy w kinie. Po raz pierwszy zrobiłaś coś przed czasem, przede mną. Gotów jestem wybuchnąć śmiechem z powodu kawału, jaki mi wywinęłaś. To o której się pośmiejemy?

Nie płaczę. Za każdym razem, kiedy chowaliśmy kogoś ze znajomych, cytowałaś powiedzenie Stana Laurela: „Nigdy więcej nie odezwę się do tego, kto zapłaczę na moim pogrzebie”. Znów myślę o wierszu Sarah. Jestem turkusowym wdowcem w niepocieszonym swetrze. Turkusowym „przybracielem” z bezbrzeżnie samotnym swetrem.

1. *Et puis*, piosenka, którą w latach sześćdziesiątych XX wieku śpiewał Serge Reggiani. (Przypisy pochodzą od tłumaczki). [\[wróć\]](#)



1 LISTOPADA

Pomme, wyspa Groix

Na wieszaku przy drzwiach wciąż wisi twój żakiet, Lou. Nikt nie ośmiela się go zdjąć. Tata, jego żona i moja przyrodnia siostra Charlotte wczoraj wieczorem przyjechali z Paryża ze swoim psem, szczeniakiem labradora wabiącym się Hopla. Przed wyjściem do kościoła Albane wyszła z nim do ogrodu i powiedziała:

– Hopla, *number one!*

Przysięgam ci, ten psiak zrobił siku. Potem powiedziała:

– Hopla, *number two!*

Hopla posłusznie przykucnął, ona wyjęła z kieszeni łapkę i zieloną, plastikową torebkę, żeby zebrać jego kupkę. Kazała mu wstać. To wariatka. Zaraz potem powiedziała do Charlotte:

– Zabezpiecz się, idź tam, gdzie król chodzi piechotą!

I Charlotte poszła do ubikacji. Kiedy wróciła, nie mogłam się powstrzymać, więc szepnęłam do niej:

– Kiedyś twoja mama się pomyli i powie: „Charlotte, *number two!*”, a potem wyjmie z kieszeni torebkę.

Moja przyrodnia siostra nie była zachwycona, ale spojrzenie Jo wyraźnie na chwilę się ożywiło.

*

Mam oczy taty, Charlotte ma jego usta. Jest ruda i ma proste włosy jak jej mama. Ja jestem brunetką i mam kręcone włosy jak moja mama. Dziś są moje

dziesiąte urodziny. Ponieważ umarłaś, w tym roku nie dostanę tortu. Mama, po cichutku, rano dała mi prezent. Nienawidzę rózu w stylu Hello Kitty, więc mój nowy zegarek jest czarny, to żałobny zegarek jak w poemacie cioci Sarah. Lubię czerní, lubię odklejające się tapety, rury, w których coś bulgocze, oszalałe z wściekłości morze, meduzy i komary.

Wyspa Groix nie oderwała się od kontynentu, ona wyłoniła się z głębin oceanu miliony lat temu – dowiedziałam się tego w szkole. Często mam taki koszmar senny, że wyspa pogrąża się w wodzie i wszyscy toniemy. Budzę się wtedy z płaczem, ale nikomu o tym nie mówię.

Mam tak samo dużo przyjaciół po stronie Primetur co po stronie Piwizi. Dawniej wyspa była podzielona na dwie części: wschodnia to Primetur, a zachodnia Piwizi. Teraz można zawierać małżeństwa i mieć przyjaciół po każdej stronie granicy. Mama i ja w czasie roku szkolnego mieszkamy w miasteczku w dużym domu u moich dziadków.

Latem wyprowadzamy się do Locmarii, do małego rybackiego domku, który mama odziedziczyła po rodzicach. Wynajmujemy pokoje gościnne, jest ruch i to sprawia, że stać nas na masło do szpinaku, choć ja szpinaku nienawidzę. Co rano jeżdżę sama na rowerze i przywożę świeże pieczywo na śniadanie dla naszych klientów. Mama zajmuje się sprzątaniami, praniem, kawą i konfiturami. Ponieważ w domku nie ma ogrzewania, zimą nie przyjmujemy gości.

Widziałam już całe mnóstwo zmarłych. Królicze maleństwa, rozjechane na drodze przez kretynów, którzy nocą przesadzają z prędkością, ptaki schwyte przez wiejskie koty i jednego topielca, którego morze wyrzuciło na plażę. Ciebie nie chciałam zobaczyć martwej, Lou. Wolę pamiętać cię w chwili, kiedy jak zwykle nie udaje ci się ciasto czekoladowe według przepisu twojej przyjaciółki Martine. Moi przyjaciele mają babcie, które im dogadzają, piekąc *far breton* i *tchumpôt*. Ty byłaś taka koszmarnie nieporadna w kuchni, że nie umiałaś nawet zrobić omleta, ale szykowałaś go z taką miłością, że go

zjadałam.

Mama i tata są pokłóceni od mojego urodzenia. Mama mówi, że to nie moja wina, ale kłamie. Moje pojawienie się rozpieprzyło wszystko, moja przyrodnia siostra Charlotte mi o tym powiedziała ze złośliwym, zadowolonym uśmiechem.

Tata chciał, żeby mama zamieszkała z nim w Paryżu, ale ona nie chciała opuścić Groix, bo gdzie indziej oddycha się źle. Nie wiem, czy to prawda, nigdy nie byłam dalej niż w Lorient. Charlotte mówi, że on zaproponował mamie, żeby mnie usunęła, ale ona odmówiła. Tata mnie nie chciał, jestem wypadkiem losowym. Za każdym razem kiedy on przyjeżdża na wyspę, mama ucieka do Locmarii, żeby go nie spotkać. Jem z nim obiad w miasteczku, ale mało rozmawiamy, a tyle mam mu do powiedzenia, że aż mnie to dławii. Tata całuje mnie, ale nie przytula. Ja mówię per ty do taty, mamy i moich dziadków. Charlotte mówi per wy do naszego taty, swojej mamy i do dziadków.

Ja zwracam się do dziadków po imieniu: Jo i Lou, Charlotte mówi: babciu i dziadku. Tata nosi ciemne garnitury i krawaty, nigdy nie wkłada dzinsów jak inni ojcowie z Groix. Wciąż wyrzeka na żądania związkowe swoich pracowników, kryzys i podatki. Jego żona Albane nigdy nie jest zadowolona. Nie lubi Bretanii, woli południe, gdzie morze jest cieplejsze. Ciocia Sarah nazywa ich córkę Charlotte „nieznośnym dzieciakiem”. Ciocia Sarah jest zachwycająca, często zmienia chłopaków. Cierpi na chorobę *neurogéné*, *neurodégé* – skomplikowana nazwa. Jest rzadka i nie da się jej leczyć. Ciocia chodzi o lasce. Jak ma kryzys, to jeździ na specjalnym wózku inwalidzkim. Na przedramionach ma tatuaże: na lewym jest z profilu Federico Fellini w wielkim kapeluszu i w szaliku, na prawym jego żona Giulietta Masina w kapelusiku i sweterku w paski z filmu *La Strada*. Mówi, że nie ma czasu do stracenia, więc korzysta z życia. Jest bardzo zdolna, skończyła École Polytechnique ¹. Tata też chciał tam studiować, ale oblał egzaminy wstępne.

Wydaje się, że do teraz nie może strawić tego, że jego młodsza siostra była od niego lepsza. Ja kiedyś zostanę lekarzem jak Jo. Będę zmuszona wyjechać stąd na studia, ale wrócę na Groix i tu otworzę swój gabinet.

Czuję wielki smutek z powodu twojej śmierci, Lou, ale mniejszy niż wtedy w lipcu, tego dnia, kiedy zdarzyło się to, o czym przyrzekłam nikomu nie powiedzieć. Okłamałam wszystkich, nawet mamę, powiedziałam, że to wina tego rudego kota Triborda. Dawno temu marynarzy z Groix nazywano Greks. Kiedy łowili na tuńczykowcach, wielkich *dundees*², statkach rybackich o płaskim dnie, ustrojonych w brunatne żagle i płynących *hatoup* (na pełnych żaglach), mieli wysokie emaliowane kafetery, które nazywano „greks”.

Tego dnia, o którym mówię, obie poparzyłyśmy się wrzącą kawą z naszej kafeterki. Natychmiast włożyłam twoje ręce i moją twarz pod zimną wodę. Miałyśmy bąble, ty na palcach, ja tuż przy kąciku oka, to zostanie mi już na całe życie. Zachowam twój sekret. Obiecuję.

Potem przeprowadziłaś się do domu opieki. Najpierw myślałam, że to tylko na chwilę, ale nie wróciłaś już do domu. Śmierć jest na całe życie, na wieki wieków amen. Dziś rano w kościele w kazaniu ojciec Dominik powiedział, że jesteśmy rodziną bardzo ze sobą zżytą. Prawdę mówiąc, tylko udajemy. Ty jedna kochałaś nas wszystkich. Tata już pewnie nogi nie postawi na Groix, przyjeżdżał tu tylko dla ciebie. Na cmentarzu wzięłam go za rękę, ale on cały zeszywniał. Zrobiło mi się wstyd, więc się odsunęłam. Chciałam go tylko pocieszyć i przestać się bać. Jestem dla niego ciężarem.

Mama pracuje w Księgarni głównej ze swoimi koleżankami Marie-Christine i Céline. Zarabia na nasze życie, nie chce pieniędzy od taty. Charlotte mówi, że jestem mu ciężarem, ale nie kosztuję go złamanego grosza i jestem chuda, podczas gdy ona jest okrągłutka. Może sobie być moją półsiostrą, ale jest dwa razy cięższa ode mnie.

Podczas mszy wnuk jednej z twoich sióstr, ten, który jest sopranem, solistą

w jednym z paryskich chórów, zaśpiewał coś tak pięknego, że aż zadrżałam. To się nazywało *Pie Jesu*. Słabo znam swoich kuzynów. Jak mieszkasz na wyspie, przegapiasz rodzinne spotkania. Jo, tata, Albane i Sarah popłyną jutro do Lorientu do notariusza. Po raz pierwszy będę sama z Charlotte.

Kilka dni przed dniem, kiedy zdarzyło się to, o czym nie mogę mówić, bo obiecałam milczeć, Jo i ty nauczyliście mnie robić masaż serca. Ależ się uśmialiśmy! Jo pożyczył gdzieś fantoma, który służy do szkolenia ratowników. Położyłam prawą dłoń u dołu mostka fantoma, a lewą na niej, miałam wyprostowane ręce, Jo powiedział mi, żebym naciskała regularnie z szybkością sto ucisków na minutę. Miałam problemy z liczeniem, a wtedy ty wzięłaś swój telefon i na cały regulator puściłaś piosenkę, radząc, bym skoncentrowała się na rytmie. Będę ją już zawsze słyszała w głowie. To piosenka z zeszłego wieku *Staying Alive* zespołu, który nazywał się Bee coś tam. Ryczeliśmy razem: „And we’re stayin’ alive, stayin’ alive! Ah ha ha ha, stayin’ alive, stayin’ alive! Ah ha ha ha, stayin’ aliiiiive!”. To znaczy: „pozostać żywym”. Zapytałam Jo, czy w domu opieki, kiedy twoje serce przestało bić, robili ci masaż przy tej piosence. Powiedział, że spałaś spokojnie i że czasem pozostać żywym, to nie jest najlepsze wyjście.



Lou, tam, gdzie idzie się potem

Zmarłam, ale teraz już wszystko sobie przypominam, jakbym czytała swoje maile po tygodniach nieobecności. Miałam obejmującą kilka miesięcy dziurę w pamięci, coś jak błąd w programie komputerowym.

Msza na moją cześć była piękna. *Audite Silete* i *Pie Jesu* poruszyły serca. Przybyli wszyscy ci, na których obecności mi zależało. Moje siostry, które

mimo wszystko są moimi siostrami, koleżanki ze szkoły, cudowni współpracownicy z konkursu Prix Clara, twój stary kumpel Thierry, twój następca, który został kalifem na miejsce kalifa, i tylu wyspiarzy, że można by zrobić z nich ekipę całkiem sporej flotyli rybackiej.

Kocham cię, ale nie mogę ci już tego powiedzieć, i to zasmuca moją duszę. Chciałabym cię dotknąć, osuszyć łzy Pomme, skonfiskować komórkę Charlotte, która udaje obojętną, żeby ukryć emocje. Widziałam, jak ściskasz Sarah, mój przybraciela, widziałam was oboje wczepionych w siebie nawzajem jak w koło ratunkowe. Ładnie wyglądasz w tym turkusowym swetrze, wahałam się, wybierając kolor, ale dobrze wybrałam. Widziałam Cyriana, jak chwiał się z bólu, i rękę Pomme szukającą ręki ojca, widziałam, jak Maëlle wahała się, czy nie objąć go w uścisku, widziałam Albane patrzącą na nią z niemal namacalną nienawiścią.

Przewijam film do początku, widzę nasz ślub, naburmuszone miny naszych rodzin i nasze szczęśliwe uśmiechy. Znowu czuję dotyk twojej skóry na moim ciele, twój zapach, twój smak i odlatuję wraz z tobą oszalała z miłości. Widzę twoją dumę przy narodzinach Cyriana i szczęście przy narodzinach Sarah. Twoją powagę na obronie doktoratu z medycyny. Twoją rozpromienioną twarz, kiedy zostałeś ordynatorem. Twoje łzy za każdym razem, kiedy śmierć wydzierała ci któregoś z pacjentów. Wybuchy radosnego śmiechu, kiedy udawało ci się ich uratować. Poruszenie, kiedy Thierry nadał nazwę chorobie Sarah. Moją panikę, kiedy Pomme się oparzyła.

Moje ręce czują dotyk myśliwskiej strzelby w chwili, kiedy zastałeś mnie nocą w swoim gabinecie. Moje uszy słyszą wiedeński koncert noworoczny, którego po raz kolejny słuchaliśmy przytuleni do siebie pierwszego wieczora mojego pobytu w domu opieki. Mój oddech znowu zwalnia w ostatecznym momencie. Żadnego strachu Jo, żadnego bólu, jak woda lub piasek przepływający przez palce. Krople wody nie odczuwają cierpienia, stając się

pianą, ziarenka piasku nie czują cierpienia, rozsypując się po plaży.

Uśmiecham się, myśląc o młodym notariuszu z Lorientu, któremu powierzyłam swoją delikatną misję. Wiem, że uparcie będziesz nazywał ją pułapką. Jesteś najlepszy. Uda ci się. Nigdy mnie nie zawiodłeś. A właściwie kiedyś tak, jeden jedyny raz.

1. École Polytechnique w Paryżu. [\[wróć\]](#)
2. *Dundee* lub *dundée* – żaglowy statek używany pod koniec XIX wieku i na początku XX wieku do połowu tuńczyka. [\[wróć\]](#)



2 LISTOPADA

Jo, Lorient

Mogłaś wybrać notariusza stąd, z Groix, ale nie! Musiałaś pojechać aż na kontynent, na stały ląd. Musiałaś wsiąść na statek, nic mi o tym nie mówiąc, wtedy kiedy jeszcze byłaś niezależna, świadoma i zdolna się poruszać. Kiedy jeszcze pamiętałaś, że się kochamy.

Nigdy nie wątpiłem w twoją miłość do mnie i do dzieci. Byłaś z nimi bardzo mocno związana, ja się nie mieszałem do waszych relacji. To nie było miejsce dla mnie. Dzieci zostawiłem tobie, powierzyłem ci je. Pracowałem. Zarabiałem na mieszkanie, na ich szkoły, na ich studia, aparaty dentystyczne, okulary, lekcje muzyki, korepetycje z matmy, obozy żeglarskie, modne ubrania i komputery. Kiedyś wyznałem ci, że o wiele bardziej wolę Sarah niż Cyriana, i czuję się z tego powodu winny wobec niej.

Skoczyłaś na mnie wściekła:

– Jest cudowna, zachwycająca, będzie kiedyś silna i szczęśliwa!

Jakaś niewidzialna dłoń ściska mi serce, kiedy myślę o tym idiocie z interny, który powiedział:

– Choroba pańskiej córki nie jest dziedziczna, ale często się zdarza, że w rodzinie bywały już wcześniej podobne przypadki. Chcecie wiedzieć, z której strony to przyszło?

Razem wykrzyknęliśmy: „Nie!”, aby wspólnie nieść ten ciężar.

Lou, twoja nieobecność gasi słońce. Żaden antydepresant ani żaden psycholog mi ciebie nie zwróca. Uwielbiałem życie z tobą. Myśl o tym, które teraz mnie czeka, przyprawia mnie o mdłości. Czuję się tak, jakby na każdy

posiłek podawano mi zapiekankę z kalafiora, której nie znosiłem, będąc dzieckiem.

Przedwczoraj kondukt odprowadził cię z kościoła aż do miejsca twojego ostatniego spoczynku. Dziś rano procesja ku czci wszystkich zmarłych idzie z kościoła pod pomnik upamiętniający marynarzy, którzy zginęli na morzu.

W tym roku ją sobie odpuszczę. Kiedy ludzie się pobierają, zwyczaj wymaga, by przez okrągły rok siadali przy stole obok siebie. Kiedy jesteś wdowcem z jednodniowym stażem, człowiek zajmuje się tylko swoją własną żałobą.

– Moje kondolencje, doktorze.

Uścisk dłoni młodego notariusza jest mocny i zdecydowany, jego ton współczujący. Gabinet jest dzisiaj w zasadzie zamknięty. Notariusz wziął wolny dzień. Otworzył specjalnie dla nas, bo nasze dzieci wyjeżdżają jutro do Paryża ze względu na pracę. Na ramiona narzuciłem sweter w kolorze zachodu słońca.

Facet nas nie zna. Widzi przed sobą potężnego mężczyznę z Groix ze sterczącymi włosami na głowie, śmiesznym nosem i pomarańczowym swetrem. Jego syna, podobnego do niego jak dwie krople atlantyckiej wody, tyle że w wersji paryskiego bubka. Grzeczną synową o marchewkowych włosach obciętych na pazia i prześliczną blondynkę, naszą córkę wspartą na lasce.

Cyrian nie czuje się ze mną dobrze, od kiedy tak nagle zniknęłaś. Jeżeli chodzi o Sarah, trzeba o wiele więcej, żeby zbić ją z tropu.

Kiedy ludzie są zażenowani, widząc ją na wózku inwalidzkim, mówi do nich prowokacyjnym szeptem: „Jestem syreną, mam długi rybi ogon zamiast nóg”.

– Ojciec bardzo panu dziękuje... – zaczyna Cyrian.

Muszę natychmiast zaznaczyć swoje terytorium, inaczej będzie katastrofa.

Zabierze mi moje miejsce i będę musiał odejść do jakiegoś domu starców.

– Jestem wdowcem, a nie sklerotykiem, Cyriane. Twoja matka zgasła, ale ja nadal tu jestem. Nie mów więc w moim imieniu. Zrozumiano?

Jakoś to znosi. Zagryzam dolną wargę. Dlaczego powiedziałem: „zgasła”? Znów widzę cię w letniej sukience, widzę twoje opalone, długie nogi, dumne piersi, twoje pełne usta. Starsze panie umierają, piękne kobiety gasną. Zgasłaś, Lou, i zostawiłaś mnie z raną w sercu.

Notariusz drapie się po szyi. Jego džinsy są nieskazitelne, kamizelka ma krokodyla na piersi. Jest podobny do twoich siostrzeńców mieszkających w zamku. Twój ojciec długo miał mi za złe, że cię uwięziłem na swojej wyspie.

Był twardy jak skała, a upadł jak podcięte drzewo, sam w swoim otoczonym fosą parku, pośród łabędzi. Miał rację, chcąc, żebyśmy z nim zamieszkali. Gdybym ja tam był, być może bym go uratował.

Twój notariusz ma snobistyczny akcent. Też takim się posługiwałem, aby pacjenci, którzy mówili podobnym językiem, czuli się pewniej, ale w snach mam akcent ludzi z wyspy. Odkryłaś to, bo mówię przez sen.

– Zmarła – notariusz zaczyna z pompą – zapisuje w testamencie swoją część mieszkania w dzielnicy Montparnasse mężowi, a przynależne jej części domu na Groix wspólnie obojgu dzieciom.

Tę decyzję podjęliśmy razem, żeby zachęcić Cyriana i Sarah do powrotu na wyspę. Dom jest dosyć duży, żeby się w nim swobodnie pomieścić, będę go dla nich utrzymywał.

– Teraz odczytam wam jej ostatnią wolę – ciągnie notariusz.

Cyrian i jego żona siedzą na brzegach krzesel, Sarah umościła się na swoim, Federico i Giulietta znaleźli swoje miejsce na poręczach. Notariusz unosi brew, widząc te tatuaże.

– „Jo, Cyrian i Sarah, proszę was, pozostańcie razem, podtrzymujcie

tradycje, zachowajcie nasze wartości rodzinne. Spotykajcie się nadal na Groix na święta”.

Nasze dzieci posłusznie kiwają głowami.

– Nie zostawimy was samego na Boże Narodzenie ani na Wielkanoc, drogi teściu! – wykrzykuje z emfazą Albane.

Nigdy nie przeszła ze mną na ty i nadal mówi do mnie przez „wy”.

– Jasne jak słońce – rzuca Sarah, mrugając do mnie porozumiewawczo.

– „Pragnę, aby Pomme i Charlotte nauczyły się od mojej przyjaciółki Lucette robić *tchumpôt*...?” – czyta notariusz, ale w jego głosie słychać wyraźny znak zapytania.

Wymawia to słowo tak, jak je napisano, podczas gdy wyspiarze wymawiają to „czumpoote”. To ciasto na bazie solonego masła i ciemnego cukru, przy którym *kouign amann* wydaje się wręcz dietetycznym deserem. Nigdy wam się nie udawało.

– Albane chodziła na kursy kulinarne do jednego z wielkich szefów kuchni – mówi Cyrian. – Pomoże Charlotte.

Żal mi tego wielkiego szefa kuchni, biedak musiał znosić moją synową. W *tchumpôt* jest mnóstwo cukru i miłości, a tego nie używa się na kursach dla depresyjnych paryżanek.

Notariusz rzuca mi zdziwione spojrzenie. Uśmiech zamiera na moich ustach. Seria skurczów ekstrasyistolicznych ściska moje serce. Dyskretnie kładę kciuk i palec wskazujący na nadgarstku, żeby sprawdzić puls. Szaleje, ale nie czuję bólu. Szkoda. Dostać zawału u notariusza, to by było coś. Napisałiby o mnie w „Ouest France” i w „Le Télégramme”. Twoje dzieci tu są, mógłbym wykitować jako następny. Mówi się wykitować albo „rozbić” fajkę, bo kiedyś wkładano umierającym pomiędzy zęby glinianą fajkę. Gdy ktoś umierał, jego dolna szczęka opadała, a fajka spadając na ziemię, rozbijała się. Otwieram usta tak, jakbym wypuszczał z nich niewidoczną fajkę. Sarah to zauważa. Błysk

w oku notariusza nie daje mi spokoju. Zastawiłaś na mnie jakąś pułapkę, dobrze cię znam.

– Zmarła dorzuciła kodycył specjalnie dla pana, doktorze, z zapisem, który jest do niego dołączony.

No właśnie. Co mam zrobić, Lou? Skoczyć na bungie z Port-Saint-Nicolas? Wspiąć się na dzwonnice kościoła i ukraść tuńczyka? Przemalować dom opieki na czerwono w niebieskie groszki? Czuję, że to będzie cholernie zabawne.

– Mam obowiązek przeczytać wam wszystkim pierwszy paragraf.

Robi przerwę dla osiągnięcia efektu. Zachowuje się tak, jakby prowadził jakieś reality show.

– „Jo, mój mężu”.

Robię grymas, słysząc, jak ten gówniarz wypowiada twoje słowa.

– „Naprawdę cholernie się kochaliśmy”.

Zaczynasz od pochlebstwa. Instynktownie chowam głowę w ramiona, przygotowując się na cios.

– „A jednak zdradziłeś mnie, ukochany”.

Drzę pod wpływem szoku. Sądzisz, że to jest zabawne? Patrzyłem na inne kobiety i nie tylko. Na temat niektórych fantazjowałem. Pragnąłem ich, ale nigdy cię nie zdradziłem, a jeżeli wierzyć w to, co mówią o mnie moi koledzy, to jestem gatunkiem na wymarciu. Zakochanym dinozaurem.

Cyrian gromi mnie wzrokiem, Albane przybiera zdeglustowaną minę. Sarah jest zaskoczona. Pomme i Charlotte z pewnością w tej chwili usiłują się pozabijać gdzieś na wyspie.

– To śmieszne – mówię z wymuszonym uśmiechem.

Notariusz podnosi rękę.

– Pozwólcie mi skończyć. „Okłamałeś mnie, ale ci wybaczam. Nie życzę sobie, aby dzieci wiedziały więcej na ten temat. To dotyczy tylko nas obojga.

Teraz muszą wyjść. To, co usłyszysz za chwilę, przeznaczone jest jedynie dla twoich uszu, Jo”.

Notariusz wskazuje drzwi. Cyrian wstaje i kiwa głową, odwracając się do mnie plecami. Albane idzie za nim, patrząc na mnie, jakbym był zepsutą ostrygą w koszu zdrowych okazów. Sarah wychodzi, trącając mnie lekko laską. Drzę z wściekłości i zarazem mam ochotę wybuchnąć śmiechem, bo to najwspanialszy głupi kawał, jaki kiedykolwiek mi zrobiłaś. To paskudne, Lou, wredne, ale to działa. Brawo, jesteś najlepsza. I jak ja mam teraz im udowodnić, że to nie jest prawda?

– „Te słowa są przeznaczone dla twoich i tylko twoich wielkich uszu” – ciągnie notariusz nieporuszony. – „Jeżeli je słyszysz, to znaczy, że odeszłam przed tobą, tak więc to, co powiadają, jest prawdą: ludzie, którzy mają uszy tak wielkie jak uszy słonia Dumbo, żyją dłużej. Byłam tego pewna!”.

Lou, ty rzeczywiście masz gówniane poczucie humoru.

– „Jesteś zdezorientowany i wściekły. Nie mam do ciebie żalu, Jo, ale zaciągnąłeś u mnie dług honorowy. Powierzam ci delikatną misję. To będzie twoja kara”.

Nie żartujesz? Naprawdę wierzysz, że nie byłem ci wierny? Już wtedy, kiedy poszłaś do notariusza, miałaś przywidzenia? Gdybym wiedział, czerpałbym pełnymi garściami. Dziewczyny, które opiekowały się wnukami naszych przyjaciół, były pierwsza klasa! A ta szwedzka turystka, której naprawiałem przebitą oponę roweru? Mógłbym, gdybym chciał. Powinienem był, przynajmniej twoje oskarżenia miałyby sens, ukochana.

– „Oto misja, którą ci powierzam, mój przybracielu” – ciągnie notariusz. – Przybracielu?

– Wyrażenie rodzinne. Proszę kontynuować.

– „Proszę cię, abyś zadbał o szczęście naszych dzieci, którymi nigdy się nie zajmowałaś. Byłeś cudownym kochankiem, wspaniałym mężem i nieobecnym

ojcem. Twój dziadek i ojciec wyruszyli na dalekomorskie połowy, ty powtórzyłeś ten model. Twoi przodkowie byli na morzu, ty miałeś dyżury w szpitalu. Każde z naszych dzieci odniosło sukces zawodowy, ale nie są szczęśliwe. Jeżeli mój notariusz czyta ci dziś ten list, to oznacza, że ja dla nich nie mogę już nic zrobić, więc powierzam je tobie. Cyrian jest mężem i ojcem, Sarah jest wolna, ale skacze z kwiatka na kwiatek. Oboje nie wiedzą nic o miłości. Przywracałeś do życia pacjentów z płaskim elektrokardiogramem. Proszę cię, byś przywrócił uśmiech tym dwojgu młodym, dorosłym ludziom, którzy noszą twoje nazwisko. Masz wolną rękę. Szczęście jest zaraźliwe, a ja mam dla ciebie niespodziankę”.

Po co ta farsa, Lou?

Notariusz ciągnie niewzruszony.

– „Cyrian i Sarah o niczym nie mogą się dowiedzieć. Zabraniam ci im o tym mówić. Zabraniam ci także mówić bandzie z »siódmego«. To nie jest *mission impossible*. Masz tyle czasu, ile chcesz, nie mniej jednak niż wyznaczony przeze mnie okres wynoszący dwa miesiące, od którego nie ma odwołania. Ta wiadomość nie ulegnie samozniszczeniu”.

Notariusz podnosi na mnie wzrok.

– To aluzja do filmu z Tomem Cruise’em.

– Wcale nie, to odniesienie do serialu z Peterem Gravesem i Barbarą Bain. Jeszcze pana nie było wtedy na świecie, puszczała go w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym.

– Rozumie pan, o co chodzi z tą „bandą z siódmego”?

Potakująco kiwam głową.

– A co to za niespodzianka?

– Pańska małżonka napisała list zaadresowany do pana i pańskich dzieci. Oddam go panu, kiedy doprowadzi pan powierzoną mu misję do końca.

– Niech pan natychmiast odda mi ten list! – krzyczę. – Sarah i Cyrian są

dorośli, mieszkają o pięćset kilometrów od Groix, sami wybrali sobie takie życie. Lou była chora, to choroba podsunęła jej ten groteskowy pomysł. Jestem lekarzem, więc wiem, o czym mówię. Pan jest notariuszem i nie ma pan kwalifikacji, by oceniać szczęście innych.

– Moja rola ogranicza się do tego, bym przekazał panu wolę zmarłej, doktorze. Nie będę osądzał sposobu, w jaki pan będzie działał.

– Kto to zrobi?

– Zadałem jej to samo pytanie. Odpowiedziała, że ma do pana całkowite zaufanie.

– A zarzuca mi, że ją zdradziłem?

Notariusz wzrusza ramionami z fatalizmem.

– W moim zawodzie wszystko może się zdarzyć. Ten testament jest bardziej rozsądny niż wiele innych. Jeżeli pan czuje w duszy i w sumieniu, że pańskie dzieci są szczęśliwe, proszę do mnie wrócić za dwa miesiące. Złamię pan pieczęć i będzie pan mógł przeczytać list. Życzę powodzenia, doktorze.

Wstaje, chcąc dać mi znać, że spotkanie jest skończone. Wróci do domu, będzie cieszył się wolnym dniem, który trochę mu zepsułem. Ja będę musiał stawić czoło dzieciom.

– Niech pan zaczeka minutę. Mówił pan o pieczęci? Koperta jest zamknięta pieczęcią?

– Nie ma koperty.

Notariusz otwiera szufladę biurka, wyjmuje niewielką butelkę, którą stawia przede mną. Jest zalakowana. Etykieta jest zdrapana, brakuje dwóch ostatnich liter nazwy, teraz można przeczytać „Champagne Merci” ¹. Butelka zawiera dwa złożone kawałki papieru. Poznaje ją. Ostatnim razem widziałem ją kiedyś w czerwcu, w dzień zrównania dnia z nocą. Byłem jeszcze zapracowanym ordynatorem, Pomme miała jakieś trzy miesiące.

1. Chodzi o markę Mercier. [\[wróć\]](#)



DZIESIĘĆ LAT WCZEŚNIEJ

Lou, wyspa Groix

Wieczór letniego przesilenia. Przygotowałam nam kanapki z miłością. Mogę sobie chodzić na kursy gotowania, ile tylko czasu zechcę, i mieć całą półkę książek kucharskich i tak wszystko, czego tknę, natychmiast staje się niejadalne. Podjęłam decyzję. Wiedząc, co cię czeka, kupiłeś chipsy i truskawkowe Tagada Haribo. Jedziemy na skuterze na piknik nad morzem. Jesteśmy sami na plaży, siedzimy na ogromnym ręczniku obserwowani przez wielką mewę żółtonogą, zachwyconą podarkami. Ona nas już zna i wie, że nie damy rady zjeść moich kanapek. Zjesz mimo wszystko kawałek swojej, żeby zrobić mi przyjemność. Sarah i jej narzeczony Patrice właśnie zdali egzaminy do École Polytechnique. Pojechali na Korsykę na wielką wyprawę pieszą GR 20¹. Ślub w październiku, zaproszenia już wysłane. Cyrian stanął do tych samych egzaminów wstępnych, ale oblał je, jego nowa przyjaciółka Albane go pociesza. Mówisz, że to go ustawi do pionu. Ja uważam, że to poniżenie wcale nie było mu potrzebne. Jesteś cudownym lekarzem, ukochany, ale nie rozumiesz naszego syna. Ty zrobiłeś wszystko, by zostać ordynatorem, Cyrian tak bardzo boi się ciebie zawieść, że ten strach go po prostu paraliżuje. Wolisz Sarah i on to czuje. Uważasz, że Albane jest głupiutka, nazywasz ją Éliane, Ariane, Morgane, twój mózg jakoś nie potrafi zapamiętać jej imienia. Wolałeś tę, którą kochał wcześniej, Maëlle – mamę Pomme, ośmiomiesięcznej Pomme, za którą szalejemy oboje. Jestem matką wariatką, matką kwoką, dopóki moim kurczaczkom dobrze się wiedzie, gdakam z radości, a ty możesz robić za koguta. Pokochać dziecko, to odbyć żałobę po tym, które się wymarzyło,

wyśniło, to zaakceptować dziecko takim, jakie jest, a nie takim, jakie sobie wymarzyliśmy. Ty nie wybrałbyś Cyriana na przyjaciela, ale to nasz syn Jo, to twój syn, jest do ciebie podobny.

Plaża Grands Sables to jedyna w Europie wypukła plaża, na dodatek wędrowna. Prądy morskie, które opływają wyspę, zmiatają z niej piasek, a potem odkładają go w innym miejscu. Po nawałnicach plaża przemieszcza się na północny zachód, o wieleset metrów wychodząc poza cypel z latarnią La Croix.

Przywiozłam ze sobą małą butelkę szampana Mercier i dwa wysokie kieliszki, prawdziwe, nie plastikowe. Ty strzelasz korkiem dokładnie w chwili, w której słońce zanurza się w morzu. Masz na ramionach czerwonego Josepha. Brakuje tylko *Adagio for Strings* Barbera pod batutą Leonarda Bernsteina i bylibyśmy w raju.

– Za miłość – rzucasz.

– Popatrz na mnie, pijąc, Jo, bo jak nie, to czeka nas siedem lat bez seksu!

Pośpiesznie wykonujesz moje polecenie. Strategicznie zaczynam poruszać pionkami.

– Myślisz o jakiejś piosence, przybracielu?

Spodziewam się, że twój wybór to: Barbara, Reggiani albo Brel. Ty intonujesz piosenkę Serge'a Lamy, zmieniając słowa, śpiewasz Lou zamiast „l'eau” ² i nagle już się nie rymuje. „Wyspa między niebem a Lou! Wyspa bez ludzi i statków”.

Ja odpowiadam słowami Michela Fougaina i jego Big Bazar:

– „Opiewaj życie, opiewaj, tak jakbyś umrzeć jutro miał!”.

Zaczyna się odpływ, morze pozostawia na brzegu algi i muszle. Z zakotwiczonego żaglowca dochodzą nas śmiechy.

– W wieczór przesilenia wszystko staje się symbolem, Jo, jesteśmy dokładnie w połowie roku i naszej egzystencji. My też przekroczyliśmy

pewien punkt.

– Trzeba korzystać z każdej chwili, *carpe diem*. Twoja kanapka jest obrzydliwa, ale pocałunki cudowne.

Pochylasz się nade mną, odpycham cię.

– Kocham cię od chwili, kiedy po raz pierwszy spojrzaleś na mnie na ślubie mojego kuzyna. Tańczyłeś tak koszmarnie źle, że byłeś z tego powodu wręcz zachwycający.

– To kłamstwo, jestem giętki i pełen gracji. Dziewczyny były zachwycone, gdy prosiłem, żeby zatańczyły ze mną slow.

– Bo tańczyłeś rocka jak słoń i deptałeś im po palcach. Slow jest mniej ryzykowny.

Zauważyłam cię z powodu tego niestosownego granatowego swetra na ramionach. Ja za to podobna byłam do kanarka w tej mojej żalostnej żółtej sukieneczce. Złożyłam swoje serce na mostku twojego statku.

– Wiesz, po raz pierwszy w życiu byłem w zamku, Lou, pierwszy raz widziałem pana młodego we fraku i kobiety w innych nakryciach głowy niż bretońskie czepce. Byłem pod wrażeniem, potem zauważyłem ciebie i już wiedziałem...

Byłam niezbyt dobrze ubrana, bez matki gorzej się dorasta. Mój ojciec posiadał zamek, ale nie posiadał fortuny, wszystko szło na naprawę dachów i fos. Jestem piątą z kolei córką, więc dziedziczyłam sukienki po starszych siostrach. Były źle skrojone dla nich, nieodpowiednie dla mnie. Podszedłeś i powiedziałeś:

– Ma pani oczy w kolorze złamanego błękitu, chętnie bym je posklejał.

A ja odpowiedziałam, że taki kolor nie istnieje, na co ty powiedziałeś zdecydowanie:

– Ależ istnieje! Jest wariantem złamanej bieli.

– Naprawdę tańczyłeś jak słoń w składzie porcelany – powiedziałam

bezlitośnie. – Musisz mi coś obiecać, Jo.

– Tylko nie zmuszaj mnie do zjedzenia twoich kanapek!

– Mówię poważnie. Muszę mieć pewność, że mogę na ciebie liczyć.

Tłumaczę ci, o co chodzi, ty odmawiasz. Nalegam. Siedzimy godzinami na plaży, dyskutujemy, dzielimy włos na czworo, przytulamy się. Kończymy butelkę, mewa odlatuje z resztką mojej kanapki w dziobie. Ty się upierasz, ja argumentuję. Nadal się nie zgadzasz. Przechodzę do fazy drugiej i zaczynam bezgłośnie płakać. Łamiesz się i w końcu, chcąc osuszyć moje łzy, przyrzekasz. Składam na twoich ustach długi, namiętny pocałunek i szepczę:

– To nie jest wezwanie z osiemnastego³ czerwca, to wyzwanie z dwudziestego pierwszego, mój ukochany.

Pożyczam twój nóż, przycinam korek od szampana, z kieszeni wydaję kartkę. W należytej formie spisuję na niej umowę, którą oboje podpisujemy. Wkładam kartkę do pustej butelki, układam usta wokół szyjki i wykrzykuję do wnętrza słowa, których nie możesz usłyszeć, potem zamykam ją korkiem. Następnie zdrapuję z etykiety dwie ostatnie litery nazwy. Zamiast Mercier zostaje tylko Merci.

Jest ciepła wiosenna noc. Wracamy do miasta skuterem. W domu, na automatycznej sekretarce czekają na nas dwie wiadomości, które zmieniają nasze życie raz na zawsze. Pierwsza jest od Cyriana, który zawiadamia nas o swoich zaręczynach i przyszłym małżeństwie, a zaraz potem o tym, że w rodzinie pojawi się kolejne dziecko. Druga jest od Sarah, nasza córka jest tak przerażona, że nie rozpoznaję nawet jej głosu.

– Mamo, tato, coś jest nie tak, nie jestem w stanie normalnie chodzić, rezygnujemy z GR dwadzieścia. Patrice i ja wracamy pierwszym samolotem do Paryża.

Ja panikuję, ty starasz się mnie uspokoić. Mówisz, że Sarah jest wyczerpana po przygotowaniach do egzaminu, zajmiesz się nią. Oddajesz ją na oddział do

swojego przyjaciela. Thierry Serfaty jest najlepszy.

Thierry szybko stawia diagnozę i niebo wali nam się na głowy. Patrice zrywa zaręczyny z Sarah, szczury uciekają z tonącego okrętu. Proponujesz, że go rozgnieciesz na miazgę i w ten sposób zrobisz sobie powtórkę z anatomii. Sarah nigdy więcej nie wypowie jego imienia. Odwołujemy ślub. Patrice zaczyna studia na École Polytechnique, Sarah traci pół roku w szpitalu na badaniach i analizach, wróci na politechnikę w następnym roku. Cyrian i Albane pobierają się, rodzice dziewczyny zajmują się wszystkim. Chciałbyś opóźnić ceremonię, ale brzuch Albane się zaokrągliła i nie mamy wyboru.

Zmiażdżona bólem Sarah dzielnie uśmiecha się na zdjęciach obok państwa młodych. Wspiera się na lasce, którą ozdobiła białym tiulem i złotymi cekinami. Siedząc obok mnie na mszy w pierwszym rzędzie, podwija rękawy i pokazuje mi swoje tatuaże. Są nowe, Federico i Giulietta, oni jej nigdy nie zdradzą.

1. GR 20 – szlak pieszy na Korsyce, przebiegający przez prawie całą wyspę w kierunku północ-południe. Często uznawany za najtrudniejszy szlak pieszy w Europie. [\[wróć\]](#)
2. L'eau (franc.) – woda. [\[wróć\]](#)
3. Chodzi o przemówienie do narodu francuskiego, wezwanie de Gaulle'a do walki z niemieckim okupantem. [\[wróć\]](#)



2 LISTOPADA

Jo, Lorient

Nigdy potem nie widziałem tej butelki z listem i twoim głosem uwięzionym wewnątrz. Aż do dziś jej nie widziałem. Teraz są w niej dwa listy, ten z zapisem sławetnej umowy i drugi, list do mnie i do naszych dzieci. Zalakowałaś ją. Teraz rozumiem, co masz mi do zarzucenia. Nie zdradziłem cię, ale nie dotrzymałem umowy. Zaczyna kręcić mi się w głowie, przytrzymuję się poręczy fotela. Notariusz jest zaniepokojony, jednak nie martwi się o mnie, tylko o swój wolny dzień. Jeżeli umrę w jego gabinecie, będzie miał opóźnienie.

– Proszę się nie martwić. Na sali jest lekarz – mówię, aby go uspokoić.

Facet nie wygląda na rozbawionego.

– Zawołam pańskie dzieci.

– Nie, już w porządku. Zdenerwowałem się tylko. W tej butelce jest głos mojej żony.

Ten młody duppek bierze mnie za starego dupka, a ciebie za zmarłą. Wiem, że twój głos zgasł razem z tobą, że nie usłyszę cię, kiedy otworzę butelkę, a jednak mam nadzieję – podobnie jak kiedyś wierzyłem ojcu, kiedy kazał mi słuchać morza w muszli. Muszle spiralne podlegają złotemu podziałowi jak słupki kwiatów, piramidy i katedry. Ty byłaś moim złotym podziałem. Wypełnię twoją ostatnią wolę. Z miłości i dlatego, że chcę przeczytać to, co dla nas napisałaś, ale ty nie masz racji, nasze dzieci są szczęśliwe. Rodziny lekarzy leczy się najgorzej. Ich dzieci mają wyrostki z komplikacjami, ich rodzice mają problemy podczas narkozy. Ja też zostałem sowicie obdarowany.

Sarah nie ma stwardnienia rozsianego, ma jedną z tych skrajnie rzadkich chorób. Ty nie miałaś Alzheimera, a rzadką chorobę, która niszczy pamięć. Do trzech razy sztuka, prawda? Które z nas będzie następne? Notariusz idzie po nasze dzieci. Poleje się krew.

Spaskudziłaś mi dwa miesiące. Co mi pozostaje bez ciebie? Dwucyfrowa liczba naszych wspólnych lat i stycyfrowa liczba naszych wybuchów śmiechu?

Wysiadamy z taksówki obok portu w Lorient. Statek, który ludzie z Groix nazywają transporterem albo transportowcem, prom dla turystów, opuszcza redę i płynie na Groix. Wyspiarze siadają wewnątrz, podczas gdy turyści i pomniejsi rezydenci zajmują miejsca na zewnątrz, wlepiając oczy w ocean. Jest spokojny, statkiem nie kołysze. Szkoda, poczułbym się lepiej, gdyby Albane się porzygała.

Sarah wjeżdża windą wraz z osobami starszymi i kobietami w ciąży. Siada w głównej sali blisko bulaja i wsuwa laskę pod krzesło. Mężczyźni się jej przyglądają. Jest do tego przyzwyczajona, nie robi to na niej wrażenia. Przyglądają się jej długim blond włosom, oczom w kolorze topazu, dopasowanej bluzce i nogom w obcisłych dżinsach. Jest zmysłowa. Cyrian i Albane wychodzą na wyższy pokład razem z turystami. Latem i zimą są ich dwa rodzaje. Piechurzy z kosturami w ręku obładowani plecakami i naśladowcy, w zupełnie nowych rybackich bluzach i sportowych butach – ci nie pójną dalej niż do kafejki w porcie.

Ja pozostaję na granicy tych dwóch światów, na niższym pokładzie na zewnątrz, tam, gdzie można palić. Dwadzieścia lat temu, żeby ci zrobić przyjemność, zgasilem ostatniego papierosa, ale teraz wziąłem jednego od chłopaka, którego znam z widzenia. Z rękoma zaciśniętymi na barierce, z petem w ustach, wpatruję się w morze, zaciągając się dymem. Czekam, aż wpłyniemy w przesmyk Courreaux, wtedy pójdę usiąść obok Sarah. Turyści, którzy nas nie znają, uważają, że jestem dla niej za stary, i nienawidzą mnie.

– Ciężki dzień, tato?

– Nie zdradziłem twojej matki.

Pozwala sobie na pozbawiony złudzeń śmiech.

– Patrice nauczył mnie, że nigdy nie wolno nikomu ufać.

Twoje odejście otworzyło puszkę Pandory, Lou. Wczoraj Cyrian i Maëlle siedzieli w tym samym kościele, a mnie się wydawało, że jest to po prostu niemożliwe. Dziś Sarah wypowiedziała imię swojego byłego chłopaka.

– Co ci powiedział po naszym wyjściu ten notariusz z krokodylkiem?

– Twoja matka powierzyła mi misję, ale nie wolno mi wam o niej mówić.

Patrzymy na ocean przez bulaj. Potem Sarah odwraca się do mnie.

– Przepraszam, tato. Nie pomogłam ci, kiedy zachorowała, to było ponad moje siły. Jeżeli uważałeś, że w domu opieki będzie jej lepiej, to było na pewno dla jej dobra.

– Niczego nie uważałem, twoja matka nie zostawiła mi wyboru.

– Przynajmniej nie była sama, miała ciebie. To okropne być samemu.

Sygnal alarmowy dzwięczy w mojej głowie. Przysięgłbym, że moja córka jest szczęśliwa, będąc sama. Statek daje sygnał dźwiękowy przeciwniegielnym buczeniem, mijając taki sam, który płynie w odwrotną stronę z wyspy do Lorientu.

– Przyjadę na Boże Narodzenie, tato, ale znam Albane, będzie pracować nad Cyrianem i zrobi wszystko, żeby on zmienił zdanie. Wcześniej nie miała się do czego przyczepić, żeby cię zniszczyć, ale teraz zabierze się do tego z radością.

Wiedziałaś, na co mnie narażasz, Lou. Przełykam z trudem. Myślę o naszych dzieciach z dawnych czasów, o ich wspólnocie, o tym, jak mówiły po bretońsku. Miały „ukochanie” dla wyspy, jak to się tu mówi. Kiedy przysięgały, kończyły zdanie: *gast*¹. Bretończycy, lwie głowy, uważali, że paryżanie to tucz wołowy. Jako nastolatek Cyrian zaczął się wywyższać, Sarah

pozostała zabawna i delikatna. W sobotę wieczorem wychodzili na przyjęcia, taki wymysł arystokracji i dobrze sytuowanego mieszczaństwa zrobiony po to, żeby dzieci żeniły się w swoim kręgu. Kiedy Sarah miała zrobić przyjęcie, twój ojciec udostępnił oranżerię swojego zamku i wieczór był cudowny. Cyrian w garniturze wyglądał świetnie i z klasą, Sarah była wspaniała w długiej sukni, a potem zaczęli się przygotowywać do tego głupiego egzaminu.

– Twój brat nadal nie może się pogodzić z tym, że nie zdał egzaminów do École Polytechnique – mówię.

– Ma do mnie żal, że ja zdałam. Jest jeszcze gorzej, odkąd pracuję w filmie. Mówi, że to śmietnik.

– Masz cudowny śmietnik.

– Albane myśli inaczej. Wiesz, co mi walnęła wczoraj? „Niepokoję się o Charlotte. Jak się widzi twoją chorobę i chorobę Lou, to wiadomo, że w waszej rodzinie występują koszmarnie wady”.

Zgrzytam zębami. Dziadkowie Albane to rolnicy z Normandii, którzy pracowali na odziedziczonej ziemi. Jej ojciec wzbogacił się, wykupując parcele sąsiadów, których dzieci nie chciały obrabiać ziemi. Zagrał na czulej stronie, przysięgając, że będzie bronił tradycji. Prowadził negocjacje w sekrecie, nic się nie wydostało. Został właścicielem wielu hektarów. Niestety, jego sąsiedzi odkryli zbyt późno, że związał się z kimś, kto spekulował ziemią. Na ich ziemi, którą sprzedali mu bardzo tanio, twarzą w twarz, jak rolnik rolnikowi, sąsiad sąsiadowi, z ręki do ręki, patrząc prosto w oczy, zbudowano apartamenty weekendowe pod wynajem dla paryżan.

Oszukani rolnicy zasypali mercedesa ojca Albane stosem krowiego łajna.

– Przykro, że przerywam – mówi Cyrian. – Zdecydowaliśmy, że spędzimy noc w hotelu „La Marine”. Zarezerwowałem dwa pokoje, zabierzemy Charlotte i jedziemy.

– Zdecydowaliście czy Albane ci kazała? – wścieka się Sarah.
– Nie mieszaj się do nie swoich spraw – warczy jej brat.
– Twoja żona sądzi, że zdrada jest zakaźna? – pytam obruszony.
– Jak mogłeś to zrobić mamie?! – atakuje Cyrian wściekle. – Pozbyłeś się jej, zostawiając ją w domu opieki, żeby mieć wolną rękę!

Wciskam głęboko pięści w kieszenie, aby przeszkodzić im się stamtąd wydostać.

– Spieprzaj! Nie potrzebuję ani twoich obraźliwych insynuacji, ani twojej pomocy!

Cyrian jest blady z wściekłości.

– To ojcowie pomagają synom. Gdybym poszedł na medycynę, rzucalibyś mi kłody pod nogi. Ty chcesz być szefem, wilkiem dominującym nad watahą, samcem alfa.

Zdanie z Apokalipsy Świętego Jana pojawia się w moim umyśle: Jam jest Alfa i Omega, początek i koniec.

– Stary dominujący wilk, to spodobałoby się mojemu psychiatrze – rzuca Sarah ze śmiechem. – Stary Wilk (Loup) stracił swoją Lou. Bardzo freudowskie.

Sarah chodzi do psychoanalityka? Ten dzień jest pełen niespodzianek.

– Twoja psycholożka powinna ci zasugerować, żebyś założyła rodzinę, zamiast pieprzyć się z każdym facetem, jaki się akurat nadarzy – pluje nienawistnie Cyrian.

– Ej, ty! – mówię, podnosząc głos.

– Mama zmarła! – ciągnie wściekle. – Ona nie zgasła. Umarła. Odeszła z tego świata. Pogrzebano ją na cmentarzu, na twojej ukochanej wyspie. Nigdy już jej nie zobaczymy. To koniec, skończyły się bożonarodzeniowe spotkania rodzinne, święto matki, czułość. Moja noga już więcej nie postanie na tym zasranym kawałku kamienia.

– Przypominam ci, że twoja starsza córka tu mieszka.

– Zabiorę ją na wakacje na południe, pojedzie razem z nami.

– Palisz mosty i przecinasz pępowinę w jednej chwili? To dość radykalne!

Cyrian się waha. Albane, która zna swojego mężczyznę, pojawia się natychmiast z pomocą.

– Jesteśmy w szoku po tym, czego się dowiedzieliśmy u notariusza, drogi teściu.

– Musimy nabrać do tego dystansu – dodaje natychmiast Cyrian.

Wnętrze mojej lewej kieszeni rozdziera się pod naporem zaciśniętej pięści. Myślę o butelce zalakowanej w Grands Sables, o misji, którą mi powierzyłaś, o twoim pokręconym poczuciu humoru.

– Nabrać dystansu! Tak się właśnie mówi w czasie zerwania, kiedy już się kogoś nie kocha. Wynika z tego, że kiedyś się kochaliśmy.

Statek buczy, wchodząc do portu. Pasażerowie zbierają swoje bagaże, szykując się do opuszczenia statku. Cyrian i Albane idą do trapu. Ja wraz z Sarah czekamy na winde.



Pomme, wyspa Groix

Jo, tata, ciocia Sarah i Albane pojechali do Lorientu. Oddałabym swój nowy zegarek za to, żeby się dowiedzieć, gdzie teraz jesteś, Lou. Dla mnie raj to Groix.

– Wierzysz w niebo i piekło? – pytam swoją przyrodnią siostrę.

Wzrusza ramionami.

– Mama wierzy, a tata mówi, że piekło to inni.

– Jak myślisz, gdzie teraz jest Lou?

– Na szczęście nie w kuchni – odpowiada, parszkając.

Nauczyłaś mnie, że jak ludzie mówią przykre rzeczy, trzeba się zastanowić, dlaczego to robią. Często dlatego, że się boją albo są nieszczęśliwi. Charlotte ma szczęście, że mieszka z tatą. Ja miałam szczęście mieszkać z tobą, mamą i Jo. Jesteśmy siostrami, ale nie mamy sobie nic do powiedzenia. Moja mama pracuje dziś aż do wieczora, szkoły nie ma, będę musiała ją jakoś znosić.

– A gdybyśmy poszły do kina? – proponuje Charlotte.

– Nie możemy.

– Dlaczego?

Czasami zastanawiam się, czy naprawdę mamy tego samego ojca.

– Przecież właśnie pochowaliśmy Lou.

– I co z tego?

– Nie możemy tego zrobić ze względu na szacunek. Nie brakuje ci jej?

– Widywałam ją trzy razy do roku. Tata mówi, że w zeszłym miesiącu nawet go nie rozpoznała.

– Przecież nie było go na wyspie od sierpnia! – mówię zaskoczona.

– Oczywiście że był, przyjeżdżał do niej co miesiąc, odkąd poszła do domu opieki. Jechał tam i z powrotem w ciągu jednego dnia.

Ta wiadomość sprawia mi przykrość. Czyli jednak nie mamy tego samego ojca. Ona swojego widuje codziennie, a mój przyjeżdża na wyspę i nawet się ze mną nie przywita.

– Nie wiedziałam – mówię głosem, który odmawia mi posłuszeństwa.

– Teraz przynajmniej przestanie nas męczyć, żebyśmy tu przyjeżdżali. Tu nawet nie ma basenu.

– Ocean ci nie wystarczy?

Patrzy na mnie tak, jakbym była głupia.

– Jest koszmarnie lodowaty! Tata mówi, że twoja mama to czaszołka!

Czaszołka to gatunek niewielkiego, szpiczastego, morskiego ślimaka, który

żywi się algami. Znajduje je na skałach. Jego muszla drąży tam mały okrągły rowek, ślimak przyczepia się do skały nogą, muszla wciska się w wyżłobienie i w ten sposób opiera się falom. Mama jest zakotwiczona na Groix tak jak Jo i ja. A to, co mówi, to nie jest obraza, to po prostu prawda. Jestem na swoim terytorium i muszę być gościnnie.

– Może piknik na cyplu des Chats zrobiłby ci przyjemność?

To niedaleko, zaraz za hotelikiem „Sémaphore de la Croix” jest niewielki cypel z niedużą latarnią zwieńczoną czerwonym dachem. To tu zaczyna się dzikie wybrzeże i rezerwat przyrody François-Le-Bail. Skały połyskują w słońcu, błyszczą pod stopami.

– Jak się tam dostaniemy?

– Na rowerach. Wezmę rower mamy, a tobie dam swój.

– Nie umiem jeździć na rowerze – wyznaje zażenowana Charlotte.

– Żartujesz?

Nie. Ona jeszcze nigdy nie wsiadła na rower.

– To pojedziesz ze mną na bagażniku.

Zajmuję się prowiantem. Charlotte jest niezdarna w kuchni. Jej mama niczego nie pozwala jej dotykać, nawet noża do chleba.

– Lubisz *andouille de Guéméné*?

Najpierw dajemy spróbować pieskowi, Hopla jest zadowolony. Moja siostra próbuje, po chwili jest zachwycona. Nie mówię jej, że to, co właśnie zjada, to wędzone na drewnie świńskie wnętrzności. Wkładam *andouille* do naszych kanapek. Biorę też jabłka i butelkę wody. Charlotte ma na sobie czerwony golf i skórzane botki. Pożyczam jej polar, ciepłą kurtkę i parę moich starych konwersów.

Głaskamy psa, nie zabieramy go ze sobą.

Wskakuję na rower.

– Wsiadaj z tyłu. Złap się za bagażnik i trzymaj nogi szeroko, tak żeby nie

wkręcić spodni w szprychy kół. Nie ruszaj się. Jak będziesz się kręcić, to stracę równowagę. I się nie martw, jestem ostrożna.

Mama mnie potrzebuje, a poza tym dbam o swoją skórę.

Na Groix nie ma świateł drogowych, ale są skrzyżowania i znaki stopu. Jadę ostrożnie, potem jestem coraz odważniejsza. Jeśli coś się stanie Charlotte, tata będzie mnie kochał jeszcze mniej. W nocy padało. Teraz świeci słońce. Celowo wjeżdżam w kałuże i rozkładam szeroko nogi. Charlotte robi to, co ja. Śmiejemy się, mimo że nieobecność Lou łamie mi serce.

Po raz pierwszy robimy coś wspólnie.

– Pojedziemy objazdem przez Port-Lay, przedstawię ci moich znajomych.

Mam przyjaciół mieszkających na Groix i takich, którzy przyjeżdżają tu jedynie na wakacje. Bliźniaki Elliot i Solal są w moim wieku i mieszkają w Paryżu. Ich dziadkowie: Gildas i Isabelle są przyjaciółmi moich dziadków. Kiedyś w Port-Lay działały fabryki konserw. Przetwarzały tuńczyka i sardynki, istniała tutaj też pierwsza szkoła rybacka we Francji. Pedaluję wzdłuż ścieżki, omijając łańcuchy do cumowania. Jest odpływ, statki opadły na dno. Kładę rower w trawie. Idziemy do białego domu, który wznosi się ponad wodą. Bliźniaki właśnie tańczą na tarasie.

– Cześć! Czekamy na Boya i Lolę – mówi Solal.

– Jesteśmy pewni, że zaraz będą – dorzuca Elliot.

Zawsze mówią „my”, nigdy „ja”. Do swoich dziadków zwracają się po imieniu, tak jak ja. Są zabawni i jest ich dwóch.

– Kto to jest Boy i Lola? – pyta zaintrygowana Charlotte.

– Przyjaciele.

– Paryżanie czy z Groix?

– Ani jedno, ani drugie – odpowiadam ze śmiechem.

– Boy jest Anglikiem? Ich rodzice mają tu dom?

– Nie, nie mają tu domu, są bezdomni – precyzuje Elliot.

– Mama pracuje w stowarzyszeniu, które pomaga bezdomnym w Vésinet – mówi Charlotte. – Czy wasi przyjaciele zebrzą?

– Nie, bo oni niczego nie potrzebują. Oto i oni.

Boy i Lola pojawiają się wygłodniali dokładnie w południe, jakby według zegara. Robią kółko rozpoznawcze nad nami, potem lądują na tarasie.

– To są śmieszki! – woła Charlotte zaskoczona.

– Mewy srebrzyste – poprawia Solal. – Mewy śmieszki mają czarne dzioby, a te mają żółte dzioby z czerwoną plamką.

– Piskłeta uderzają w tę plamkę, a mama zwraca to, co zjadła, i w ten sposób je żywi. To jest obrzydliwe.

– Rodzice są biali, dzieci są szare – dodaje Elliot.

Johana, starsza siostra bliźniaków, przynosi skórki od chleba posmarowane serkiem boursin. Wygląda jak syrena ze swoimi długimi włosami i szczupłą sylwetką.

– Lubią też kielbasę, krewetki, ryby i okruchy ciasta, wszystko co tłuste – wyjaśnia.

Boy, tłusty samiec, łapie skórkę w dziób i wycofuje się, aby zrobić miejsce drobniejszej Loli, która podchodzi tanecznym krokiem. Johana zbliża się do ptaków, ale one odlatują z krzykiem.

– To specjalny okrzyk oznaczający niebezpieczeństwo. Inaczej krzyczą, kiedy chcą, żeby dać im jeść, inaczej aby przegonić innych, choć to nie dotyczy Julie.

– Myśleliśmy, że Julie jest dziewczyną – precyzuje Elliot – ale Isabelle odkryła, że to chłopak. Gildas karmi go z ręki.

– A oto i on! – mówi Johana, wskazując na białego ptaka o szarym grzbiecie, który ląduje na tarasie.

Boy i Lola usuwają się. Julie wydaje ostry krzyk i dziadek bliźniaków wychodzi z kawałkiem chleba posmarowanego masłem. Wyciąga go

w kierunku ptaka, ten chwyta chleb i odchodzi na chwilę, potem znów wraca, łapie kawałek i oddala się, powtarzając ten hałaśliwy rytuał raz po raz.

– Kiedy jemy obiad w domu – opowiada Gildas – Julie stuka dziobem w okno. Otwieramy okno i stawiamy przy nim taboret. Z tego taboretu ptak zeskakuje na podłogę, żeby pożywić się razem z nami. Jeżeli zapomnimy o taborecie, nie wejdzie do domu. Podejrzewamy, że Boy i Lola to jego dzieci.

Zapraszam bliźniaków na nasz piknik, ale mają w planach wyprawę do centrum hippicznego. Proponuję siostrze, żebyśmy poszły z nimi, ale odmawia, boi się koni.

– Twój dziadek pochodzi stąd, więc ty też jesteś wyspiarką z pochodzenia – zauważa Solal z podziwem.

– Wolę Lazurowe Wybrzeże, jest bardziej ekstra! – odpowiada Charlotte swoim aroganckim tonem.

Ciągnę ją za sobą, zanim wszystko zmieni się w kłótnię.

Siadamy na srebrzystej skale i robimy sobie piknik w pełnym słońcu na cyplu des Chats.

– Mama mówi, że w Bretanii jest zawsze brzydka pogoda – dziwi się Charlotte.

– To nieprawda. Tyle samo godzin słońca jest w Morbihan co w Cannes.

– Tata mówi, że jak jest burzowy dzień, statki nie wypływają z portu i można zostać uwięzionym na wyspie.

– To zdarza się rzadko i trwa bardzo krótko.

– Znasz tu *people*? Celebrytów, których widuje się w gazetach?

– Znam artystów i dwóch świetnych ekologów.

– Poprosiłaś ich o autografy?

– Nie, nie chcę im przeszkadzać. Jo zadał mi kiedyś zagadkę – mówię, aby zmienić temat. – „Kiedy nie ma wody, pije się wodę, jak jest woda, pije się wino”.

– To nic nie znaczy. To debilne.

– Zastanów się. Na Groix dawniej nie było basenu portowego. Statki rybackie mogły wchodzić do portu tylko wtedy, kiedy był przypływ. Jeżeli statki przyływały w czasie odpływu, marynarze musieli czekać na statkach i pili wodę, czekając, aż poziom morza się podniesie. „Kiedy nie ma wody, pije się wodę”, rozumiesz? W czasie przypływu statki mogły wchodzić do portu i marynarze mogli iść do tawern. „Kiedy jest woda, pije się wino”. Zabawne, nie?

Charlotte ma gdzieś przypływy i marynarzy.

– Jak sobie to zrobiłaś? – pyta, wskazując bliznę koło mojego oka.

– Kot Tribord przewrócił kafeterkę i się oparzyłam.

To samo kłamstwo opowiedziałam tacie. Uwierzył mi. Muskam palcami bliznę, ale nic nie czuję. Jo twierdzi, że zakończenia nerwowe się zregenerują.

– Moi przyjaciele mówią, że jestem jak Harry Potter, tyle że moja blizna nie ma kształtu błyskawicy.

– Ty też masz przyjaciół jak dziadzio i babcia? – pyta zamyślona Charlotte, biorąc w palce plasterek *andouille*.

– Oczywiście, a ty nie?

– Nie. Ja mam mamę, a ona ma mnie.

Łapie kamyk i rzuca daleko przed siebie z wściekłością.

Smutno mi z jej powodu.

– Możemy zostać przyjaciółkami, jeżeli chcesz. Już i tak jesteśmy siostrami.

– Tylko przyrodnimi siostrami, a i tak nie ma całkowitej pewności. Mama mówi, że tata dał się omamić twojej matce i nie zażądał testów na ojcostwo.

Patrzę na nią skamieniała. Jeżeli tato nie jest moim tatą, to Jo i ty nie jesteście moimi dziadkami. Będę musiała opuścić dom w miasteczku? Nie będę miała prawa po tobie płakać, Lou? To dlatego tata nigdy mnie nie przytula i tak rzadko zagląda na wyspę?

– Mama mówi, że jesteś o mnie zazdrosna – dodaje Charlotte.

– Nie mogę być zazdrosna o kogoś, kto ma twoją mamę zamiast mojej! – odpowiadam wściekła.

– Możemy się wymienić, kiedy tylko zechcesz.

– Nie kochasz jej? Nie lubisz swojej mamy?

– Nikt jej nie lubi, oprócz Hopla. Jak skończę osiemnaście lat, ucieknę. Tata pewnie nawet nie zauważy, że zniknęłam.

Piękny obraz idealnej rodziny rozpada się w proch.

– Przecież codziennie się z nim spotykasz?

– Kiedy wraca z biura wieczorem, jestem już w łóżku. Rano wychodzi, zanim się obudzę.

– Przecież mimo wszystko spotykacie się w weekendy.

– Soboty spędza w biurze. W niedziele biega nad jeziorem Ibis, a potem słucha jazzu i czyta. Ja siedzę u siebie w pokoju i oglądam seriale. Nie mam prawa nikogo zapraszać do domu i do nikogo chodzić.

Jestem zaskoczona.

– Ja chodzę do przyjaciółek i one do mnie też przychodzą, a mama robi nam naleśniki. Uwielbiam czytać Juliusza Verne’a, Rudyarda Kiplinga, Enid Blyton, pożarłam siedem tomów *Harry’ego Pottera* i trzy tomy *Journal intime du cheval Crac*.

Charlotte wzrusza ramionami.

– Ja mam prywatne lekcje tańca, tylko ja i pani profesor. Mam abonament do Comédie-Française i do sali Pleyel na koncerty dla młodej publiczności. Chodzę tam z mamą. Ona mówi, że nie ma potrzeby mieć przyjaciół, kiedy kocha się swoją mamę. Zawozi mnie i odbiera ze szkoły. Wolałabym zostawać w stołówce, ale ona nie chce.

– No wiesz, nie masz łatwego życia!

– Myślałam, że wszystkie dzieci żyją tak samo. Wolisz to swoje? Przecież

na tej twojej głupiej wyspie nic nie ma!

Dławi mnie.

– Nic? Żartujesz? Jo mówi, że to Olimp i Nirvana razem wzięte. Kąpię się przez cały rok. Gram w teatrze, tańczę w zespole celtyckim, zbieram drewno wyrzucone przez przypływy, chodzę na grzyby i jeżyny z Jo. Latem są koncerty na świeżym powietrzu, przywożą pianino na przyczepie, jest aperitif w południe w hangarze u Georges'a, tego, który robi wspaniałe przyczepy mieszkalne. Jest Ekomuzeum, a ja pomagam w charytatywnej sprzedaży na plebani, na kiermaszu w szkole i na targach staroci Dojo, chodzę sobie pomiędzy drzewami w Parcabout² na siatkach zawieszonych nad ziemią. Brałam udział w nagrywaniu klipu *Caballitos* Laurenta Morissona, statystowałam w scenie, która grana była w wesołym miasteczku. Kręcili to w nocy, było super!

– Masz szczęście. Tata mówi, że chcesz zostać lekarzem jak dziadek, prawda?

Przytakuję zdziwiona, że o tym wiedzą.

– A ty co chcesz robić potem?

– Wyjechać jak najdalej się da.

Jej odpowiedź sprawia mi ból. By ją pocieszyć, proponuję:

– Chcesz zobaczyć miejsce, gdzie są Lole, mnóstwo Boyów i Julii?

Wiosną w Pen-Men ptaki wysiadują jaja i nie wolno podchodzić do klifu, żeby im nie przeszkadzać, ale w listopadzie, jeżeli jest się bardzo ostrożnym, można. Charlotte wsiada znów na bagażnik, ja pedałużę i jedziemy w tamto miejsce.

Włeczemy się, ale mam łydki jak z betonu. Podchodzimy ostrożnie, znam nazwy gatunków: fulmar zwyczajny, rybitwa czubata, mewa siodłata, żółtonoga, srebrzysta.

– Łączą się w pary na całe lata, a w kwietniu, maju budują gniazda i po

kolei wysiadują jaja. Chronią je i atakują idiotów, którzy się zbliżą. Czterdzieści dni po wykluciu się piskląt uczą je latać.

Idziemy do nasłonecznionej skały, na której w grupach przesiadują ptaki. Nagle Charlotte zaczyna wrzeszczeć, skakać, machać rękami z dzikim wyrazem twarzy. Mewy zrywają się do lotu, bijąc wściekle skrzydłami, pikują ku ziemi, zawracają lotem koszącym. Po chwili cała jest upstrzona ptasimi odchodami. Nagle nieruchomieje jak marionetka, której obcięto sznurki, już nie jest zaczerwieniona, nie krzyczy. Ptaki odlatują, ale obserwują ją.

– Dlaczego to zrobiłaś?

– Dla zabawy – odpowiada, wycierając ramiona papierową chusteczką, którą po chwili rzuca na ziemię.

– Gdyby gniazda były pełne, przestraszyłabyś pisklęta!

– To by było jeszcze fajniejsze. Te pisklęta mew mają szczęście, rodzice się nimi zajmują – mruczy. – Chronią je, a potem uczą latać, żeby były wolne.

Dławi ją zazdrość. Albane ją ogranicza. Tata się nią nie zajmuje. Nikt nie daje jej tej czułości, jaką mnie obdarzają nasi dziadkowie. Brak jej słodyczy, jaką otacza mnie moja mama. Nie może się rozwijać, brak jej zaufania do samej siebie. Nikt jej nie nauczy latać.

Nagle niski dźwięk rozdziera ciszę – to buczone statku. Nie zauważyliśmy mijającego czasu.

Pedałuję, by jak najszybciej wrócić do miasta. Charlotte siedzi za mną i trochę mi ciąży. Zostawiam rower w szopie i otwieram drzwi domu. Wyłania się z nich Albane, patrzy lodowatym wzrokiem.

– Gdzie byliście?

– Na cyplu des Chats, a potem w Pen-Men.

Szukam oczyma uspokajającej postaci Jo.

– Dziadka nie ma? – dziwi się Charlotte.

– Jedziemy do hotelu „La Marine”, tam spędzimy noc. Już cię spakowałam.

Charlotte, co to za potworny smród? Twoje palce śmierdzą okropnie, czego dotykałaś?

– Jadłyśmy *andouille* – mówi moja siostra.

Albane patrzy na mnie tak, jakbym nakarmiła jej córkę, krew z jej krwi, co najmniej arsenikiem. Potem z pogardą patrzy na ubranie córki, polar i zniszczone konwersy. Gdzie się podział delikatny, różowy golf i śliczne botki?

– Jesteś ubrana jak strach na wróble! Wyglądasz jak... – brakuje jej słów, żeby opisać córkę, która jest przebrana za mnie. Marszczy brwi. – A jak dotarliście na cypel des Chats?

– Na rowerze! – wyjaśnia Charlotte.

Albane robi się blada, ale jej córka tego nie zauważa.

– Je... chałaś mna... rowerze? Droga? – dopytuje, dzieląc słowa.

– Pomme pedałowala, ja siedziałam na bagażniku – odpowiada beztróska Charlotte.

Albane dopada mnie, łapie za ramię i potrząsa mną jak szmacianą lalką. Jestem tak zdezorientowana, że nie potrafię zareagować.

– Jak śmiałaś?! – krzyczy.

– Robi mi pani krzywdę – mówię, usiłując się uwolnić.

Tato zaalarmowany krzykiem reaguje gwałtownie.

– Co tu się dzieje?

– Ta idiotka zabrała naszą córkę na rower, jeździły po szosie! – wrzeszczy Albane, wbijając paznokcie w moje ramię.

– Pojechałyśmy tylko na piknik, niech mnie pani puści!

– Charlotte nic nie jest, Albane – interweniuje tata. – Ona nie mogła wiedzieć.

– Czego nie mogłam wiedzieć? – pyta Charlotte słabym głosem.

– Uspokój się, Albane, obie są całe i zdrowe – powtarza tata.

– Nie powinnam zostawiać jej samej! Mam gdzieś twoją córkę, moja jest dla mnie najważniejsza, twoja może zdechnąć!

Teraz tata blednie, łapie swoją żonę za ramiona, potem powoli odgina jej palce i uwalnia mnie. Rozcieram sobie rękę. Gdyby Jo był tutaj, wywaliłby Albane z domu, gdyby zobaczyła to Sarah, stłukłaby ją laską, gdyby mama widziała to wszystko, też by się to źle skończyło.

– To była tylko przejażdżka – mówię skamieniała.

Charlotte unika mojego wzroku i znów zamienia się w paskudnego, płacziwego dzieciaka, jakim była wcześniej.

– Ona mnie do tego zmusiła, mammo – jęczy.

Biedne dzieciątko. Albane odwraca się i wychodzi. Tato idzie za nią.

– Jesteś wredną zdrajczynią! – mówię do Charlotte.

– Ja muszę ją znosić przez cały rok! Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo jesteś szczęśliwa.

Dołącza do matki ze spuszczoną głową. Ja pozwalam sobie na chwilę słabości, kładę się na ziemi i płaczę. Lou leży na cmentarzu. Nie wiem, gdzie jest Jo i Sarah. Mama myśli, że tata spędzi noc tutaj, więc nocuje w Locmarii zaopatrzona w elektryczny kaloryfer, pierzynę i polarową bieliznę od morskiej kooperatywy w Lorient. Tata wraca, pochyla się nade mną. Świat znów wraca do normy.

– Zrobiła ci krzywdę?

Przygląda się mojemu ramieniu. W oczach ma gwiazdki i zupełnie nieznaną mi czułość w głosie. Ta jego megiera może mnie maltretować codziennie, może mi złamać obie ręce i obie nogi, jeżeli on potem będzie się mną zajmował.

– Przykro mi, Pomme, nie powinna tego robić. Nie wiedziała, co mówi. Bała się, ale to się już nie powtórzy. Tu potrzebna jest arnika. Dawaj mała, rusz się.

Moment łaski się skończył. Pomaga mi się podnieść. Zagląda do szafki z lekarstwami, znajduje maść i smaruje mi ramię.

Trucizna zwątpienia już zdążyła się rozejść po moich żyłach, chcę znać prawdę.

– Jestem twoją córką, tato?

– Oczywiście!

– Jesteś tego pewien?

– Tak, skąd to durne pytanie? Wiesz, gdzie jest klucz do drzwi na strych?

– Na etażerze w pralni.

Tylko Jo tam wchodzi.

Słyszę, jak tata wspina się po schodach do królestwa pajęczyn. Porusza się po poddaszu. Ramię mnie piecze, tato wraca zakurzony z czarną walizeczką w ręku.

– Co jest w środku?

– To Baz, już dawno powinienem go zabrać. Twoje ramię szybko się zagoi. Zajmij się dziadkiem, będzie czuł się samotny.

– Jest jak samotna czaszołka na swojej skale – odpowiadam.

On znika w ciemnościach nocy, a ja z zeszywniałym ramieniem zostaję skamieniała przy wejściu i zastanawiam się, co tam może być w tej czarnej walizeczce. Lalka brzuchomówcy? Wyobrażam sobie tatę siedzącego twarzą do publiczności z lalką o imieniu Baz, która mówi zamiast taty słowa, których on sam nie jest w stanie wypowiedzieć. Znow słyszę nienawistny głos Albane. Ona ma mnie zupełnie gdzieś, tylko jej córka się liczy, ja mogę zdechnąć.



Jo, wyspa Groix

Schodzę ze statku wraz z Sarah, tworzymy dziwną rodzinę. Ty byłaś naszym

spoiwem, Lou, bez ciebie cały gmach się rozpada, drży, wkrótce zawali się z hukiem. Nie mogę wrócić do domu, muszę poczekać, aż Cyrian zabierze swoją córkę i swoje rzeczy. Chciałem pożegnać się z Charlotte, trudno. Czeka mnie ostatnie zadanie, z Sarah to nie będzie takie trudne.

– Muszę pojechać do domu opieki, zdać pokój twojej matki. Pojedziesz ze mną?

*

Jeździłem tam codziennie, mimo że przez ostatni miesiąc już mnie nie rozpoznawałaś. Przyjeżdżałem zobaczyć się z dawną Lou, nie z tą kobietą, która dziwiła się temu, że mnie zapomniała, drżącą od niekontrolowanej złości, drżącą od bezsensownej miłości. Brałem cię za rękę, a ty odpychałaś mnie gwałtownie albo rumieniłaś się jak młoda dziewczyna. Nigdy nie wiedziałem, czego mam się spodziewać. Razem oglądaliśmy twoje ulubione filmy: *Pożegnanie z Afryką*, *Fisher King*, *Uczta Babette* i *Dr House*, którego niesamowity humor wywoływał u nas łązy śmiechu. Puszczaliśmy sobie *Downtown Abbey* – w zamku twojego ojca poznałaś podobne życie, ale tylko Jeannette, stara wąsata kucharka, zajmowała się domem.

W te dni, kiedy zwijałaś się w kłębek porażona dojmującym smutkiem, puszczałem ci muzykę: *Concertos italiens* Bacha lub *Zaczarowany flet* Mozarta.

Dziękuję ludziom z personelu, których spotykam po drodze, są bardzo oddani mimo cięć budżetowych. Podpisuję papiery, ściskam dłonie, przedstawiam Sarah. Jestem szczęśliwcem. Miałem piękną żonę, mam piękną córkę, ale moja żona odeszła, a córka nigdy nie pobiegnie w nowojorskim maratonie.

Muszę opróżnić pokój, na który z niecierpliwością czeka jakaś rodzina. Domy opieki są czymś takim jak dożywotnia renta, nieszczęście jednych jest radością innych.

Pokój jest jasny. Wstawiłem meble, zdjęcia w ramach, połyskliwe tkaniny, witrażową lampę Tiffany'ego. Zdecydowałaś się tu zamieszkać z własnej woli, ale potem o tym zapomniałaś i zaczęłaś się powoli zapadać w sobie. Lekarze nazywają to zespołem słabości. W zwykłych słowach polega na tym, że człowiek nie ma już siły żyć i pozwala, by wszystko toczyło się obok niego. Jest jak ziarenko piasku toczone przez fale podczas odpływu.

– Nie chcę zabierać stąd niczego – mówię. – Jeżeli któraś z tych rzeczy cię interesuje, powiedz mi, Sarah.

Kręci głową. Ofiaruję to wszystko ludziom, którzy opiekowali się tobą do końca. Kiedy idziemy do wyjścia, jakaś starsza kobieta z Groix zagaduje do mnie. Ta kobieta grała z tobą w scrabble, kiedy jeszcze słowa były twoimi przyjaciółmi, i w *la vache* – grę karcianą znaną tylko u nas na wyspie, taką, w której trzeba blefować jak w pokerze.

– Mam coś dla pana, pójdę po to.

Czekamy. Sarah siada, ja stoję. Mijają wieki, zanim kobieta i jej balkonik znów pojawiają się obok nas. Podaje mi niewielką torebkę, która zawiera twój kalendarz w skórzanej oprawie z wypełnieniem z kartek na ten trymestr, a do tego luzem kartki z poprzednich pięciu lat.

– Lou powierzyła mi to, kiedy była jeszcze świadoma. Prosiła, żebym przechowała to dla pana.

Kiedy wracamy do domu, Pomme wychodzi ze swojego pokoju.

– Pojechali przenocować do „La Marine”. Pokłóciliście się?

– Wszyscy jesteśmy podenerwowani. Jestem zmęczony, kochanie, byłbym dla was kiepskim towarzyszem dziś wieczorem. Nie jestem głodny. Idźcie z Sarah i mamą zjeść kolację w „La Cinquante”.

– Nie zostawaj sam, chodź! – nalega Sarah.

– Zobaczymy się jutro. Tak będzie lepiej. Naprawdę.

Kiedy z miłością biorę Pomme w ramiona, na jej twarzy pojawia się

grymas.

- Boli cię ramię? Pokaż, co tam masz.
- To nic, tylko siniak.
- Czy wszystko było dobrze z Charlotte?
- Nirvana i Olimp.

Ty pierwsza poszłaś tam, gdzie idzie się potem, żeby sprawdzić, jak tam jest. Będiesz tam na mnie czekać. Nie gotuj już dla mnie albo zapisz się tam na górze na jakieś kursy gotowania, kochanie. Zrób dla nich „anielskie włosy”, rajską rybę, piekielne mięsiwa, otruj apostołów, przyrządź przeklętym tej ziemi swój *brouet*. Wczoraj po pogrzebie twoja przyjaciółka Martine przyszła ze swoim ciastem czekoladowym. Tym sławnym, bez mąki, które sprawia, że życie wygląda czekoladowo, *THE magical cake*. Pożarliśmy je dziś rano, zanim popłynęliśmy do Lorientu. Zostawiłem kawałek dla ciebie, nikt nie ośmielił się go tknąć. To ciasto jest tak delikatne, że człowiekowi wydaje się, że zjada chmurę. Składa się z czekolady, czułości i śmiechu. Dziś wieczorem posilę się tym kawałkiem w domu, który staje się coraz bardziej bezsilny.

Otwieram twój kalendarz. Zapisłaś w nim, potem pokreśliłaś numery telefonów, adresy, nazwiska. Dlaczego prosiłaś tę kobietę, żeby mi go dała?

Trafiam na datę rocznicy naszego ślubu, będę ją odtąd świętował sam. Nakryję stół dla dwojga, otworzę dobre wino i upiję się. Dobre wino świetnie działa na serce, wciąż to powtarzałem moim pacjentom. Wielu z nich mi je przynosiło. Mamy zapasy na co najmniej sto lat, ale bez ciebie to już nie jest zabawne. Myślę o tej małej butelce w szufladzie notariusza. I o piosence The Police, którą tak lubiłaś. *I'll send an SOS to the world. I hope that someone gets my message in a bottle...*



Pomme, wyspa Groix

Jem obiad w „La Cinquante” z mamą i ciocią Sarah, przy okrągłym stoliku z prawej strony sali. Pytają mnie o dzień z Charlotte.

– Pojechałyśmy do Port-Lay, na Chats i do Pen-Men.

Mama doskonale mnie zna.

– Były jakieś problemy?

– Celowo straszyla ptaki. Matka ją przytłacza. Charlotte bez niej jest o wiele bardziej znośna.

– Ta paskudna gówniara jest jak Janus – mówi Sarah.

– Kto to?

– Rzymski bóg różnych wyborów oraz drzwi, miał dwa oblicza, jedno smutne, drugie uśmiechnięte, jedno dla przeszłości, drugie dla przyszłości.

Charlotte płacząca i Charlotte uśmiechnięta. Mama zauważa, że w dziwny sposób trzymam widelec.

– Boli cię ramię?

– Uderzyłam się. Jestem zmęczona, wrócę teraz do domu i pójdę spać.

Niczym nie ryzykuję. Mieszkam o trzysta metrów stąd. To nie jest jeszcze pora na marynarzy na przepustkach, a poza tym oni bywają niebezpieczni przede wszystkim dla samych siebie, kiedy wracając na statki, wpadają do wody.

Przechodzę przez plac, oddalam się od kościoła z tuńczykiem. Przechodzę obok hotelu „La Marine”. Rzucam okiem na oświetlone okna. Zauważam postać wychodzącą przez drzwi baru, chowam się za ciężarówką piekarza. Mężczyzna, którego twarzy nie widzę, ma w ręku walizeczkę. Przechodzi pod latarnią. To mój tata. Okrąza pocztę i wchodzi do hali. Zatrzymuje się. Bicie mojego serca jest w stanie obudzić całe miasteczko.

Powoli idę przez ciemność nocy, spanikowana na samą myśl, że zauważy moją obecność. Stawia walizeczkę na murku. Otwiera ją. Korzystam z chwili,

kiedy jest odwrócony do mnie tyłem, aby przejść przez ulicę i schować się tam, gdzie w lecie parkuje samochód z pizzą. Tata wykonuje dziwne gesty, podnosi coś do ust, przykręca jakiś element do innego. Czyżby składał broń? Przecież on nie poluje. Nie popełni chyba samobójstwa? Nie chce też chyba nikogo zabić?

Oddycham z trudem. Mój ojciec nie jest ani desperatem, ani kryminalistą, a jednak wyjmuję z walizeczki coś, co jest być może kolbą, chwytą inną część, która wydaje się jakby trochę za szeroka na lufę. Stoi tyłem, zawiesza coś na szyi. Rusza do środka hali, odwraca się. Widzę go z profilu, jakby był chińskim cieniem. Oddycham z ulgą. Nie przyszedł tu, aby się zabić ani by zabić kogoś innego, ale żeby grać. To, co ma, to nie jest broń, tylko saksofon. Bicie mojego serca nie obudzi uspionego miasteczka, ale muzyka z pewnością wywlecze ludzi z łóżek! Nie wiedziałam, że tata gra na saksofonie, wiedziałam jedynie, że lubi jazz. Oto co było w walizeczce, którą zabrał ze strychu. Baz nie jest osobą, ale instrumentem. W świetle reflektorów jakiegoś samochodu widzę ojca. Ma zamknięte oczy, łokcie przyciśnięte do ciała, lewa ręka na górnych klapkach, prawa na dolnych. Nie dmucha w instrument, kołysze się tylko w przód i w tył, jego ręce się poruszają, nogi pozostają nieruchome. Jakiś kot miauczy, dziurawiąc ciszę, palce taty wędrują po klapkach, jego ciało tańczy, ale nie wydaje żadnego dźwięku.

I nagle zaczynam rozumieć. Wczoraj nie wziął udziału w „milczącym koncercie”, kiedy Jo i Sarah tańczyli tu, w hali. Nie dołączył do nich z powodu ciotki Albane albo dlatego że nie miał saksofonu, albo ze strachu przed tym, co powiedzą ludzie, ale dziś jest tu sam i jest wolny, i w końcu gra dla ciebie, Lou. Wycofuję się w cień. Wracam do domu. W sypialni Jo widać światło. Uciekam do swojego pokoju, chowam się pod kołdrę. Tata też jest jak Janus, też ma dwie twarze, tata, który się śmieje, i ten, który płacze.

1. K...a po bretońsku. [\[wróć\]](#)
2. Park zabaw akrobatycznych na wyspie Groix. [\[wróć\]](#)



3 LISTOPADA

Jo, wyspa Groix

Soaz, młoda, uśmiechnięta brunetka prowadzi „L’Escale” – ostatnią kawiarnię przed Lorientem. Ostatnią, bo jest na samym końcu cypla, o kilka metrów od nabrzeża, gdzie wsiada się na statki płynące na stały ląd. Nie urodziła się tutaj, pochodzi z drugiej strony, ale marynarze ją zaadoptowali. Zdobyła ich serca, serwując kawę wyspiarzom płynącym do pracy w Lorientie w mroźne zimowe poranki o wschodzie słońca i stawiając czoła nachlanym żeglarzom i pijanym turystom w ciepłe letnie wieczory.

Zanim odpłynie pierwszy statek, siadam na tarasie, aby nie przegapić syna. To zbyt głupie rozstawać się w gniewie po takim nieporozumieniu. Tej nocy, pomiędzy jednym a drugim koszmarem sennym, zdecydowałam się ofiarować każdemu z dzieci pamiątkę po tobie.

Nosiłaś Jaeger-LeCoultre swojego ojca. Ten zegarek będzie idealnie wyglądał na ręku Cyriana. Perły twojej matki są dla Sarah. Zostawiłem dwa pierścionki: jeden z szafirem, drugi z rubinem – będą na osiemnaste urodziny Pomme i Charlotte.

Założyłem twój zegarek na rękę, aby mieć pewność, że go nie zgubię, tak więc mam teraz dwa zegarki na ręku. Ktoś jeszcze pomyśli, że zaczyna mi odbijać. Twój zegarek bardzo mi się podoba, ale wolę ten płaski, który ofiarowałaś mi na trzydziestą rocznicę ślubu.

Pozdrawiam stałych bywalców stojących przy barze. „Ouest-France” i „Le Télégramme” przechodzą z ręki do ręki.

– Podać kawę? – proponuje mi Soaz.

– Szampana!

Zaznaczę ten moment twoim ulubionym napojem. Przekazanie władzy nad twoim zegarkiem to przecież coś.

– Zaraz przyniosę – mówi bez zmrużenia oka.

Wraca, stawia przede mną wysoki kieliszek, na pustawej tacy jest jeszcze jeden.

– Nie trzeba pić samemu – mówi Soaz, stukając się ze mną.

– Za Lou.

– Za Lou.

Soaz miała kiedyś wielkiego psa. Wabił się Torpenn. Otruli go jacyś skurwiele. Wychyłaś wtedy ze swojej mgły zapomnienia, aby mruknąć, że powinno się ich wytruć, oko za oko, trucizna za truciznę. Z tego wywnioskowałam, że jeszcze wtedy miałaś sprawny umysł.

Jakiś turysta wchodzi i zamawia muscadet. Soaz mu podaje, a on warczy:

– To jest mini muscadet, a ja chcę normalny.

Nalewa mu drugi kieliszek, precyzując:

– Tutaj zwyczajowa dawka to sześć centylitrów.

– W Loriencie szklanki są większe!

– Zawierają dwadzieścia centylitrów i są droższe.

Na Groix wino podaje się w małych kieliszkach. Kiedy dawniej marynarze chodzili pić od baru do baru, pozwalało to unikać kłopotów.

Siedzę, patrząc na port, i czekam na naszego syna, Lou. Słucham świstu wiatru w wantach, rozmów sąsiadów, pobrzękiwania szklanek. Ludzie przechodzą obok kawiarni, wyspiarze mają ręce w kieszeniach, turyści są obładowani jak osły, samochody znikają w czeluściach promu, pasażerowie wchodzą po trapie. Cyriana nie ma. Statek odpływa. Płacę.

– Zaraz wracam.

Do skutera przywiązałam kij golfowy. Jestem chyba jedynym lekarzem na

świecie, który nienawidzi golfa. Nie chwałę się tym, pewnie wyrzuciliby mnie za to z Izby lekarskiej.

Nie rozumiem przyjemności, jaką odczuwają moi koledzy lekarze, niszcząc sobie plecy, skręcając ramiona i łokcie. To perwersyjna gra, powodująca zawały, kardiolodzy ją uwielbiają. Ma tylko jedną zaletę – pozwala się rozluźnić. Na klifie dziś rano jestem sam. Zabrałem piłeczki do ćwiczeń, mogę w nie walić z całych sił.

Wracam do Soaz przed odpłynięciem następnego promu, skanuję port wzrokiem. Loïc, którego nazywałaś „pięknym rzeźnikiem”, pije kawę przy barze. Zauważa zegarki na moim nadgarstku.

– Chcę dać Cyrianowi ten, który Lou odziedziczyła po swoim ojcu – mówię.

Loïc, który wycierał swoje gacie o te same szkolne ławki co ja, podnosi filiżankę.

– Za tę chwilę!

Taka właśnie jest wyspa Groix. Nie ma sentymentalizmu, są uczucia, nie ma tanich gadek, jest działanie, nie ma samotności, jest solidarność. Ludzie się rodzą, umierają, a między tymi dwoma momentami żeglują, kochają, łowią ryby, biją się, między niebem a morzem.

Twingo w kolorze zielonego jabłuszka należące do Maëlle zatrzymuje się obok nas, wysiada z niego Sarah. Kiedy mnie zauważa, jej twarz się rozświecła.

– Szukałam cię, żeby się z tobą pożegnać. Bałam się, że się miniemy. Dzwoniłam ze dwadzieścia razy. To prostokątne coś, co masz w kieszeni, to jest telefon. Kiedy dzwoni, powinieneś powiedzieć „halo”.

Zamawiam dwa kieliszki szampana. Trudno, nawet jeżeli to nie jest twoja ulubiona marka. Kiedyś na jakimś przyjęciu podawano wspaniałego Dom Pérignon, a ty zrobiłaś cudowny grymas i zapytałaś:

– A nie ma pan może Mercier Blanc z Noirs?

Miałem wrażenie, że sommelier dostanie zawału.

Sarah dostrzega swoją przyjaciółkę z dzieciństwa Morag i pozdrawia ją, nie zauważa cienia na mojej twarzy, stuka się ze mną. Piechurzy podejrzliwi, nie wiedząc, że jestem jej ojcem, gromią mnie spojrzeniem.

– Mam dla ciebie prezent – mówię.

Zanurzam rękę w kieszeni. Twoja kolia z pereł błyszczy na stoliku. Sarah uśmiecha się. Na innych młodych kobietach wyglądałyby niestosownie, na niej będą wyglądały fascynująco.

Ogromną przyjemność sprawia mi to, że daję naszej córce tę kolię, którą w twojej rodzinie przekazuje się z pokolenia na pokolenie, pośród statków rybackich i żaglowców, w zgiełku odpływających promów.

Jedna z twoich przodkiń chciała mieć tę kolię na sobie w trumnie, jednak rada rodzinna odrzuciła jej prośbę.

– Kiedy byłam mała, mama w tajemnicy pożyczła mi te perły w dzień moich urodzin. Mogłam je włożyć pod ubranie i iść w nich do szkoły.

– Ach tak!

Ten szalony pomysł, żeby powierzyć tak wartościową kolię małej dziewczynce – to do ciebie pasuje.

– Pomożesz mi?

Sarah podnosi włosy, aby odsłonić kark. Zapinam zameczek. Jest tak samo cudowna jak ty. Spinam się, żeby nie załamać się przy naszej córce.

– Lepiej już wsiądź na statek – mówię. – Czeka na Cyriana, chcę mu dać zegarek twojej...

– Oni już wyjechali, tato.

– To niemożliwe. Byłam tu, zanim wypłynął pierwszy prom.

– Dziś rano poszłam do „La Marine”. Wrzeszczeli na siebie. Cyrian chciał płynąć promem, Albane wołała statek taksówkę. Wściekłam się na nią. Tłumaczyłam, że statki taksówki są przeznaczone do pilnych przypadków, ale

odparła, że dla niej to jest właśnie pilny przypadek, bo musi opuścić wyspę.

Zdejmuję zegarek i kładę na stole.

– Powierzam go tobie, Sarah, bo inaczej w przyływie wściekłości pieprznę nim w wodę.

– Zachowam go do dnia, kiedy ty mu go dasz.

– Ten gnojek pewnie nie weźmie go ode mnie. Daj mu go ty.

Wkłada zegarek do torebki.

Nasza córka wsiada na prom, wspierając się na lasce. Nasz syn pędzi do Paryża w swoim czarnym wozie pancernym. Gdzie jesteś, maleńka Lou? Do jakiej kotwicy niebiańskiej jesteś zacumowana?

Prom buczeniem ogłasza, że wypływa z portu. Słysząc go na całej wyspie, ludzie na moment zatrzymują się, a po chwili wracają do swoich zajęć.

„Kto widzi wyspę Groix, ten w sercu radość ma” – mówi przysłowie. To coś wspaniałego, gdy wiesz, że pewna młoda kobieta o niesłychanej urodzie z perłami na szyi i laską w ręku płynie promem, zalewając się łzami. Dałbym sobie głowę uciąć, że dawno już zapomniała o Patrice. Ty oczywiście wiedziałaś, że tak nie jest, prawda?



Cyrian na trasie Lorient – Paryż

Prowadzę, mam ręce zaciśnięte na kierownicy i wściekłość mnie zalewa. Mijam śmieszne małe samochody, które toczą się po lewym pasie, i walę w nie światłami: spadajcie stąd, kurczaki, odsuńcie się, ustąpcie, mam więcej koni mechanicznych pod maską niż wy.

Wiedziałem, że będzie mi ciebie brakować, mam, ale nie spodziewałem się, że twoja nieobecność przeszyje mnie jak sztyłem. Mam ochotę

rozkwasić pysk komukolwiek, każdemu, a przecież nie jestem bandziorem. Jeden jedyny raz, kiedy się biłem, to było na ślubie jednej z twoich siostrzenic, bo jakiś pijany sukinsyn z tej drugiej rodziny naśmiewał się z niepełnosprawności mojej siostry. Ten pijany bydlak zauważył Sarah, oczy wyszły mu z orbit, a język miał tak wywalony jak wilk w animacji Texa Avery'ego. Potem zobaczył, jak Sarah chodzi. Rzucił z pogardą do jednego ze swoich kumpli:

– Jest piękna jak laleczka, ale chodzi jak zepsuta kukiełka. Do pozycji leżącej jeszcze by się nadała, ale na stojąco nie do wzięcia, *no way!*

Moja pięść wystrzeliła zupełnie bezwiednie prosto w kinol debila. Dało się słyszeć cichy, miły dla ucha trzask, kiedy pękała mu przegroda nosowa. Pocięła krew. Facet padł, popłakując. Kazałem jego kumplowi go ewakuować, a jemu samemu wytłumaczyłem, że jestem bratem Sarah i że słyszałem jego obrzydliwą uwagę. Odszedł z podwiniętym ogonem i z zakrwawioną chusteczką pod rozwalonym nosem. Przez tydzień bolała mnie ręka.

Dziś sprawiłoby mi ulgę, gdybym komuś przywalił. Żałuję, że popłynęliśmy wodną taksówką, żałuję, że ustąpiłem Albane. Nie wybaczyłem tej wyspie, że mi ciebie odebrała, mamó. „Kto widzi Groix, swój krzyż tam ma” – mówi przysłowie. Kiedy mieszkaliście jeszcze na Montparnasse, co tydzień jedliśmy razem lunch. O wszystkim ci mówiłem, miałaś taki zaraźliwy śmiech, a potem ten sukinsyn Systole zabrał cię na ten swój kamień pośrodku oceanu, na swoją wyspę wróżek i czarownic, a ja zostałem sam.

Systole to nazwa medyczna skurczu przedsionków i komór serca, takie przezwisko nadałem ojcu, kiedy byłem jeszcze nastolatkiem. Skurcz, furia, wybuch. Na swoim oddziale Systole rządził tak, że wszyscy chodzili jak na sznurku. Jedynie oddziałowa potrafiła stawić mu czoło. Może to właśnie z nią cię zdradził?

On kochał tylko ciebie, Lou, Groix, swoich pacjentów, bandę swoich kumpli, Sarah, Pomme i Maëlle. Całe życie spędził, zajmując się sercami innych ludzi, ale sam nie ma serca, żadnego.

Ja nie ratuję ludzkiego życia jak on, sprzedaję urządzenia sanitarne do bardzo eleganckich łazienek. Słyszałem, jak kiedyś powiedział do jednego ze swoich przyjaciół: „Moja córka za pomocą filmów sprawia, że ludzie marzą, a mój syn sprawia, że szczają w jego kibelkach”.

Kiedy zobaczyłem Maëlle w kościele, doznałem szoku. Pomme jest do niej bardzo podobna.

Nigdy już nie wrócę na wyspę. Co roku zamówię dla ciebie mszę w Paryżu. Dam ogłoszenie w „Le Figaro”, będę wspominał piękne chwile i zapomnę Systole. Jak on mógł cię zdradzić?! Jak ty mogłaś potem nadal go kochać? Moja żona śpi na siedzeniu pasażera. Ona jest lojalna, solidna, ona pomogła mi otrząsnąć się po porażce na egzaminach do École Polytechnique. Nigdy bym się z nią nie ożenił, gdyby nie to, że zaszła w ciążę. Albane była taka szczęśliwa, kiedy oświadczyła mi, że oczekuje dziecka. Nie uśmiechała się tak radośnie od śmierci swojego brata. Gdybym kazał jej usunąć, to by ją zniszczyło. W oczach wszystkich jestem skurwysynem, który zostawił Maëlle, kiedy była w ciąży. Ale to nie jest prawda, marzyłem o tym, żeby się z nią ożenić i zabrać ją do Paryża. Chciałem odegrać tę piękną rolę, być cudownym małżonkiem i solidnym ojcem, facetem jak trzeba.

Charlotte przysypia z tyłu samochodu, Hopla śni swoje sny, poruszając łapami. Ja podśpiewuję:

– *Oh Danny boy, the pipes, the pipes are calling, from glen to glen, and down the mountain side.*

Albane prostuje się na swoim siedzeniu i mówi zaspanym głosem:

– Obudziłeś mnie, a tak dobrze spałam. Grałeś to kiedyś w tej zadymionej piwnicy.

Kiedy przygotowywaliśmy się do egzaminów, Sarah, Patrice i ja założyliśmy zespół. Nazwałem mój saksofon Baz, bo kumpel, który mi go sprzedał, miał na imię Antoine-Basile. Sarah wyżywała się na pianinie, Patrice na perkusji. Ćwiczyliśmy w piwnicy jego rodziców, paląc jointy. Po mojej porażce na egzaminach zespół się rozpadł.

– Odzyskałem Baza, był na strychu – mówię, nie spuszczać drogi z oczu.

– Widziałam. Nasi sąsiedzi nie będą zachwyceni.

Sąsiedzi, mam ich gdzieś. Ci z prawej mają wrednego dzieciaka, ta z lewej jest głucha i puszcza telewizję na cały głos.

– Wrócę do tego.

– I tak już rzadko widzimy cię w domu – mruczy Albane.

– To będziecie mnie słyszeć – odpowiadam zgryźliwie.

Co się ze mną stanie bez ciebie, mamó? Po skurczu zawsze nadchodzi rozkurcz, kiedy serce się rozluźnia. Spokój, odpoczynek, łagodność. Rozkurcz to Diastole i ty byłaś moją Diastole, mamó. Byłaś jedyną osobą, której mogłem powiedzieć o wszystkim, także o Dany. Nie chodzi o Danny Boy, ale o moją dziewczynę Dany Girl. Nie ufam kolegom. Jeżeli się załamię, zajmą moje miejsce, tylko na to czekają. Szef nie ma przyjaciół. Byłem tak zajęty pracą przez ostatnie lata, że straciłem przyjaciół z dzieciństwa. Nawet Hopla woli Albane niż mnie, bo ona napełnia jego miskę. Pomme, kiedy do niej mówię, ma przerażone oczy, a Charlotte nie obchodzi zupełnie. Sarah nie znosi Albane, a ciebie już nie ma, Diastole. Mam teraz tylko Dany. Mam teraz tylko Albane i nie jestem w stanie wybrać jednej spośród tych dwóch kobiet, które mnie kochają. Nie chcę być sukinsynem, chcę być tylko szczęśliwym człowiekiem.



5 LISTOPADA

Pomme, wyspa Groix

Niedługo koniec ferii na Wszystkich Świętych. Wyspa opustoszeje. Ulice znów ucichną, aż do Bożego Narodzenia, deszcz nie będzie zalewał przechodniów. U Loïca będzie teraz mniej ludzi chcących spróbować *lard des thoniers*. Nie będzie musiał wciąż tłumaczyć paryżanom, że kaszanka jest we środę, a pieczony kurczak w niedzielę.

Będzie mniej klientów w sklepie rybnym Thierry'ego i przy straganie Sophie-Anne w hali targowej, a także w obu piekarniach, na poczcie i w trzech księgarniach oraz w naleśnikarniach. Będzie mniej chętnych na ciasto *far* robione przez Gwenołę i na zabiegi upiększające u Corinne.

Miasteczko wejdzie w stan uśpienia.

Ywes i Jacote są przyjaciółmi Jo. Zza ich drzwi dobiegają mnie dźwięki pianina, czekam, aż zapadnie cisza, żeby im nie przeszkadzać. Ywes jest szefem orkiestry dętej Chats-Thons (Kotuńczyki), a nazwa pochodzi od latarni Chats i od tuńczyka na kościele. To nie jest pierwsza orkiestra na wyspie. W 1895 roku była Lira z Groix, a w roku 1913 – Harmonia z Groix. Pianino cichnie. Dzwonię, otwiera Ywes.

– Dzień dobry, Pomme. Jo cię przysłał?

Kręcę głową onieśmielona.

– Chciałabym brać lekcje. Chodzi o saksofon.

– Mogę poprosić nauczyciela z konserwatorium z Lorientu, przyjeżdża tu regularnie.

– Nie, chcę brać lekcje u pana.

Ywes ma brodę, kraciatą koszulę, džinsy i roześmiane oczy.

– Pomme, muzyka jest moim życiem! Gram na wielu instrumentach, ale nie uczę.

– Proszę! Nie mam pieniędzy, ale mogę odpracować. Posprzątam, poproszę i mogę skosić trawnik. To ma być niespodzianka.

– Niespodzianka?

– Mój tata kiedyś grał na saksofonie. Nie za bardzo się znamy. Chciałabym się nauczyć, żeby móc z nim grać, jeżeli kiedyś tu wróci. Nikt nie może o tym wiedzieć – ani mama, ani Jo.

Słowa blokują się we mnie, w moim wnętrzu, tam, gdzie siedzą potwory, które pograżają wyspy w wodach morza, albo te wszystkie Albane, które mówią, że mogę zdechnąć. Myślę o tacie, jak gra nocą. Ywes wymienia spojrzenie z Jacote.

– Naprawdę chcesz się nauczyć?

Potakuję głową z przekonaniem. Salon Ywes'a jest pełen instrumentów, a stoły pokryte są partyturami.

– Otwórz ten futerał, Pomme.

Wskazuje mi podniszczoną walizeczkę. Podnoszę pokrywę. Saksofon w kawałkach leży na aksamicie.

– Jest połamany?

– Nie, śpi. Obudzimy go.

Wyjmuje niewielki kawałek drewnianka z pudełka i pokazuje mi to.

– Ten kawałek trzciny nazywa się stroik. Włożę go do ust, żeby go nawilżyć. Kładę go na ten kawałek, to ustnik saksofonu, o tak, żeby trochę wystawał, potem wsuwam to kółko, to jest maszynka. Trzeba uważać, żeby nie uszkodzić stroika, potem przykręcam. Zrozumiałaś?

Nie zrozumiałam, ale przytakuję. Demontuje wszystko, kładzie wszystkie części na stole.

– Twoja kolej. Dźwięk, który będzie się wydobywał, zależy od sposobu, w jaki złożysz saksofon. Uważaj na stroik, jest bardzo delikatny.

Próbuję, myślę się, pokazuje mi raz jeszcze. To wszystko wydaje się tak skomplikowane jak węzły marynarskie na kursie żeglarskim, ale w sumie wystarczy załapać, o co chodzi.

– Potem trzeba zamontować ustnik na tej korkowej części. O tak, tyle wystarczy, widzisz?

Daję radę.

– Doskonale.

Wskazuje dwie duże części.

– Tu masz fajkę i korpus. Łączysz je ze sobą i dokręcasz ustnik. Saksofon to instrument dęty, należy do instrumentów drewnianych, choć zrobiony jest z metalu. Ten to saksofon altowy.

Bierze sznurek z haczykiem i zakłada na szyję, na tym zawiesza saksofon. Układa ręce tak jak tata zeszłej nocy – lewą u góry, prawą na dole – i dmucha w ustnik. Dźwięk sprawia, że drzę. Kiedy Ywes przestaje grać, mam zamęt w sercu.

– To jest melodia, którą orkiestra teraz ćwiczy. *Mon amant de Saint-Jean*. Wielu ludzi w orkiestrze nigdy nie miało instrumentu w ręku, ale po kilku miesiącach byli w stanie zagrać to wspólnie.

Jestem pod wrażeniem. Ywes zdejmuje sznurek i zawiesza saksofon na mojej szyi, układa moje dłonie na instrumencie i zostawia mnie tak. Nie spodziewałam się, że saksofon jest taki ciężki.

– Musisz czyścić saksofon, zanim go odłożysz, Pomme.

– Tak jak się czyści konia po przejażdżce?

Czy Ywes wygoni mnie za brak szacunku dla saksofonu? Jacote i on mają kota, lubią zwierzęta.

– Jesteś pierwszą osobą, która tak to ujęła, ale tak, masz rację.

Czyści fajkę saksofonu, wkładając weń szmatkę na sznureczku, a korpus wyciorem z piór. Mówi, że jak się gra, do wnętrza dostaje się ślina.

– A te klamerki do bielizny do czego służą?

– To są kłapy. Kiedy dmuchasz w ustnik i naciśniesz na jedną albo kilka takich klap palcami, to grasz nuty.

Ywes patrzy na zegarek.

– Mam teraz spotkanie, próbę.

– Zgadza się pan dawać mi lekcje?

– Przecież właśnie jedną ci dałem.

– Co mogę zrobić, żeby zapłacić?

– Dam ci bardzo ważną misję. Mam nadzieję, że sobie poradzisz.

Lepiej odkurzam, niż prasuję. Koszę trawniki, ale mama nie pozwala mi czyścić kosiarki po pracy.

– Chcę, żebyś zajęła się dziadkiem – mówi. – Leczył mnie kiedyś i jestem mu winien wielką wdzięczność. Boję się o niego.

– Ależ to żadna praca, to normalne, ja go kocham!

– Będę spał spokojniej, wiedząc, że nad nim czuwasz. No to umowa stoi – stwierdza, ściskając mi rękę.



7 LISTOPADA

Jo, wyspa Groix

Obiad z „bandą z siódmego” jest rytuałem, którego nie można odpuścić. To, że jestem w żałobie, nie uprawnia mnie do rezygnacji ze spotkania ze znajomymi. Założę się, że ty też byś tam poszła, gdybym to ja umarł. Dom Fredy wypełniony jest jej dziełami i dziełami jej rodziny. To artystka i dekoratorka, która nie ma sobie równych. Wszyscy przynoszą coś do jedzenia i do picia. Ty zawsze przynosiłaś ulubionego szampana. Bąbelki ratowały resztę, czyli twoje wysuszone *quiche* i niedopieczone ciasta. Nie chciałaś robić konkurencji Isabelle i jej kanapkom z morskim pająkiem ani daktylom nadziewanym chorizo i miętą, które serwowała Marie-Christine, ani tiramisu Renaty czy tarcie z jabłkami pieczonej przez Monique. Wyrzucałem dyskretnie owoc twoich wysiłków do śmietnika, a ty wracałaś do domu szczęśliwa z pustym półmiskiem.

– Patrz, Jo, nic nie zostało, smakowało im!

Przyjaciele ściskają mi dłoń w geście współczucia. Są bardzo mili.

– Jesteś tu w rodzinie, Jo.

– Wpadnij na obiad, kiedy tylko masz ochotę.

– Przychodź, kiedy chcesz, bez ceregieli.

– Moja żona nie jest tak piękna jak twoja, ale gotuje zdecydowanie lepiej – szepcze jeden z przyjaciół, by mnie rozluźnić.

Ty byłaś najpiękniejsza, nauczyłaś mnie, jak wszędzie być szczęśliwym i swobodnym. Bez ciebie jestem zagubiony. Nie przyniosłem dziś szampana, nie ośmielę się naruszyć twoich zapasów. Miałaś rachunek w Księgarni

głównej. Ja także nadal tam kupuję i w ten sposób mam wrażenie, że to ty podarowałaś mi dzisiejszą gazetę.

Przytłaczający smutek woła o cięższe wino, wziąłem Cairanne, „G” z Domaine de la Gayère. Bufet zaopatrzony jest w wina burgundzkie dzięki George’owi i Geneviève. Mężczyźni mi polewają, kobiety mnie karmią. Szukam cię wzrokiem, na jedną tysięczną sekundy zapomniałem, że ciebie tu nie ma.

– Jak tam twoje dzieci, Jo?

„Nasze” dzieci stały się teraz „moimi” dziećmi. Przyjmuję cios.

– Cóż, normalnie, czyli źle.

– Byłeś u notariusza w Lorientie?

Na wyspie wszyscy wszystko wiedzą, widzą twój samochód, spotykają cię na statku, wiedzą, że masz gości, bo kupujesz więcej pieczywa, wiedzą, czy jecie mięso czy ryby, jakie gazety czytacie. Dzieci naszych przyjaciół także żyją gdzieś w świecie. Przyjeżdżają na wakacje, ale to dość skomplikowane – rozkład jazdy pociągów nie pasuje do rozkładu kursowania promów. Korrigan, złośliwy bretoński elf, specjalnie wszystko pomieszał, żeby zrobić wszystkim na złość. Liczymy więc raczej sami na siebie, jedni na drugich, a nie na rodziny. W letnie miesiące rzadko się widzimy, domy zapełniają się dziećmi i wnukami. Potem wraz z początkiem września wraca spokój. Smutno kiedy wyjeżdżają, ale wracamy do normalnego rytmu, znów się spotykamy, łapiemy drugi oddech.

– Lou wybrała takiego młodego faceta z kontynentu – mówię.

– Nie potrzebujesz forsy, Jo?

– Możemy pomóc jakby co!

– Proś, o co chcesz.

– Dobrze, że jesteście, dziękuję.

Umieram z ochoty, by opowiedzieć im, jaki numer mi wywinęłaś, ale

zabroniłaś o tym mówić. Szkoda, odniósłbym sukces jako wdowiec, dusza towarzystwa.

– Sądzicie, że wasze dzieci są szczęśliwe? – znieczeka pytam kolegów.

Rozmowy milkną. Po moich słowach zapada cisza.

– Co za dziwaczne pytanie.

– Ty to jesteś naprawdę maruda – mówi Mylane, która uwielbia czasami delikatnie zwyżać tych, których lubi.

– Świrnięty Jo, zawsze nas będziesz zaskakiwał.

Chcą mi udowodnić, że tak, rozwiedziony syn spotkał cudowną kobietę, córka ma nową pracę, którą uwielbia, inny syn przeprowadził się do Hiszpanii, czyjaś córka do Dubaju. Podchodzę do problemu z drugiego końca.

– A wy? Czy wy jesteście szczęśliwi?

Moje pytanie ich przeraża. Milkną zażenowani. Nie wypada wynurzać się ze swoim szczęściem przed jednodniowym wdowcem. Anne-Marie, która straciła męża, uśmiecha się do mnie, choć nie odpowiada. Bertrand mówi o radości, jaką sprawili mu jego synowie, dołączając do niego na ostatnim etapie pielgrzymki do Saint-Jacques. Dojście do Composteli zajęło mu całe miesiące, grupka przyjaciół z „bandy z siódmego” dołączyła do niego w dzień jego urodzin. My też byśmy tam byli, gdyby twoja pamięć nie zaczęła szwankować.

Jak obliczyć szczęście, Lou? Miałem dziwne uczucie, kiedy Sarah wspomniała Patrice’a. Tego chcesz, Lou, paskudna marudo? Chcesz, żebym odnalazł Patrice’a i żeby Sarah i on zakochali się na nowo? Dlaczego nigdy mi o tym nie powiedziałaś? Facet, który ucieka w popłochu, dowiedziawszy się, że jego ukochana jest chora, to zgniłek. Myślisz, że z nim byłaby szczęśliwsza?



Lou, tam, gdzie idzie się potem

Nasze dzieci są nieszczęśliwe. Cyrian miota się pomiędzy dwiema kobietami. Nie, nie chcę, żeby Sarah i Patrice znów się zeszli. Ja dałam ci tylko wskazówkę, musisz wszystko zrobić sam.

Nie ma już sieci, połączeń, baterii. Oddałabym wszystko, żeby móc pogłaskać cię po policzku.

Widziałam twoje wahanie w piwniczce na wino, mój przybracielu. Powinieneś wziąć szampana. To, co należy do mnie, należy także do ciebie.



9 LISTOPADA

Pomme, wyspa Groix

Kot Ywes'a i Jacote leży na rozsypanych partyturach.

– Jak on się nazywa?

– To ona i nazywa się panna Godin, bo mrczy jak piecyk wolno stojący firmy Godin.

Ywes otwiera zużytą walizeczkę.

– Poskładaj saksofon, Pomme.

Wyciągam płytkę z pudełka, liżę ją jak patyczek po lodach.

– To się nazywa stroik, bo to taka ozdoba?

– Nie, wpuszczane przez ciebie powietrze sprawia, że on wibruje i w ten sposób rodzi się dźwięk. Włóż go do ustnika, nie tak, za bardzo wystaje, trzeba przesunąć. Weź maszynkę, nie w ten sposób, odwróć, przykręć tę małą śrubkę.

Myślałam, że saksofon jest zawsze gotowy do użycia, jak gitara.

– Nałóż ustnik na tę korkową część szyjki, ale nie naciskaj na stroik.

Jestem niezdarna, mam za małe palce.

– Świetnie sobie radzisz. Zamontuj fajkę i korpus, włóż ustnik do ust. Górne zęby muszą być w jednej trzeciej ustnika, a on musi spoczywać na dolnej wardze, lekko zagiętej na dolnych zębach.

Co? To nie wystarczy ułożyć ust w literę „o” i dmuchać?

– Rozluźnij ramiona, nie podnoś ich, nie nadymaj policzków. Dalej, dmuchaj.

– Nigdy mi się to nie uda. Myślałam, że wystarczy nauczyć się nut jak na

pianinie – mówię zawiedziona.

Próbuję ostatni raz. Jeżeli nie zadziała, odpuszczę sobie. I wtedy, kiedy już w to nie wierzę, jakiś dźwięk wydobywa się z instrumentu i wibruje przeze mnie całą, od palców u nóg aż po czubki włosów. Śmieję się ze szczęścia. Słyszałaś to, Lou?

– Widzisz? Dałaś radę!

Krzyczę z radości. Próbuję jeszcze raz, ale teraz bez powodzenia.

– Rezygnuję. To zbyt skomplikowane.

Ywes nie stara się mnie przekonać. Bierze saksofon. Siadam na kanapie i słucham muzyki, która rozdziera mi duszę na strzępy. Ywes z zamkniętymi oczyma przenosi mnie do Pen-Men w dzień, kiedy piskłeta mew wlatują w powietrze pod czujnym okiem rodziców. I nie mam już rozbitej rodziny, żadnej złej macochy, żadnej przybranej siostry o dwóch twarzach, smutnego taty ani zmarłej babci. Mam dwa niezdarne skrzydła, dorosłych, którzy mnie chronią, i ogrom nieba. Jestem Julie, Boy i Lola. Lecę nad klifem i oceanem. Muzyka mnie dławi. Ywes przestaje grać.

– Ta melodia nazywa się *Amazing Grace*. Jeżeli będziesz ćwiczyć codziennie, będziesz umiała to zagrać na Boże Narodzenie.



Jo, wyspa Groix

Moi przyjaciele Jean-Pierre i Monique zaprosili mnie na obiad w Locquetas. Zgadzam się, żeby nie ciążył za bardzo Maëlle. Ty byłaś w domu opieki od czerwca, brakowało mi ciebie, ale mogłem sobie wyobrazić, że pewnego dnia do mnie wrócisz. To pomagało mi się nie załamać. To, co teraz trzyma mnie przy życiu, to butelka szampana Mercier z twoim głosem i listem, leżąca

w szufladzie u notariusza tak młodego, że mógłby być moim synem.

Ocean grzmi za oknami, a drzewa pochylają się pod gwałtownymi uderzeniami wiatru. Kot Misty śpi, poruszając łapami przez sen.

Jean-Pierre roznieca ogień. Monique przygotowała twoje ulubione danie. Ich córka, która jest bardzo przywiązana do wyspy, przyjeżdża kiedy tylko może.

– Kiedyś byłem blisko z Cyrianem i Sarah, potem zostałem ordynatorem, pracowałem jak osioł, oddaliliśmy się od siebie. Wy macie szczęście z Magali. Co robicie, że tak dobrze się z nią dogadujecie?

– To nasza córka. Kochamy się.

– Zainteresuj się ich pracą, przyjaciółmi, planami na przyszłość – sugeruje Monique.

– Tyle że oni milczą jak jakieś groby!

Robię grymas, to wyrażenie nie jest najlepsze.

– Powinieneś utworzyć sobie alerty Google. Dostaniesz powiadomienie za każdym razem, kiedy nazwisko któregoś z nich pojawi się w sieci.

Zastanawiam się. To by było wtargnięcie w ich prywatność, ale to dla dobra sprawy. Jean-Pierre nie wątpi w moje intencje. Włącza komputer i tworzy dwa alerty Google.

Jean-Pierre i Monique są delikatnymi przyjaciółmi, szlachetnymi, światłymi, czuymi i niezastąpionymi. Ich pokój gościnny jest oazą spokoju. Dzieli się swoim ogrodem, domowymi konfiturami, cudownym widokiem na ocean. Opuszczam ich przejezdzony i podпиты. To zawsze ty prowadziłaś, kiedy wracaliśmy od znajomych. Ja siedziałem obok ciebie, w razie wypadku to jest miejsce prawdopodobnego nieboszczyka, ale to ja żyję, nie ty.

Ruszam. Żandarmi latem kontrolują punkty strategiczne jak ta pipidówka L'Apéritif, ale o tej godzinie i o tej porze roku siedzą sobie w ciepélku na posterunku. Szkoda. Gdyby mnie zamknęli, mógłbym im opowiadać o tobie.

To szczęście mieszkać na wyspie, którą można przejechać w zaledwie dziesięć minut. Kiedyś policzyłem liczbę godzin zmarnowanych w paryskich korkach. Tysiące zmarnowanych godzin, a mógłbym je spędzić z tobą. Patrzę na latarnię zapaloną na placyku. Elektryczność dotarła do naszych wiosek w 1959 roku, telefon w roku 1965. Przed pojawieniem się telewizji w 1960 roku ludzie spotykali się wieczorami, teraz każdy siedzi u siebie, przed swoim odbiornikiem.

Włączam radio, żeby nie zasnąć za kierownicą. Renaud śpiewa: „Nie świruj, Manu, nie podcinaj sobie żył, jedna panienska stracona, dziecięciu kumpli wróci”.

– Mogłam po ciebie pojechać – mówi Maëlle, która czekała, aż wrócę, zanim poszła się położyć.

– Nie martw się. Jakoś sobie radzę.

Czasami przerasta mnie liczba rzeczy, z których ty już nie możesz korzystać. Fale roztrzaskujące się na plaży, które grają na piasku jak na perkusji. Piana, która leci nad ogrodami i czepia się żywopłotów jak bita śmietana na *Irish coffee*. Książki, których już nie czytasz, muzyka, której nie słuchasz, śmiechy, w których nie uczestniczysz, radosne spojrzenie Pomme.

Idę do naszego pokoju, który jest już tylko moim pokojem. Patrzę na obraz Perrine, który mi ofiarowałaś – marynarski sweter na lnianym, surowym płótnie. I obraz Yannick, który ja ci dałem – wyspa z czerwonym żaglem na środku oceanu. Mój iPad odtwarza dziarski dźwięk, żeby mi przypomnieć, że nie zsynchronizowałem go z komputerem od dziesięciu dni. Od twojej ostatniej nocy. Absurdalna nadzieja wypełnia moje serce na myśl, że zostawiłaś mi jakąś wiadomość, ale nie. Robię porządek w mailach, sortuję, wyrzucam do wirtualnego kosza reklamy podróży, których już nie odbędziemy, oraz kosmetyków, których już nie użyjesz. Stos propozycji, które już nie będą cię kusić.

Listy do ciebie piętrzą się przy wejściu, nie jestem w stanie ich wyrzucić. Proponują ci abonamenty miesięczników, pomoc w badaniu słuchu, ubezpieczenie pogrzebowe. Wygrałaś jakąś podróż, mikrofalówkę i tablet, powinnaś tu zostać. Twój żakiet wisi na wieszaku, botki o psychodelicznym wzorze stoją przy wejściu razem z naszymi. Zakupy robiłaś u handlowców sprawiedliwie, żeby nikt nie był zazdrosny. Chleb kupowałaś u obu piekarzy, książki we wszystkich trzech księgarniach, a resztę w trzech supermarketach. Odeszłaś pod koniec października, zapłacisz podatki za dziesięć miesięcy.

Wysłałem do Ubezpieczenia Społecznego kartę informacyjną od lekarza, który stwierdził twój zgon. Otrzymałaś na twoje własne nazwisko zawiadomienie, że twoje ubezpieczenie nie pokryje kosztów tej wizyty, gdyż umarłaś.



11 LISTOPADA

Jo, wyspa Groix

Dziś są urodziny Mimi, która prowadzi „Boutique de la Mer” ze swoim mężem Patem. Stół ustawiony przy kominku. Brakuje twojego pieprzonego talerza.

– Dziś nie będziecie zmuszeni jeść ciasta mojej żony – mówię, żeby się nie rozkleić.

Ci, którzy je znali, odmawiali, rzemieślnicy i nowi znajomi wpadali w pułapkę.

– Było takie twarde, że nawet namoczone w kawie nie robiło się bardziej miękkie.

– Nawet pies naszego ogrodnika nie chciał go jeść.

Przywołujemy dobre chwile z tobą, zajadając kurczaka w coca-coli, jesteście dziś królikami doświadczalnymi, bo przewiduje to danie na wigilię. Co roku Pat i Mimi organizują wieczorek tematyczny, nasze zdjęcia w różnych przebraniach wiszą na ścianach ich salonu, twoje błękitne spojrzenie bierze sobie moją duszę na cel. Odwracam się do tych zdjęć plecami, ale wiem, że świetnie się bawiłaś w tym kowbojskim kapeluszu z coltem u pasa, stojąc trzy lata temu obok Betty przebranej za dziewczynę z saloonu.

Urodziny Mimi wypadają w dzień rozejmu 1914-1918 i w dzień, kiedy odszedł Beudeff. Szefem „Ty Beudeff” był Alain, dla żeglarzy z całego świata było to kultowe bistro, najślawniejsza knajpa pomiędzy wyspami Scilly a Azorami. Piwo i rum miały tu smak przyjaźni i przygody, śpiewano tu marynarskie pieśni, a klienci wydrapywali swoje imiona w drewnie. Całe pokolenia właśnie tam usiłowały zmienić świat na lepsze. Nieraz upijaliśmy

się tam dostojnie, o kilka metrów od portu w budowie aż po kres niezapomnianych nocy. Kapitan Alain i jego zastępca Jo byli podporami życia, duszami towarzystwa, tym, co najlepsze i najmocniejsze, dodawali życiu radości.

Po tym jak odszedł, jego córka Morgann stanęła za barem. Dlaczego tylko nasze dzieci nie chcą przyjeżdżać na Groix? Co zrobiłem nie tak?

– Muszę już iść, dziękuję – mówię.

– *Black dog?* – zgaduje Pat.

Churchill tak właśnie nazywał swoją depresję. Pat mnie zna, *black dog* właśnie rozszarpuje mi serce.

– Jedna rundka kolejką, zanim wyjdiesz, Ko?

„Ko” na wyspie to zdrobnienie od kolego. Zostawiamy więc innych przy kominku i idziemy do pokoju specjalnie przeznaczonego na jego kolejkę elektryczną.

Schylamy się, aby przejść pod torami, i stajemy w centrum obwodu. Włączamy przyciski, lokomotywy się rozświetlają i ruszają. Znów staję się zachwyconym dzieciakiem i na moment zapominam o Lou. Pociągi Pata leczą moją duszę, patrzę na nie, słuchając *Go West*. Wskoczyłem kiedyś z tobą do pędzącego pociągu, nie mając pojęcia, gdzie nas zawiezie. Lou, wsiadłem na twój pokład, to była piękna przygoda, Ko!

Wracam do domu sam. Uśmiecham się, przechodząc obok sklepu rybnego. Kiedyś, kiedy Albane jeszcze tu przyjeżdżała, stanęłaś razem z nią za kobietami z miasteczka, które czekały w kolejce, komentując tutejsze wydarzenia: narodziny, śmierci, wypadki, roboty drogowe, godziny kursowania promów, kłótnie sąsiedzkie. Albane zachowała się, jakby była w Paryżu i zapytała sprzedawcę swoim świdrującym głosem:

– Ma pan labraksa? Nie pcham się przed te panie, chcę tylko wiedzieć, czy warto czekać. Trochę się śpieszę.

- Czy nie jest pani na wakacjach? – zapytała jedna z kobiet.
- Jestem, ale nie chcę tracić czasu...
- Nie chce tracić czasu na rozmowy z nami, Ko! – rzuciła inna z kobiet.
- Śpieszę się dlatego, że mamy iść na plażę, zanim będzie odpływ, pani Ko.

Prawda, Lou?

Patrząc na rozbawione kobiety, powiedziałaś do swojej własnej synowej:

- Nie znam pani, musiała mnie pani z kimś pomylić.



26 LISTOPADA

Jo, wyspa Groix

Dostałem kilka alertów Google na temat dzieci. Cyrian poszedł na rozdanie jakichś nagród bez Albane. Sarah była na przedpremierowym pokazie jakiegoś filmu. Nasze dzieci pięknie wyglądają na zdjęciach, które ilustrują te artykuły. Przy tobie, Lou, czułem się młody, byłem jedną z tych osób, od których żąda się dowodu osobistego, kiedy chce skorzystać z ulgi dla seniorów. Teraz dużo trenuję, żeby wkrótce zostać SZW – starym zapijaczonym wdowcem. Oczywiście pełnym godności, ze względu na Pomme.

Naukowo podchodzę do konkursu na najlepszego pijusa. Widziałem, jak ojciec pił po powrocie z połowów. Widziałem, jak jego towarzysze pili za niego, kiedy jego statek wrócił do portu bez niego, miałem tyle lat, ile Pomme. Oni pili, żeby poczuć, że żyją. Ja piję, żeby nie czuć, że umarłaś.

Jestem ponury rano, pijany w południe, wieczorem lepiej mnie nie oglądać. Tankuję w siebie whisky, czerwone wino, białe wytrawne, ale mam zasadę – nigdy nie piję piwa.

Nie zapomniałem pacjenta, którego zapytałem: „Pije pan wino?”. A on odpowiedział mi: „Nigdy nie piję alkoholu, doktorze, to nie jest dobre dla serca. Piję tylko piwo, dziesięć puszek dziennie, ale nigdy żadnego wińska, ja dbam o zdrowie!”.

Koledzy mi współczują, ale chwalą Boga, że zabrał ciebie, a nie którąś z ich żon. To bardzo ludzkie. Maëlle zmusza mnie do jedzenia, żeby ograniczyć kłopoty. Staram się nie pokazywać Pomme. Serge Reggiani wciąż, w kółko śpiewa w mojej głowie *La Chanson de Paul*: „Piję za domy, które opuściłem,

za przyjaciół, którzy opuścili mnie, i za ciebie, bo mnie pocałowałaś”.

Czy naprawdę tylko ja jeden jedyny kiedykolwiek cię pocałowałem, Lou?

Alkohol sprawia, że popadam w paranoję. Odnajduję twój notes. Co jest pod tymi skreśleniami? Dlaczego niektóre słowa są nieczytelne? Miałaś coś zaplanowanego na 3 grudnia, nie daję rady odczytać, co to było. Zbyt małe litery, trzeba by mieć lupę. Biorę telefon komórkowy, robię zdjęcie strony, rozsuwam palce na ekranie, aby powiększyć obraz i czytam: „9 h 30 brkfst Dan”. Jest też adres paryskiego hotelu w Dzielnicy Łacińskiej przy rue Monge. Brkfst to breakfast, śniadanie. Z kim miałaś się spotkać w tym hotelu?

Co to za bydlak ten Dan?



30 LISTOPADA

Pomme, wyspa Groix

Dzisiaj są twoje urodziny, Lou. Odkąd ciebie nie ma, Jo przypomina homary w akwariu portowym. Żyje, ale jest w pułapce, jakby czekał na podbierak, który go odłowi, a potem będzie można go zjeść po amerykańsku. Za dużo pije, ma oczy czerwone jak królik, chwieje się i drżą mu ręce.

Dziś jest w kuchni w czasie podwieczorku. Ma dziwny uśmiech. Wyjmuje mąkę, solone masło, jajka, śmietanę, jogurty i to, co na wyspie nazywamy *suc' jaune*.

– Lou chce, żebyś nauczyła się robić *tchumpôt*. Twoja siostra też powinna się tego nauczyć. Lucette z Locquetas dała mi przepis.

Wsypuję mąkę do salaterki, dodaję sól, śmietanę, jogurty i jajka. Biorę ściereczkę i kładę ją na stole, potem wywracam na to zawartość salaterki i wyrabiam ciasto. Dodaję ciemny cukier (*suc' jaune*), pośrodku układam masło. Zwijam ciasto, żeby utworzyć coś w rodzaju pieroga. Zawijuję w ściereczce jak cukierek. Zanurzam to we wrzącej wodzie.

– Zjemy to potem razem?

Dawny Jo nie całkiem zniknął, jego twarz się rozpromienia.

– Tak, moja Tarto Jabłkowa [1](#).

Pochyliam się nad garnkiem, żeby sprawdzić, czy wszystko idzie dobrze.

– Nie oparz się, uważaj!

Nagle przerywa. Patrzy na bliźnę przy moim oku. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Pogratulował mi, że miałam na tyle refleksu, żeby włożyć twoje ręce i moją twarz pod zimną wodę. Smarował nam oparzenia maścią

biafine, a potem to wydarzenie stało się tematem tabu.

– Tego dnia, kiedy kot przewrócił kafeterkę – zaczyna, patrząc mi prosto w oczy.

– To już przeszłość.

– Poparzyłyście się, babcia i ty.

– Był jakiś refleks światła na powierzchni kawy i Tribord myślał, że to mysz. To przykre wspomnienie Jo, od tego robię się smutna.

Nie nalega. Mama wraca z pracy w chwili, kiedy wyjmujemy z wody *tchumpôt*. Nie da się go dużo zjeść, jest syty i Jo mówi, że zapycha arterie, ale jest przepyszny. Dokończymy ciasto jutro, pokrojone w plastry i odsmażone na gorącym maśle.

Jo wysłała mnie do domu opieki na rowerze, żebym zawiozła kawałek *tchumpôt* tej pani, która grała z tobą w la vache i w scrabble.



Charlotte, Le Vésinet

Mama przysłała po mnie do szkoły. Zostawiam tornister w wejściu i biegnę do kuchni. Koperta zaadresowana do mnie leży na stole. Nadeszła z Groix, nie poznaję pisma. Zawsze pisała do mnie babcia, dziadek tylko podpisywał.

„Moja Szarlotko Gruszkowa, dziś są urodziny babci, ona chciałaby, abyś Ty i Twoja siostra, Tarta Jabłkowa, zrobiła *tchumpôt*. Przepisałem Ci przepis. Całuję”.

Podaję list mamie.

– Twoja babcia pod koniec życia była niespełna rozumu, kochanie. Idź lepiej i pooglądaj telewizję. Co za absurdalny pomysł. Dzieci nie gotują, to niebezpieczne!

- Dziadek powiedział, że to dzisiaj.
- Nie mamy ciemnego cukru.
- Mamy, jest w szafie u góry, dziadek przywiózł. Tata uwielbia *tchumpôt*.
Wie, że to manipulacja, wzdycha.
- Zgoda, ja to zrobię, a ty będziesz patrzeć.
- Pomme na pewno nie zadowoliliby się patrzeniem.
- Widziałaś bliznę po oparzeniu, którą ma koło oka? Oto do czego dochodzi, kiedy pozwala się dzieciom na zabawy z gazem. Możesz otworzyć masło, weź nóż z okrągłym czubkiem, nie zbliżaj się do pieca.
Sfrustrowana patrzę, jak pracuje.
- Zjemy je razem wieczorem?
- Tata wróci późno, będziesz już spała. Moja wątroba źle reaguje na masło, cukier powoduje trądzik, zjesz tylko odrobinę.
Przykro mi, że powtórzyłam Pomme, że być może nie jesteśmy siostrami. Czasami robię wszystko, żeby ludzie mnie nienawidzili. Lubię krzywdzić innych, bo to przynosi mi ulgę.
- Kiedy znów wrócimy na Groix? Chciałabym zobaczyć Pomme!
Mama jej nie wybaczyła, że zabrała mnie rowerem na przejażdżkę po wyspie.
- Ona ma na ciebie zły wpływ. Nie potrzebujesz przyjaciół, bo masz mnie. Ma się tylko jedną mamę, wiesz?



Lou, tam, gdzie idzie się potem

Dziś są moje urodziny. Urodziłam się tego samego dnia co Winston Churchill. Tak chętnie spróbowałabym *tchumpôt* moich wnuczek. Chciałbyś zrobić mi prezent, Jo? Żeby mi go dać, nie musisz przejmować się rozmiarem, kolorem

ani żadną numeracją. Przestań po prostu się zabijać na raty! Pij wodę.

1. Pomme – imię dziewczynki po francusku znaczy także jabłko. [\[wróć\]](#)



3 GRUDNIA

Jo, Paryż, rue Monge

W dzień po twoich urodzinach obudziłem się chory i cały dzień przeleżałem w łóżku. Mój kolega Alexis przypomniał mi, że marskość wątroby nie jest najprzyjemniejszym sposobem na umieranie. Po jego wyjściu znów otworzyłem twój notatnik jak topielec chwytający się ostatniej deski ratunku. Jak mój ojciec, który wypadł ze swojego kutra i być może też uczeplił się jakiejś deski, zanim utonął.

Jeszcze wiosną byłaś moim szczęściem. Zaczęłaś zapominać w styczniu, ale nie zwróciłem na to uwagi, naprawdę odbiło ci w marcu, a ja tylko zaprzeczałem. Kompletnie odpłynęłaś w czerwcu, potem przeniosłaś się do domu opieki. Razem spędziliśmy tam pierwszą noc, leżąc jedno obok drugiego w twoim nowym pokoju. Byłaś tam najmłodsza, miałaś zaledwie pięćdziesiąt sześć lat. Nikt nie rozumiał twojej decyzji oprócz lekarza prowadzącego i mnie. Wysłuchaliśmy uwertury do opery *Moc przeznaczenia* Verdiego, jedząc tartinki z pasztetem z homara. Błagałem, byś wróciła do domu. Nie zgodziłaś się, Pomme i Maëlle na lato przeniosły się do Locmarii, dlaczego nie miałabyś zostać ze mną w miasteczku? Uparłaś się. We Włoszech życząc komuś szczęścia, mówi się *in bocca al lupo*, czyli „w wilczy pysk”, a osoba, do której to powiedziano, odpowiada *crepi il lupo*, „niech wilk zdycha”. Źle mówię po włosku, więc pewnie powiedziałem Lou zamiast *lupo* i wyszło: „niech Lou umrze”.

Nigdy cię nie zdradziłem, Lou. Czy ty też mnie nie zdradzałaś? Docieram na ulicę, gdzie jest ten pieprzony hotel, gdzie dziś rano o 9.30 jesteś umówiona na

spotkanie na śniadanie. Kto to jest ten Dan? Nie byłem w stanie dreptać po tej mojej wyspie, nie wiedząc tego.

Wchodzę do sali jadalnej o ścianach w kolorze ochry, na której środku stoi wielki bufet. Rodziny nakładają stosy jedzenia na talerze, turyści chowają w torbach słodkie bułeczki, które przegryzą, kiedy dopadnie ich głód. Siadam w pobliżu okna, zamawiam espresso. Czekam. Zjawia się facet w moim wieku, ma wypomadowane włosy zaczesane do tyłu, dopasowany garnitur, buty z czubkami. Chcę przygłodzić moje niesforne kłaki na czaszce, ale to próżny trud. Mężczyzna siada, patrzy na zegarek, sprawdza coś w telefonie. On też na ciebie czeka? Nie wie, że już cię nie ma. Jest głodny, przełyka głośno ślinę, patrząc na bufet, ale jest grzeczny, cwaniak, nadal czeka.

Wysyła SMS-a. Na pewno mu nie odpiszesz. Robi grymas. Nie lubi kobiet, które się spóźniają. Jeszcze moment i zwyzywałby cię. A gdzie był ten cham miesiąc temu, kiedy cię chowaliśmy? Jak go poznałaś? To jeden z twoich byłych? Dawny kochanek, z którym spotykasz się raz do roku tego samego dnia w tym samym hotelu? Kocha się z tobą z grą wstępną czy bez? W jakiej pozycji? Jest cichy, gadatliwy, mrukliwy? Komentuje? Nie ma obrączki. Chciałaś mnie dla niego rzucić? Ręka mi drży. Rozlewam kawę na stolik i spodnie. Podchodzi kelnerka. Ten twój fagas nie zwraca na to uwagi, zapierdolę go z sadystyczną radością. Wstaję i czuję się groteskowy z udami poplamionymi kawą. Idę w jego kierunku. Moje stopy ważą z tonę. Pochylę się nad nim i z uśmiechem nacisnę kciukami jego tętnice szyjne. To zwolni pracę serca i zmniejszy dotlenienie mózgu. „Jestem lekarzem, proszę się rozejść” – krzyknę i podtrzymam go, zanim upadnie, potem dam mu ostrzeżenie.

Skoncentrowany na telefonie twój wypomadowany fagas nie zauważa, że podchodzę. Wyciągam ręce do przodu. Wyglądam jak Playmobil. Jakaś kanciasta kobieta o szpiczastym nosie i chropawym głosie, ubrana w czerwony płaszcz omija mnie i rzuca mu się w ramiona.

– Był wypadek w metrze, jakiś świr rzucił się pod wagony.

– Już miałem stąd iść – burczy wypomadowany. – Miałem straszny kocioł w domu, żona nie dawała mi spokoju.

– Mój mąż też się do mnie przypieprzył – zgrzyta szpiczasty nos.

– Oni naprawdę są wkurzający, ci samobójcy, myślą tylko o sobie!

Piękne epitafium. Jak mogłem uwierzyć, że zdradzałaś mnie z taką miernotą?

– Doktorze?

Odwracam się zaskoczony. Uśmiecha się do mnie młoda kobieta o pięknych piersiach w obcisłej sukience i w butach na wysokim obcasie.

– Moje kondolencje, doktorze.

– Czy my się znamy?

– Miałam się spotkać dziś rano z pana żoną. Jestem Dany.

Moje neurony szaleją. Dan znaczy Dany. Podejrzewałem cię bez potrzeby. Kobieta wskazuje krzesło i siada naprzeciw mnie.

– Mogę?

Kiwam głową. Kim ona jest?

– Jak pani mnie rozpoznała? – pytam zaintrygowany.

Wskazuje pomarańczowego Josepha na moich ramionach.

– Pański znak fabryczny, poza tym jest pan podobny do Cyriana. To znaczy, on jest do pana podobny.

To znaczy, że ta kobieta zna naszego syna. Kelnerka materializuje się obok nas i szepcze jej coś do ucha.

– Mam kłopot z jednym klientem, zaraz wracam.

– Ta młoda kobieta tu pracuje? – pytam kelnerkę.

– Jest tu dyrektorką, proszę pana.

– Może mi pani podać jej nazwisko?

Wyciągam komórkę i wpisuję jej imię w połączeniu z imieniem Cyriana. Google podaje mi link. Klikam. To *think tank*, grupa profesjonalistów, którzy

wymieniają się pomysłami. Klub spotyka się co miesiąc w tym hotelu. Przesuwam zdjęcia mężczyzn w garniturach i pod krawatami. W zebraniach uczestniczy jedna kobieta w garsonce. Inna, także widoczna na zdjęciach, jest w obcisłej sukience z oszłamiającym dekoltem. To Dany. Przechodzę od jednego zdjęcia do drugiego i nagle zaczynam rozumieć. Dany ma udo przyklejone do uda naszego syna. To nie ty miałaś kochanka, Lou. Patrę na twarz Cyriana. Jest zmieniona. To dlatego chciałaś, żebym przeczytał twój kalendarz, żebym pomógł Cyrianowi opuścić Albane i rozpocząć nowe, szczęśliwe życie z tą Dany? Myślę o tym cyrku, który odstawił, kiedy notariusz oświadczył, że cię zdradziłem!

– Przepraszam – mówi Dany, siadając.

Jej uśmiech i piersi są przecudowne. Albane to nie ta sama klasa.

– Kocha pani mojego syna?

– Jest pan z tych bardzo, powiedzmy, dyskretnych.

– Jestem lekarzem.

– To lekarze są niedyskretni?

– Siłą rzeczy pytają o wszystkie ważne sprawy, nawet intymne. Jestem kardiologiem, zajmuję się sprawami sercowymi.

– Jest pan zaszokowany, że syn zdradza żonę?

– Zaskoczony. Mam do pani pytanie.

– Czy jestem jedną z tych kobiet, które rozbijają małżeństwa?

– Czy mój syn jest szczęśliwy?

Wiele bym dał, żeby odpowiedziała twierdząco. Ona jednak kręci głową.

– Jest rozdarty między mną a żoną. Żonaci mężczyźni mają kochanki jak świat światem, to nie ułatwia im życia, ale sprawia, że jest bardziej ekscytujące. Ja nie zamierzam wychodzić za Cyriana, nie zamierzam zajmować się domem. Jestem wolną kobietą, żadnych kul u nogi, obietnic, zobowiązań, a w szczególności żadnych dzieci, ale chciałabym, żeby cały czas był do mojej

dyspozycji.

– Więc pozostanie nieszczęśliwy?

– To jakaś obsesja – mówi Dany, śmiejąc się gardłowym, zmysłowym, wystudiowanym śmiechem.

– Nie, misja – odpowiadam, wstając.



Sarah, Paryż, rue de Sévigné

Moje mieszkanie to dawny warsztat usytuowany na strychu w dzielnicy Le Marais. Bank nie chciał dać mi kredytu z powodu mojej choroby, musiałam podpisać specjalne ubezpieczenie. Zarabiam więcej, niż zarabiał tata, kiedy jeszcze ratował ludzkie życie, to mnie krępuje. Nie robię żadnych oszczędności, bo nie będę miała dzieci. Mieszkam na ostatnim piętrze. Winda jest wystarczająco szeroka na mój wózek inwalidzki. Przyjmuję tatę, siedząc w moim nowym wózku, oklejonym cekinami i dostosowanym do moich potrzeb.

Dziś mam jeden z gorszych dni, nie daję rady chodzić.

– Trenuję na mój kolejny wieczór z grami wideo, patrz!

Pokazuję mu futurystyczny, numeryczny panel, którym pilotuję ten prototyp made in USA. Istnieją tylko dwa egzemplarze: mój i jeszcze jeden taki sam, który posiada pewien sławny aktor chory na Parkinsona. Kiedy się spotykamy na rozdaniu Oscarów, rzucamy sobie wyzwania, które z nas potrafi zrobić lepsze figury.

– Nie mogę cię zaprosić na obiad, tato, czekam na kochanka.

– Na ukochanego?

– *Number is safety*. Lepiej mieć wielu zabawnych i uroczych niż jednego

punktualnego i zazdrośnika.

– Nie lubisz ludzi punktualnych?

– Nie. Lubię nieprzewidywalnych, takich, którzy wiedzą, co to niebezpieczeństwo. Jestem rozsądna, nigdy nie spotykam się z nikim więcej niż dwa razy, nie mówię „kocham cię”. Nauczyłeś mnie, że należy kłamać.

– Robisz, co chcesz, jesteś dorosła.

Mój obcisły strój go szokuje. Przyjechał bez zapowiedzi, trudno, jego problem. Ty nigdy byś tak nie postąpiła, mamó. Nalewam mu whisky, którą podarował mi jeden z japońskich reżyserów.

– Wiesz, że twój brat ma kochankę? – pyta nagle.

– A ty skąd to wiesz?

– Czytałem kalendarze twojej mamy i dzięki temu dziś rano poznałem Dany.

– Zrobiła sobie casting dla samych świetnych i obiecujących facetów, ale to Cyrian dostał główną rolę.

– Teraz robi się castingi na kochanków, tak jak do filmu?

– Robiłeś to samo na weselu, na którym spotkałeś mamę. To tylko kwestia nazewnictwa. Obserwowałeś dziewczyny i skupiłeś się na mamie.

– „Cóż to za wyrażenia rzadkie, niepowседневne!” ¹

– Courteline? Labiche?

– Moliere. *Mizantrop*. Cyrian jest zakochany? Dany daje mu szczęście?

– To bardziej skomplikowane. To nie on wybrał sobie Albane, ale ona go uratowała. Okazało się, że jest w ciąży, on jest jej wdzięczny. Rzadko ze sobą sypiają.

– Sarah!

– Sam pytałeś! Każda z nich daje mu coś innego. Albane uwielbia Charlotte i nienawidzi Pomme. Dany nie chce mieć dzieci i nie obchodzą jej cudze dzieciaki. Cyrian kocha swoje córki.

– Jakoś tego nie widać.

– Nie umie wyrażać uczuć. W końcu jest twoim synem.

Nigdy dotąd tak szczerze nie rozmawialiśmy.

– A ty, Sarah? Dla ciebie to też jest skomplikowane?

– Ty, tato, masz przyszłość, ja mam teraźniejszość i muszę z nią sobie radzić.

– Jesteś szczęśliwa w tej swojej teraźniejszości?

Podnoszę szklanę.

– Moje szczęście jest jak ta whisky – jest modna i kosztuje fortunę. Twoje szczęście z mamą było tradycyjne, leżakowane w dębowych beczkach. Ja jestem ulubienicą francuskiego kina, ale kiedy tylko zwiędnę, zostanę zmieciona, więc korzystam, póki mogę. Ten cud w szklance pochodzi z destylarni o kominach w formie pagody, a ja jestem pagodą w fotelu high-tech.

– Piękna metafora. Jednak nie odpowiedziałaś na moje pytanie.

– Ty nie będziesz umiał być szczęśliwy bez mamy. Zabrała jakąś część ciebie ze sobą, ale przeżyjesz jeszcze trochę dobrych chwil. Patrice zabił coś we mnie. Nie jego mi brak, ale niefrasobliwości, pewności, że jestem kochana, zaufania. Kiedyś byłam kobietą lekkiego serca, teraz jestem kobietą lekkich obyczajów. Mój rycerz zaraz przyjdzie, zaprasza mnie do takiej szczególnej restauracji, gdzie je się w absolutnej ciszy. Płaci się fortunę, a można porozumiewać się tylko oczyma. Cały Paryż tam się pcha, na stolik trzeba czekać miesiącami.

– Ludzie poszaleli. Ten chłopak pracuje w filmie? Jest aktorem?

– Nie umawiam się z facetami, którzy chcą dostać rolę przez łóżko. Kwestia etyki zawodowej.

– Nieskazitelna moralność, córeczko.



4 GRUDNIA

Jo, wyspa Groix

W pociągu, który zabiera mnie w drogę powrotną do Lorientu, czytam, że mężczyzna, który straci żonę, ma wszelkie szanse umrzeć w ciągu roku od jej śmierci. To samo można powiedzieć o kimś, kto złamie sobie szyjkę kości udowej. Wdowiec, który łamie sobie nogę, ma podwójnie przechłapano. Muszę na siebie uważać.

Telefon dzwoni dokładnie w chwili, kiedy statek przybija do brzegu.

– Tato?

– Jak miło cię słyszeć, Cyrianie.

– Liczę na twoją dyskrecję w stosunku do Albane.

– Tylko po to dzwonicz?

– Tak.

Znam go, wziął kartkę papieru, podzielił na dwie kolumny, w jednej jest: „Tak, zadzwonię do ojca”, w drugiej: „Nie, nie zadzwonię”. Zwyciężyło „tak”.

– Możesz na mnie liczyć. Zawsze możesz na mnie liczyć, Cyrianie. Twoja matka też mogła na mnie liczyć.

Nie pozwala mi wchodzić w te tematy.

– Moje życie prywatne nie powinno cię obchodzić.

– Absolutnie.

– Nie powiesz mojej żonie o Dany?

– O kim?

– O dyrektorze hotelu na rue Monge.

– Kto? Gdzie? Już dawno zapomniałem, Cyrianie.

– Dziękuję.

Odkłada słuchawkę.

W Biblii mój odpowiednik Józef, syn Jakuba, interpretuje sny faraona. W rzeczywistym życiu ja nie jestem w stanie zrealizować twoich. Hałas stolicy zagłuszył twoją nieobecność. Tęsknota za tobą zalewa mnie, kiedy idę piechotą przez port, kołysząc się na boki.

Maëlle uśmiecha się na mój widok, Pomme rzuca mi się w ramiona. Moje nakrycie stoi już na stole, jem zupę z apetytem, odmawiam wina. Opowiadam, jak wygląda miasto rozświetlone bożonarodzeniowymi lampkami, roztaczam iluzję. Pójdę spać ze swoim smutkiem, będzie nas dwóch. Kiedy Pomme idzie spać, biorę Maëlle na rozmowę w cztery oczy.

– Kiedy pewnego dnia zechcesz mieszkać gdzieś indziej, w Locmarii czy gdzieś indziej w miasteczku, nie czuj się zmuszona do opieki nade mną. Czy to jasne?

– Chcesz, żebyśmy się wyprowadziły?

– Nie chcę być dla was ciężarem. Nie jestem ani twoim ojcem, ani teściem.

– Jesteś dziadkiem Pomme. Moi rodzice nie żyją. Mamy tylko ciebie.



5 GRUDNIA

Pomme, wyspa Groix

Myślałam, że nigdy nie nauczę się składać saksofonu, teraz robię to automatycznie. Pracuję nad układem ust. Układam zęby na pochyłej części ustnika, obniżam ramiona, nie nadymam policzków. Aby wytworzyć dźwięk, wymawiam „tu”, odsuwając język. Znam nuty, te górne na lewą rękę – do, si, la, sol – ale trudno mi je zagrać. Zęby się zsuwają, przeszkadza mi język, wkładam za dużo ustnika do ust i podwijam za bardzo dolną wargę, a potem czasami udaje mi się wydobyć dźwięk jasny i wibrujący i chciałabym robić tylko to, znów i znów. Wracam do domu tanecznym krokiem. Przechodzę przez cmentarz i robię „tu”, żeby ci pokazać, jak bardzo jest to trudne. Śpiewacy mają głosy. Pianiści kładą palce na klawiszach, saksofoniści grają całym ciałem. Saksofon mnie oczarował! Uda mi się. Kiedy dobrze mi wychodzi, odczuwam wielkie szczęście, staję się wirem uczuć tak splątanych jak ocean w czasie przyływu w dniu równonocy.



Jo, wyspa Groix

Dostałem kolejne powiadomienia od Google. W stosunku do jednego z ludzi z *think tanku* Cyriana zostało wszczęte śledztwo. Mam nadzieję, że nasz syn nie ma sobie nic do zarzucenia. Sarah na zdjęciach z premier jest równie piękna jak gwiazdy filmowe grające w jej produkcjach.

Kiedy byłaś mała, 6 grudnia w zamku twojego ojca grzeczne dzieci dostawały słodycze, a niegrzeczne różgi. Dobry stary Mikołaj przyjeżdżał na swoim osiołku i wchodził przez komin wraz ze swoim złym kolegą ojcem Fouettardem. Cztery starsze siostry zajadały się mikołajami z ciasta piernikowego, a ty wyrzucałaś różgę do śmieci, smutna i zła. Tego dnia wysiewaliście soczewicę na wilgotnej ligninie, a w noc Bożego Narodzenia stawialiście ją koło żłóbka. Twoje siostry podlewały soczewicę, nie rozlewając ani kropelki wody, za to z twojego spodeczka woda zawsze wylewała się na koronkowy obrus. Inkrustowany gerydon był poplamiony i mokry, woda lała się na zabytkowy parkiet. Kontynuowałaś tę tradycję z Cyrianem i Sarah, ale eliminując ojca Fouettarda i jego sadomasochistyczne różgi. Nasze dzieci sadziły soczewicę w wyszczerbionym talerzu, ustawionym w takim miejscu, że nie można było niczego uszkodzić. Zdejmuję ze ściany ozdobny bretoński talerz z kolekcji i rozsypuję na nim soczewicę dla Pomme, żeby cię sprowokować.

Chcę, żeby ten dzień miał jakiś sens. Powoli wdrażam to, co zaplanowałem. Pomme jest w szkole, Maëlle pracuje. Jest mgła, morze jest niespokojne, warunki trudne, pogoda taka, że nie można wypuścić marynarza z domu. Muszę rzucić wyzwanie twojemu Bogu, zaproponuję Mu uczciwy *deal*. Rycerze rzucali rękawice swoim przeciwnikom, Bóg zaakceptuje ten pojedynek. Wziął cię za zakładnika. Oddam Mu siebie za ciebie. Oddam Mu swoje marne istnienie w zamian za twoje. Nie popełnię samobójstwa, po prostu ofiaruję Mu siebie. To będzie mój bilet w jedną stronę, w zaświaty. A ty zejdziesz i będziesz żyć dalej. Od zenitu do nadiru w linii prostej równowaga zostanie zachowana. Obiecałem cię chronić, kiedy cię poślubiłem, dotrzymam słowa. Jesteś bardziej potrzebna rodzinie niż ja. Oni tam po prostu się pomylili i zabrali ciebie zamiast mnie. Naprawię ich błąd. Jesteś warta o wiele więcej niż ja. Byłem twoim rycerzem ze stetoskopem, bez białego fartucha do niczego

się nie nadaję.

Wkładam wysokie buty. Jeżeli przejdę w nich przez burtę, ciężar wody wciągnie mnie na dno raz, dwa, na ramiona wkładam Josepha w paski. Zabieram plastikową kartę z nazwiskiem, żeby ułatwić identyfikację. Dorosły człowiek w dobrym stanie fizycznym może wytrzymać dwadzieścia minut w wodzie o temperaturze ośmiu stopni. Serce pod wpływem hipotermii zwolni. Z powodu prądów i wyglądu wybrzeża ciała wypływają dopiero po dziewięciu, piętnastu dniach. Zależy mi na tym, żeby ktoś mnie znalazł, nie jestem swoim ojcem. Jadę do portu i specjalnie parkuję daleko od „L’Escale”.

Myślę o hołdzie, jaki Jacqueline Tabarly złożyła mężowi w 1998 roku, w dzień letniego przesilenia patrząc w ocean. „Morze nie jest złośliwe, morze go zabrało, ale nie ukradło”.

Wybrałem dzień i godzinę, żeby nie natknąć się ani na prom, ani na rybaków, ani na żeglarzy. Słońce zanika, port jest opustoszały, mgła się rozciąga. Biorę łódkę kolegi, wkładam banknoty do koperty z jego nazwiskiem. Kopertę wsuwam za kierownicę, tu poza sezonem nie zamyka się samochodów. Łódka tańczy pod wpływem wiatru, poza portem będzie gorzej, bo fale będą nią rzucały. Sprawdzam, czy nikt mnie nie widział. Nie należę do tych niefrasobliwców, którzy wychodzą w morze w paskudną pogodę, narażając ratowników na niebezpieczeństwo. Nie ma żywego ducha. Ja też nie jestem pewien, czy żyję.

Manewruję łodzią w kierunku wyjścia z portu. Jakiś wczasowicz spędzający urlop na swojej łodzi wchodzi na mostek, kiedy przepływam z prawej burty. Wstrzymuję oddech. Tamten oddaje mocz z lewej burty, potem wraca do mesy. Ojciec nauczył mnie sterować wiosłem na ósemkę. Czeka na mnie pod wodą. Moja łódka jest skorupką orzecha na falach. Oddalam się od śluzy. Prąd ciągnie mnie na otwarte morze przy Port-Lay.

Okna naszych przyjaciół Gildasa i Isabelle są oświetlone, w kominku się

pali. Wyobrażam sobie, jak siedzą w salonie. Widzę wielkie fotele, niski stolik, kanapki z pajakiem morskim rozłożone na talerzu, słyszę śmiech Isabelle i muzykę Gildasa. To wszystko będzie toczyć się dalej już bez nas – bez ciebie od wczoraj, beze mnie od jutra.

Widziałem, jak serca, które uważałem za całkowicie stracone, znów rozpoczynały pracę. Widziałem, jak na własnych nogach wychodzili z OIOM-u ludzie, którym nie dawałem najmniejszych szans. Cuda się zdarzają. Wydaje dziki okrzyk w przestrzeń. Złamany wysiłkiem zaczynam śpiewać piosenkę *Barbara*. Wrzeszczę poprzez fale:

– „Kiedy ci, którzy wkrótce odejdą, ci, którzy nie prosili o nic, ale umieli się zachwycić swoim pobytem na ziemi. Niech sobie przynajmniej wybiorą nawet najbardziej odległą krainę na swoją ostatnią godzinę”.

Milknę zadyszany. Chwieję się. We mgle moja delikatna łódka uderza o skałę, nie mam jak jej ominąć, przechodzę przez burtę i odkrywam bardzo nierówny spadek.

Nie popełniam samobójstwa, zawarłem układ. Mam nadzieję, że tam na górze uszanują ten *deal* – moje życie za twoje. Moja głowa wystaje ponad wodę. To zimowe morze, zwycięskie, lodowate. Nocami budziłem się, chcąc się dowiedzieć, jak to było z moim ojcem. Kiedy byłem w Paryżu na internie, miałem prawo badać topielców z basenów miejskich i desperatów z Sekwany. Wolę zakończyć życie w moim oceanie. To będzie o wiele lepiej wyglądać. Wolę umrzeć i sprawić, żebyś żyła ty.



Pomme, wyspa Groix

Dziadek był jakiś dziwny dziś rano. Wychodzę ze szkoły pierwsza, nie

żegnając się z nikim, i jadę do domu, pedałuując ze wszystkich sił. Trzeba posadzić soczewicę. Talerz jest ustawiony na stole kuchennym. Jo nie ma ani w gabinecie, ani w sypialni. Skuter jest na miejscu, ale nie ma samochodu. Jadę na cmentarz. Ty tu jesteś, jego nie ma. Starsze panie mówią coś do swoich wiekowych mężów, ale oni im nie odpowiadają. Mamy ozdabiają kwiatami groby dzieci, które nigdy już nie dorosną. Rzucam garść soczewicy na twój grób i dalej szukam Jo.

Pedałuję na jego ulubioną plażę. Jest opustoszała. Jadę do portu. Samochód jest. Uff! Wchodzę do Soaz, ale nie widziała Jo. Sprawdzam w porcie, w kapitanacie, w biurze turystycznym. Sklep z ubraniami, lodami i wypożyczalnia rowerów są zamknięte. Wracam do samochodu, zauważam kopertę. Łódka jego kolegi wyszła w morze. Jeżeli Jo nie ma w porcie, to jest na morzu. Straciłam cię, Lou, nie mogłam nic zrobić, żeby ci pomóc. Straciłam tatę, który tu już nie wróci. Nie zniosę utraty kolejnej osoby, którą kocham.

Prąd płynie w kierunku Port-Lay. Biegnę aż do samego końca mola, mrużę oczy, patrzę na morze. Nic. Może tam? Nie. To tylko piana. Tam. Nie, to ptak. Tam! W oddali widać łódkę unoszącą się na falach. Na pokładzie nie widzę nikogo. Dziadek jest chory? Położył się czy wpadł do wody? Biegnę do kawiarni Soaz, ale boję się wejść. Jo by się wściekł. Ratownicy morscy to jego przyjaciele. Ich łódź ratowniczą „Notre-Dame du Calme” zwodowano w roku moich urodzin. Muszę to załatwić inaczej. Jeżeli ich zaalarmuję, dziadek mi tego nie wybaczy. Jeżeli umrze, ja sobie tego nie wybaczę.

Przenikliwy, ostry krzyk sprawia, że aż podskakuję. Dwie mewy tańczą na wietrze. Boy? Lola? Krążą nade mną przez chwilę, potem kierują się do domu, w którym mieszka dziadek bliźniaków i Johany.

– Zrozumiałam! Dziękuję!

Jadę na rowerze, stojąc na pedałach. Jestem wściekła, spływam potem. Jeżeli moje płuca wybuchną, już nigdy nie zagram na saksofonie. Uda i łydki

palą mnie żywym ogniem. Jadę ścieżką, która prowadzi w dół od portu, ślizgam się, o mało nie pikuję na głowę do czarnej wody. Roztrzaskałabym się o jakiś statek poniżej. Prostuję kierownicę jednym ruchem. Docieram do domu, walę w drzwi, brakuje mi tchu. Gildas zauważa mnie przez okno i wychodzi.

– Łódka... Jo. Tam!

Jestem zbyt zdyszana, żeby mówić, gestykuluję. Zanim oddech mi się uspokaja, Gildas i Isabelle biegną już do swojej łodzi. Zapada noc, nie widzę już łódki dziadka. Przenika mnie lodowaty wiatr. Siedzę na końcu mola z nogami zwieszonymi w pustkę.



Jo, wyspa Groix

Mam skostniałe palce. Moje ciało zamarza. Powtarzam sobie w pamięci tekst na temat utonięcia znaleziony w sieci. Ciało ludzkie ochładza się w wodzie dwadzieścia pięć razy szybciej niż w powietrzu. Temperatura spada, żyły się kurczą, aby zapobiec utracie ciepła. Krew cofa się do wnętrza ciała, co zwiększa ciśnienie tętnicze. Serce zwalnia, żeby zapobiec nadciśnieniu. Mózg jest mniej ukrwiony i człowiek traci świadomość, potem albo następuje zatrzymanie akcji serca, albo umiera się z powodu utonięcia. Człowiek staje się białą utopioną sową albo połyka się dużo wody i umiera z braku tlenu i staje się siną sową, też utopioną.

Jestem w wodzie zupełnie sam i myślę o swoim ojcu tonącym pośród ławicy ryb, które nie mówiły jego językiem. Wyrzucam go z pamięci, moja ostatnia myśl będzie poświęcona tobie. Zgrabiałe palce nie są w stanie utrzymać się skały, nie słuchają już rozkazów płynących z zamroczonego

mózgu. Odpływam daleko w przeszłość aż do tego dnia, dnia tamtego ślubu, kiedy ci powiedziałem, że posklejam twoje oczy w kolorze złamanego błękitu. Ja utonę, a ty się obudzisz na moim miejscu w łodzi. Trzymam się skały już tylko dwoma palcami, to marny chwyt. Kiedy puszczam skałę, moje palce głaszczą ją, jakby to był aksamit twojej skóry.

Odgłos silnika zagłusza dźwięk fal. To musi być miraż spowodowany niedotlenieniem mózgu. Odsuwam się od skały, moja ręka opada wzdłuż ciała, staję się morskim żołnierzem, mały palec na szwie spodni, usta na poziomie fali, oczy podrażnione solą wpatrzone w linię błękitnych wód. Prąd mnie stąd zabierze, ukochana. Tam, na górze, ty pakujesz już walizki, żegnasz się ze swoimi nowymi znajomymi. Spotkałaś mojego ojca? Zobaczyłaś się z naszym przyjacielem Jacquesem? Odnalazłaś matkę?

– Jo, Boże jedyny!

Czy ludzie w rajach tam mówią?

– Jo, słyszysz mnie? Złap bosak! Chwyć go!

Ten głos nie pochodzi z nieba. Gildas steruje łodzią, Isabelle wyciąga bosak w moją stronę.

– Od... piep... rzcie... się ode mnie.

Oni wszystko zepsują. Wyobrażam sobie, że jesteś gotowa do przekroczenia progu. Droga jest wolna, Lou, schodź!

Gildas się rozbiera i wchodzi do wody, cały się trzęsąc. Dociera do mnie dwoma mocnymi pociągnięciami ramion.

– Chcę uratować... Lou... pakt... zawarłem pakt... – bełkoczę.

– Jo, jeżeli będziesz się opierał, ogłuszę cię! – wrzeszczy w falach.

Łapie mnie pod ramiona, nie mam siły, żeby mu się przeciwstawić, daję się wlec jak szmaciana lalka. Wszystko stracone. Nie zejdziesz z powrotem na ziemię. Bóg nie zgodził się na wymianę. Gildas wciąga mnie na łódź, upadam na pokład. Isabelle okrywa mnie kocami.

*

Podtrzymują mnie przy wysiadaniu, idziemy do nich do domu. Zасыpiam z wyczerpania, budzę się, leżąc na kanapie przed kominkiem. Mam na sobie rzeczy należące do Gildasa. Isabelle podaje mi parujący kubek.

– Pij, to cię rozgrzeje.

Jestem posłuszny. Grog przywraca mi kolory. Pomme siedzi obok mnie. Jej wielkie oczy są tak ogromne, że zajmują prawie całą twarz.

– Co ty tu robisz? – bełkoce.

– Uratowała ci życie. Powiadomiła nas – mówi Gildas.

– Tak strasznie się bałam, dziadku!

Po raz pierwszy w życiu mówi do mnie dziadku. Wyciągam do niej rękę, a ona się układa przy moim ramieniu. Jej dziecięce oczy sprawiają, że czuję się zakotwiczony w teraźniejszości. Żal po tobie odpływa siłą inercji. Twój Bóg chodził po wodzie, nie poszedł ze mną na układ. Kusiłem diabła, odmówił. Ankou pewnie miał coś lepszego do zrobienia. Powinienem być lepszym dziadkiem dla Pomme, spokojnym emerytem grającym w bule. Byłem złym ojcem, jestem marnym przodkiem.

– Zrobiłeś to specjalnie? – pyta zmienionym głosem.

– Nie.

Gildas nic nie mówi, bo jest tu Pomme. Zgaduję, co myśli. „Możesz tam wrócić każdego ranka czy wieczora, chcąc, by ocean cię pochłonał. Nie można zmusić ludzi do życia. Mogę też uprzedzić twoje dzieci i wezwać lekarza. Zapisze ci antydepresanty i pójdziesz do szpitala, ale potem wrócisz i morze znów będzie cię kusić”.

– Wcale nie chciałem ze sobą skończyć.

„A tak właśnie to wyglądało” – krzyczą oczy Isabelle.

– To był pakt. Uratowaliście mnie, *deal* przepadł jak kamień w wodę.

Spodobałoby ci się moje poczucie humoru.

– Obiecacie, że nikt się o tym nie dowie – ani moje dzieci, ani Maëlle czy Charlotte. Mogę na ciebie liczyć, Pomme?

Potakuje z powagą, jaka nie pasuje do jej wieku. Odwracam się do moich gospodarzy.

– Ani nikt z naszych znajomych z „bandy z siódmego”, zgoda?

Zgadzą się.

– Boy i Lola wiedzą, bo to oni mnie uprzedzili, ale zachowają to w sekrecie – mówi Pomme. – Przysięgnij, że znowu tego nie zrobisz.

– Przysięgam.



Pomme, wyspa Groix

Gildas odwiózł nas do domu samochodem. Jutro wrócę po rower. Jo rozgrzewa się przy kominku, wziął najpierw gorącą kąpiel. Mama jeszcze nie wróciła. Dziś robi inwentaryzację w księgarni.

– Uratowałaś mi życie, Pomme, jestem twoim dłużnikiem – mówi Jo.

– Jak ten mały chłopiec w Himalajach?

Tego dnia, kiedy Jo opowiedział mi tę historię, jedliśmy obiad w kuchni, położył obie ręce płasko po obu stronach talerza i powiedział:

– Kiedyś uratowałem życie małemu chłopcu dzięki czemuś, co leży na tym stole.

– To był nóż?

– Nie.

– Widelec? Łyżka?

Wyciągnął do mnie dłonie i wytłumaczył. Kiedy byłem dzieckiem, Jo zabrał ciebie, Lou, w podróż do Bhutanu, kraju, w którym istnieje wskaźnik Szczęścia

Narodowego Brutto. Ten kraj leży między Chinami a Indiami. Jechaliście samochodem z napędem na cztery koła. Mieliście kierowcę i przewodnika. Zatrzymaliście się, żeby popatrzeć na zawody łucznicze. Tam jest to sport narodowy. Bhutańczycy w kimonach w paski, w całkiem nowoczesnych butach sportowych napinali swoje tradycyjne łuki z bambusu i strzelali do celu, który znajdował się gdzieś w oddali. Staliście na uboczu, podziwiając łuczników. Wiszący most ustrojony flagami modlitewnymi kołysał się nad korytem wyschłej rzeki, z daleka patrzył na was jakiś jak i wszyscy byli radośni. Potem nastąpił dramat, mały chłopiec został ugodzony strzałą w pierś. Upadł na wznak, ludzie z wioski otoczyli go, a matka wyciągnęła rękę, chcąc wyrwać strzałę z ciała synka.

Jo głośno krzyknął, chcąc temu zapobiec, ale był zbyt daleko. Kobieta nie rozumiała po francusku, dokończyła to, co zaczęła. Nie powinna tego robić, bo strzała zapobiegała krwotokowi, trzeba było ją zostawić i zawieźć dziecko ze strzałą w sercu do chirurga, on by ją wyjął na stole operacyjnym. Jo podbiegł do dziecka, jego serce krwawiło, włożył palce w ranę. Bhutańczycy i Bhutanki, którzy są buddystami i wierzą w karmę, krzyknęli z przerażenia. Jo, zatrzymał krwotok. Wtedy ty interweniowałaś, Lou, odezwałaś się do tej mamy z Himalajów, prosząc przewodnika o przetłumaczenie, wyjaśniłaś jej, że twój mąż jest lekarzem i chce sprawić, by serce jej syna nie pozbyło się całej krwi. Kobieta powiedziała, że jej syn ma na imię Tachi i powierzyła go wam. Przewieźliście go do szpitala w swoim samochodzie, a Jo cały czas trzymał palec w jego ranie, aż do sali operacyjnej. Chirurg zoperował Tachi i uratował mu życie. Co roku dostajecie kartkę z kraju Grzmiącego Smoka. Tachi właśnie skończył osiemnaście lat.

Dziś nie uratowałam Jo moimi rękoma, uratowały go moje nogi pedałujące do Port-Lay prawie tak szybko jak światło.



Lou, tam, gdzie idzie się potem

Jak mogłeś Jo? Inni pewnie dadzą się nabrać, ale ja ciebie zbyt dobrze znam. Wymiana między ziemią a niebem? Kretynstwo! Jesteś lekarzem, wiesz, jak to się odbywa. Krew krzepnie, płyny wypływają, skóra odpada od kości, wszystko się rozsypuje. I chcesz mi wmówić, że nie chciałeś ze sobą skończyć?! Gdybym nie była martwa, dostałabym od tego wrzodów żołądka. Bierzesz naszą wnuczkę i przyjaciół za idiotów. Powierzyłam ci misję, a ty się chciałeś wymigać. Postawiłeś swój żal przed szczęściem naszych dzieci. To nie jest dowód miłości. W Bhutanie powiedziałeś mi, że to ja jestem twoim Szczęściem Narodowym Brutto, twoim szczęściem z Groix brutto. Ja nie zniknęłam, nie przeszłam na drugą stronę lustra, ja umarłam. To moja karma, moje przeznaczenie, nic z tym nie da się zrobić. Ty musisz żyć.



7 GRUDNIA

Jo, wyspa Groix

Moje okulary utonęły. Wpadam do Bruno i Florence, barwnych optyków, których ty nazywałaś optylianami. Florence ma stojące na głowie czerwone włosy, kolorowe oprawki, jedno szkło kwadratowe, drugie okrągłe i nosi jaskrawe ubrania. Zanim oni tu się pojawili, ludzie, którzy chcieli widzieć wyraźniej, musieli płynąć do Lorientu. Odkąd tutaj są, wypiarze widzą życie na kolorowo.

– Potrzebuję waszej pomocy, moje oczy są na dnie wody.

Sądzą, że kąpałem się w okularach. Nie wyprowadzam ich z błędu.

– Zrobimy to jak najszybciej się da.

Bruno pożycza mi zastępczą parę okularów. Wczoraj się przeziębilem, nie, nie rozchorowałem się jakoś specjalnie poważnie, złapałem tylko wredny katar. Przeglądam twój kalendarz. Notatka wiosenna mrozi mi krew w żyłach. Narysowałaś drzewo genealogiczne, które ukazuje związki pomiędzy tobą, mną, naszymi dziećmi i wnuczkami. Twoja choroba była aż tak zaawansowana?

Zaskoczyłaś mnie, nie dając mi czasu na reakcję, Lou. Zaczęłaś mieć luki w pamięci, zapominałaś, gdzie zaparkowałaś samochód, wiele razy płaciłaś te same faktury, pomijając inne, te naprawdę nie zapłacone. Wsiadłaś do zupełnie nie tego pociągu, jadąc na obrady jury Prix Clara w Paryżu. Powiedziałaś komuś, że nie masz dzieci, a potem na widok wyrazu mojej twarzy nagle wróciła ci pamięć i udawałaś, że to był zwykły żart. Potem stało się to, co się stało. Przeprowadziłaś się, stałaś się zupełnie inną osobą.

Otwieram twoje stare kalendarze i nasi dawno zmarli znajomi wracają do życia. Nasz przyjaciel Jacques znów ze śmiertelną powagą opowiada swoje żarty. Beudeff nalewa piwo. Jean-Luc jedzie na swój kolejny reportaż. Jean-Louis segreguje pocztówki. Michel maluje akwarelami. Manu reguluje telewizor, ojciec Véronique stoi za kołem sterowym swojej łodzi. Marion idzie przez miasto, Florent wyprowadza psa Olafa, obaj mężowie Jeanne majsterkują.

Odwracam strony, przewijam nić czasu. Sarah nie jada z nami wigilii, odkąd stała się dorosła, przyjeżdża dopiero 25, nigdy jej nie pytałem, co robiła poprzedniego wieczora. Ty z pewnością wiedziałaś. W zeszłym roku tego dnia napisałaś: „Sarah Princ” i zakreśliłaś to na czerwono. Czy Sarah spędzała te święta na Uniwersytecie Princeton w New Jersey? W kostiumie o wzorze *prince-de-galles*? Z księciem? Patrząc na poprzednie lata, wciąż jest Princ. Sarah nigdy nie umawia się z nikim częściej niż dwa razy, a może to jakiś wyjątek od reguły? Kochanek bożonarodzeniowy? W każdym razie to nie jest Patrice. 23 grudnia zanotowałaś też „Cyr + Dan”, 24 napisałaś „Cyr + Alb”. Która z tych dwóch kobiet da szczęście naszemu synowi? Mamy tylko jedno życie, Lou, on nie umie wybrać. Nie mogę zdecydować za niego. Nie mogę decydować za Sarah. Czego ty chcesz? Żebym odnalazł Patrice’a? Żebym wyeliminował Albane? Daj mi jakąś wskazówkę!

Przyjeżdżam do Fred z większością grupy na mój drugi już bez ciebie obiad „bandy z siódmego”.

Jean-Pierre pyta mnie, jak mi idzie z alertami Google. Opowiadam mu o spotkaniu z Dany. Dyskretnie oddaję ubrania Gildasowi. Jem, piję, znów zaczynam zawracać głowę przyjaciołom.

- Skąd wiecie, że wasze dzieci trafiły na dobrych towarzyszy życia?
- O, znowu?
- Nie, pytam poważnie, potrzebuję waszej pomocy.

Wszyscy zaczynają mówić naraz.

- Nie wtrącamy się w ich życie prywatne.
- Chroniliśmy ich, jak byli mali, teraz oni żyją swoim życiem.
- Mąż mojej córki jest porządnym facetem.
- Żona mojego syna jest urocza.

Małżonkowie ich dzieci są tolerancyjni, dobrotliwi, szlachetni. Lewicowi oczywiście, albo prawicowi co logiczne, nie są antysemitami ani rasistami, no po prostu są w porządku.

Fred przynosi półmisek curry. Rozmowa zamiera i wszyscy wyciągają talerze. Przypominam sobie, jak mój ojciec mówił o swojej załodze. Nie to było najważniejsze, by ktoś był najlepszym rybakiem, ale żeby był człowiekiem, na którego można było liczyć w czas zawieruchy, kiedy nie ma słońca, nie ma ryb i nie ma pensji. Przypominam sobie moją pracę na internie. Najważniejsze nie było być najzdolniejszym, ale najbardziej ludzkim. O to ci chodzi, Lou? Chcesz, żebym odkrył, czy Albane, Dany i Patrice są dobrymi ludźmi? Wysyłasz mnie szukać wiatru w polu do krainy Troskliwych Misiów?



10 GRUDNIA

Dany, Paryż, rue Monge

Zarządzam hotelem, harując od rana do nocy. Moja praca przynosi dochody, mimo kryzysu moje obroty rosną. Udzielam się na portalach społecznościowych, organizuję wieczorki tematyczne, dopieszczam kluby i stowarzyszenia, które się u mnie spotykają, cały czas, dwadzieścia cztery godziny na dobę jestem w biegu. Nie pozwalam sobie na zbyt wiele chwil wytchnienia, ale dziś wieczorem mój kochanek zaprosił mnie na kolację w budynku dawnego lodowiska Molitor. Tam mamy się spotkać.

Otwierając drzwi hotelu, wpadam z impetem na jakiegoś faceta. Ledwie udaje mi się nie upaść, ze względu na moje szpilki to prawdziwy wyczyn. Mężczyzna przewraca się.

– Przepraszam, nie widziałam, jak pan wcho...

Mam nadzieję, że to nie jakiś klient pieniacz, który zażąda ode mnie odszkodowania i odsetek. Facet jest wysoki, chudy, zarośnięty, nie da się powiedzieć, ile ma lat. Jego mokre ubrania cuchną. To nie jest klient, ale jakiś bezdomny! Co za ulga! Leży wyciągnięty na mokrej podłodze.

– W porządku? Proszę wstać. Blokuję pan przejście.

Wanny to on chyba nie widział od wieków.

– Coś mi się stało w nogę – jęczy.

Cuchnie alkoholem.

– Niech pan spróbuje wstać.

Odsuwam się, żeby mój płaszcz nie otarł się o jego pomięte obrzydliwe ciuchy.

– Nie mogę stanąć na nogę.

– Nie może pan tu leżeć – mówię ostrym tonem.

Moja recepcjonistka jest zajęta, hol jest zupełnie pusty, rue Monge jest całkiem bezлюдna, bo leje deszcz. Nikt nie widział, że się z nim zderzyłam.

– Chyba złamałem nogę – mówi facet z grymasem.

– Nie, to tylko skręcenie. Szpital de la Pitié-Salpêtrière jest tuż obok.

– Nie mogę chodzić, jak tam dotrę? Mam tam polecieć? – burczy facet.

Denerwuję się, Cyrian nie znosi, kiedy się spóźniam.

– Dobrze, zadzwonię na policję po pomoc, oni pana zabiorą na oddział ratunkowy.

– Chcę na nich poczekać tutaj, w hotelu, tu jest sucho.

Potrząsam głową, jego brud mnie obrzydza.

– Niemożliwe, proszę pana, to nie jest miejsce publiczne. Niech pan się schowa tam, pod markizą. – Pokazuję restaurację, która jest trochę dalej i dziś jest zamknięta.

– Zapytam w hotelu, czy mogę wejść i się rozgrzać, strasznie mi zimno!

– Znam ich, odmówią, niech pan wstanie...

Podnosi się, staje obok drzwi na jednej nodze jak ogromna, ranna czapla. Spojrzenie jego niebieskich, wyrazistych oczu mnie denerwuje.

Źle rozpoznaję rysy jego zarośniętej twarzy, musiał być całkiem uroczy, zanim upadł tak nisko. Kulejąc, oddala się w kierunku restauracji. Otwieram torebkę i wyjmuję dwa banknoty: jeden dziesięć, drugi pięć euro.

– Proszę.

– O nic pani nie prosiłem – mówi, biorąc je w rękę.

– To na taksówkę, żeby pojechał pan na oddział ratunkowy.

– Nikt mnie nie weźmie, jest zbyt blisko.

Nikt go nie weźmie, bo jest zbyt brudny. Mój mały czerwony fiat 500 z otwieranym dachem jest zaparkowany po drugiej stronie ulicy, ale nie ma

mowy, żebym zapaskudziła sobie siedzenia.

– Jestem taki samotny – wzdycha facet. – Kiedyś miałem psa, ale od kiedy poszedłem do szpitala, nie wiem, co z nim się dzieje. Ktoś go potrącił albo jakieś laboratorium porwało go na te potworne eksperymenty.

Nienawidzę psów i klientów, którzy paskudzą mój hol po tym, jak wejdą w ich gówna.

– Psy brudzą chodniki i mają pełno pcheł. Skoro wyszedł pan ze szpitala, to nie z powodu upadku ma pan kłopoty z nogą? Jaja pan sobie ze mnie robi?

– Nie, byłem na kardiologii. Moje serce tańczy twista. Chcieli otworzyć mi klatkę piersiową i mnie pokroić, ale powiedziałem, łapy precz. Mam jednak coraz częstsze i częstsze ataki, teraz na przykład dusi mnie...

Zmienia wyraz twarzy, zaciska prawą rękę po lewej stronie klatki piersiowej.

– Nie mogę oddychać, przysięgam!

Opiera się o ścianę i osuwa na ziemię. Odsuwam się i grzebię w torebce.

– Już panu wcale nie wierzę, mam ważne spotkanie. Dam jeszcze dziesięć euro i idę, zgoda?

– Serce mi siada. Boję się, niech mnie pani nie zostawia samego!

Gra małego, przerażonego chłopca, ale mnie nie oszuka. Wkładam pieniądze w jego dłoń.

– Nie jestem lekarzem. Obiecuję, że wezwę pomoc, przyjadą jak najszybciej się da.

Odwracam się i odchodzę. Przechodzę przez ulicę, sprawdzając, czy nie idzie za mną. Chronię się w samochodzie, blokuję drzwi, ruszam, skręcam w pierwszą ulicę na prawo. Staję obok jakiejś bramy. Dezynfekuję sobie ręce nawilżoną chusteczką i dzwonię na 17.

– Dodzwoniła się pani na policję, proszę się nie rozłączać.

– Dobry wieczór, jakiś mężczyzna zasłabł na ulicy Monge. Jestem

w autobusie, proszę wysłać ratowników.

Podaję adres restauracji i się rozłączam. Nikt nie będzie mógł mnie oskarżyć o nieudzielenie pomocy, bo przecież jadę autobusem.

Skrećam do Molitor ze spokojnym sumieniem. Powiadomiłam ratowników, facet nie jest klientem mojego hotelu, na pewno był pijany i pełen robactwa. Nie jestem z Armii Zbawienia. Byłam hiper hojna, dając mu dwadzieścia pięć euro. Decyduję się nic nie mówić Cyrianowi. Spędzimy romantyczny wieczór poza czasem, respektując reguły ustalone od dwóch lat, odkąd ze sobą chodzimy. Nie rozmawiamy o moim hotelu ani o jego żonie, córkach czy rodzicach. Interesujemy się tylko tym, co dotyczy nas samych. Reszta świata po prostu nie istnieje.



Thierry, Paryż, rue Monge

Czerwony fiat 500 kabriolet skręcił na rogu ulicy. Czekam pięć minut, zanim wstanę. Przypadkiem rzucam okiem na swoje odbicie w szybie wystawowej, prawie nie poznaję samego siebie z tą brodą drwala. Oddalam się szybkim krokiem. Z kieszeni wydaję żółtą plastikową torbę na odpady medyczne. Zdejmuję cuchnące wódką zmięte, brudne okrycie i wkładam je do torby. Ręce dezynfekuję żelem antyseptycznym. Kupiłem to ubranie od jednego bezdomnego, który z powodu krwiaka nadtwardówkowego leżał w szpitalu na oddziale neurologicznym, którego jestem ordynatorem.

Kiedy przyszedł, był ledwie żywy, a wyszedł na własnych nogach w ciepłym porządnym płaszczu, który mu dałem w zamian za jego ubranie. Oddziałowa wzięła mnie za wariata, kiedy się dowiedziała o tej transakcji.

Wchodzę do kawiarni, znajdującej się trochę dalej na tej samej ulicy. Przez szybę widzę samochód ratowników, syrena wyje, kręcą się reflektory.

Uśmiecham się do bywalców opartych o kontuar, daję dwadzieścia pięć euro barmanowi.

– Proszę nalać tym panom!



11 GRUDNIA

Albane, Le Vésinet

– Hopla, spacer, już pora!

Piesek idzie po smycz i przynosi mi ją z uśmiechem. Charlotte poszła do łóżka. Jestem głodna, jestem zmęczona samotnymi obiadami przed telewizorem. Nie mogę mieć żalu do Cyriana, że tyle pracuje. Francja jest w kryzysie, każdy musi przykładać się do pracy na tysiąc procent, ale coraz rzadziej się widzujemy. Mój mąż jest zjawą. Kiedy wczoraj wrócił z zebrania z przedstawicielami związków, ja już spałam. Nie Kochamy się już prawie wcale. Kupiłam seksowną bieliznę, a on nawet tego nie zauważył.

Pójdę tylko na róg, do końca ulicy. Hopla jest tak dobrze wytresowany, że mogłabym mu kazać załatwić się w rynience odpływowej biegnącej wzdłuż budynku i natychmiast wrócić do domu.

Hopla, *number two*! Pies jednak musi się przejść. Cyrjan niedługo wróci. Jak kiedyś włożyłam do lodówki wino Retsina, może to coś mu podpowie. Jest wytrącony z równowagi po śmierci matki. Jakaś postać wychodzi z cienia. Podskakuję.

– Nie trza się bać, paniusiu!

– Zaskoczył mnie pan, dobry wieczór.

Mężczyzna jest wysoki, ma okrągłe jak cukierki Smartis błękitne tęczówki i gęstą niechlujną brodę. Od wieków się nie mył. Pracuję jako wolontariuszka w stowarzyszeniu pomocy bezdomnym, ale nie znam go.

– Niebezpieczne są takie spacery nocą.

Jego ton nie wyraża groźby, a mimo to jego słowa trochę mnie niepokoją.

– Niech się pan nie zbliża do mojego psa, jest agresywny – mówię, mimo że Hopla nie skrzywdziłby muchy.

Mężczyzna opiera się o ścianę.

– Jestem głodny – mówi chrapliwym głosem.

– Nie mam przy sobie portmonetki.

– Nie proszę o pieniądze. Jeść mi się chce, czuję się taki samotny. Kiedyś miałem psa, ale potem miałem zawał i trafiłem do szpitala. Właśnie stamtąd wyszedłem i nie wiem, co się z nim stało, ktoś go potracił albo jakieś paskudne laboratorium porwało go na te obrzydliwe eksperymenty.

Drzę na samą myśl o czymś takim.

– Nie miał blaszki z adresem na obroży? Czipa, no, takiej pchełki podskórnej, tatuazu? Skontaktował się pan ze Służbą Ochrony Zwierząt?

– Pcheł to on ma tysiące... Ma pani może dla mnie jakieś resztki?

Nagle na jego twarzy pojawia się grymas, a prawą rękę zaciska na piersi.

– Boli mnie, nie mogę oddychać, tu mnie ściska!

Chwieje się, potem opiera o ścianę i osuwa się na ziemię.

– Źle się pan czuje?

– Serce nierówno mi bije. Ludzie ze szpitala chcieli mi otworzyć klatkę piersiową i mnie pokroić, ale kazałem im trzymać łapy przy sobie.

Jego twarz staje się maską cierpienia, niebieskie Smartis jego oczu uciekają w panice. Klękam obok niego, ale nie dotykam, mimo wszystko jest odrażający. Nie zabrałam komórki. Oglądam seriale medyczne, czekając na powrót męża.

– Nie zapisali panu nitrogliceryny na wypadek ataku?

– A jakim cudem dałbym radę to wykupić? – mruczy mężczyzna.

– Wezwę ratowników, mieszkam tuż za rogiem.

Wygląda jak mały, przerażony dzieciak.

– Niech pani nie odchodzi. Nie chcę zdychać, boję się.

– To tylko minuta, przysięgam, że wrócę.

Rzucam się w ciemność. Zaraz zadzwonię, wezwę ratowników, wyślą karetkę, a ja wrócę i będę czekać razem z nim.



Thierry, Le Vésinet

Kiedy się oddala, łapię psa za obrozę, żeby za nią nie pobiegł, podsuwam mu pod nos wyjęte z kieszeni ciasteczko. Labrador siada na tylnych łapach, licząc na więcej łakoci. Szepczę do niego delikatnie.

– *Number one*, Hopla! *Number one*, Hopla, dobry piesek.

Nie rusza się. Jego pani zauważa, że nie idzie za nią.

Próbuję jeszcze raz.

– *Number one!* Hopla! Głuchy jesteś?

– Hopla do domu! – krzyczy jego pani.

Doznaję olśnienia. Kolejność słów! Poprzestawiałem je.

– Hopla, *number one!* Teraz, Hopla *number one!*

Doskonale wytresowany pies oddaje mocz. Przesuwam się, żeby usiąść w kałuży jego moczu, przeklinając mojego kumpla Jo.

– Co jest? No? Proszę pani, pani kundel na mnie nasikał!

– Co? – Jest przerażona. Wraca i widzi kałużę. – Ależ, Hopla, czyś ty oszalał?

Z trudnością podnoszę się z ziemi, mój płaszcz ocieka szczynami. Hopla merda ogonem, skupiając się na mojej kieszeni, z której dochodzi zapach smakołyku.

– Serce mi się jakoś uspokoiło, naprawdę. Już stąd idę. Coś nie lubi kloszardów ten pani piesek.

– Bardzo mi przykro, naprawdę, zaraz pana przeprosi.



Albane, Le Vésinet

Ten człowiek jest chory. Jest samotny, tak samo porzucony jak ja, odkąd mąż przestał się mną interesować. Nie mogę go wpuścić do naszego domu, bo tam śpi Charlotte, nie mogę go też zostawić ot tak, na ulicy. Nie mam innego wyjścia, jak tylko zaprowadzić go do domku w ogrodzie.

– Mieszkam tuż obok, niech pan idzie ze mną.

Jego paskudne płaszczysko cuchnie, siki ciekną mu po spodniach.

– Już pana nie boli?

– Atak dusznicy już minął.

– Atak czego?

– Tak to nazywali w szpitalu.

Podchodzimy, kulejąc, aż do bramy, otwieram, obchodzimy dom i idziemy do domku w ogrodzie. Przełykam z trudem ślinę, omiatając wzrokiem pokój. Zniszczony fotel, stół, umywalka w rogu, przy oknie znienawidzony rower stacjonarny Cyriana. Włączam grzejnik elektryczny, on upada na fotel.

– Kręci mi się w głowie, od wczoraj nic nie jadłem.

– Zaraz przyniosę coś do ubrania i do jedzenia.

Zabieram Hopla do domu, zamykam za sobą drzwi. Kluczy Cyriana nie ma na wieszaku, jeszcze nie wrócił. Odsłuchuję jego wiadomość, zaglądam do pokoju Charlotte, śpi.

Otwieram szafę, łapię spodnie marynarskie kupione w kooperatywie w porcie Groix, dokładam marynarkę Barbour, której Cyrian już nie nosi, z szafki w łazience wyjmuję ręcznik, idę do kuchni. Do koszyka wkładam

bagietkę, masło, tabliczkę czekolady, banana i hiszpańską szynkę Cyriana. Powinien tu być. Może to mu da do myślenia. Żadnego alkoholu, nie wolno kusić losu. Otwieram szufladę ze sztućcami, waham się, czy wziąć nóż. Mężczyzna mógłby mnie zaatakować, ale będzie musiał czymś posmarować bagietkę. Odkładam masło, nie będzie potrzebował noża. Do koperty wkładam czterdzieści euro i piszę na niej adres.

– Hopla, wracamy tam.

Pies idzie za mną zainteresowany zawartością koszyka. Przechodzę przez ogród i pukam do drzwi domku.

– Proszę pana?

Mężczyzna siedzi w tej samej pozycji, usiłuje się rozgrzać. Kładę zapasy, ubrania i ręcznik na stole, starając się nie patrzeć na to paskudztwo, na rower.

– Jeszcze raz przepraszam za niegodne zachowanie mojego psa. Może pan się przebrać i zjeść coś. Ja zaraz wrócę. Jak pana serce?

– Działa jak może, ale niewiele może – rzuca.

Humor kłoszarda. Siadam w ogrodzie na fotelu z drewna tekowego, który kosztował krocie. Przez pierwsze lata małżeństwa z Cyrianem malowaliśmy meble ogrodowe specjalnym olejem, aplikując go pędzelkiem i co chwila przerywając te prace, by się pocałować.

Potem zajmowałam się tym sama, spryskując je sprayem, zanim odpuściłam to sobie – tak jak i małżeństwo. Fotele poszarzały, nikt o nie nie dba, tak jak nikt nie dba o nasze małżeństwo.

Byłam nierozsądna, wpuszczając tego człowieka do domu. Już wyobrażam sobie nagłówki na pierwszych stronach gazet: „Matka, żona, mieszkanka Le Vésinet zamordowana, żadnych śladów włamania”.

Tak, właśnie tym jestem. Jestem gospodynią domową z Vésinet, matką, która zajmuje się swoją córką, zamiast iść do pracy, bo się o nią wciąż boi. Pomme też należy do naszej rodziny. Od początku wiedziałam o jej istnieniu.

Uważałam, że to wzruszające, taki młody ojciec, nie zdawałam sobie sprawy. Kiedy powiedziałam Cyrianowi, że jestem w ciąży, powiedział:

– O nie, znowu to samo?

Lodowy pancerz skuł moją duszę. Mój mąż i Maëlle nienawidzą się z siłą równą temu, jak bardzo się kiedyś kochali. Nigdy mnie nie pokocha tak mocno, jak kiedyś kochał ją. Już nigdy więcej nie pojedziemy na Groix, z czego się cieszę. Na przyszłe lato weźmiemy Pomme ze sobą na południe. Kiedy dowiedziałam się, że wozila Charlotte na bagażniku roweru, miałam ochotę ją udusić!

Nie mogła wiedzieć. Wzięła mnie za wariatkę, co zresztą nie jest wcale dalekie od prawdy.

Wracam do domku. Mężczyzna je bagietkę z czekoladą, ubrania mojego męża pasują na niego jak ulał. Gdyby się ogolił, można by powiedzieć, że bierze udział w programie *relooking* (metamorfozy).

– Jeszcze raz pana przepraszam, mój pies źle się zachował, wziął pana...

Milknę, ten bezdomny cuchnie tak, że Hopla się pogubił.

– Pomylił mnie z latarnią?

– Ależ nie, smacznego.

– Winszuję apetytów opiekunom kraju, powiedziałaby człowiek wykształcony.

„Winszuję apetytów opiekunom kraju. Sługom, co dom rabują – którego strzec mają”. To *Ruy Blas* Wiktora Hugo ¹.

W moim stowarzyszeniu pomocy bezdomnym spotkałam dawnych nauczycieli w sytuacji bez wyjścia. Kiedyś kłoszardzi to byli często ludzie z marginesu, którzy wybierali taki sposób na życie, dziś nikt nie może czuć się pewny, że jego to nie spotka.

– Jak tam serce?

– Jeszcze żyję.

Wskazuje rower stacjonarny.

– Doskonały na palpacje, należy do pani?

Moja twarz tężeje.

– Nienawidzę jednoślądów.

– Spadła pani z hulajnogi, jak była pani mała?

– To należy do mojego męża. Szynka też. To *pata negra*, proszę się częstować, jest pyszna.

– Jem koszernie.

– A, to przepraszam, proszę mi wybaczyć.

– Skąd miała pani wiedzieć? – odpowiada mężczyzna.

– Pański pies na pewno dostał się w dobre ręce. Pewnie jest u kogoś, kto go kocha i dba o niego – mówię, żeby go pocieszyć.

– Jest pani dobrą kobietą. Ma szczęście ten pani mąż.

– Niedługo wróci. – Mówię to samo, co powtarzam listonoszowi, dostawcom, urzędnikom z gazowni i elektrowni, żeby zaznaczyć, że nie jestem sama, że w domu jest mężczyzna.

– Nie posądzi mnie o jakieś zaloty?

Kręcę głową. On chyba nie widział się w lustrze! Tak czy siak Cyrianowi już na mnie nie zależy na tyle, żeby był zazdrosny.

– Mój teść był szefem dużego oddziału kardiologii, powinien pan pójść się tam zbadać. Zapisałam panu adres.

Wyciągam do niego kopertę z pieniędzmi na wizytę.

– Ten pani teść musi być szykownym facetem? – pyta mężczyzna.

– Jest szczególny, ale kocha moją córkę, więc nie przeszkadza mi to, że mnie nie lubi. To nieznośnie świetny facet.

Mój wzrok pada na to cholerstwo – rower. Drzę, odwracając głowę.

– Co pani zrobiły jednoślady?

– Mój braciszek...

Kaszlę, trudno mi złapać oddech, blokuję się mimo upływu tylu lat.

– Miał wypadek. Jechał na motorowerze, ciężarówka go potrąciła, zmarł na miejscu. To była moja wina.

Cyrian o tym wie, ale Charlotte nie. Moi rodzice nigdy nie wymawiają imienia Tanguy, tak jakby nigdy nie istniał.

– Rodzina zjechała się na urodziny mamy, Tanguy miał dziesięć lat, ja piętnaście. Właśnie kupiłam sobie ten motorower za pieniądze zarobione na pilnowaniu dzieci. Szpanowałam nim przed starszymi kuzynami. Każdy się przejechał, tylko Tanguy nie. Jemu nie pozwoliłam ze strachu, że go zepsuje. Widział, jak włączam gaz. Kiedy zasiedliśmy za stołem, zostawiłam kluczyki w stacyjce, nie założyłam blokady...

Zamykam oczy, znów widzę tę scenę. Suche łzy duszą mnie w gardle, głos mi się łamie.

– Po jedzeniu dzieci wstały od stołu i poszły się bawić. Podano sery, odkorkowano czerwone wino. Kiedy przyniesiono tort ze świeczkami, zawołano dzieciaki. Nigdzie nie mogliśmy znaleźć Tanguy. Szukaliśmy go wszędzie. Potem, trochę niżej na tej samej ulicy rozległ się dźwięk syreny pogotowia. Mama nigdy mi nie wybaczyła, że zabiłam brata.

– To przecież nie pani wina.

– Powinnam wyjąć kluczyki ze stacyjki i włączyć blokadę przeciwkradzieżową.

– To był wypadek.

– Mama potrzebowała winnego. Powinnam zgodzić się, żeby Tanguy wypróbował go tak jak reszta kuzynów. Pokazałabym mu, jak się hamuje! Kierowca ciężarówki widział, jak on przyspiesza i wpada na niego.

Przywołanie tej sceny porusza mnie z taką samą gwałtownością jak wtedy.

– Moja córka nie będzie jeździć na skuterze ani na rowerze. Mąż miał motor, kiedy go poznałam, sprzedał go. Tu, na tej maszynie pracuje nad swoimi

mięśniami, bo nie pozwalałam tego wnieść do domu.

Tanguy był ulubieńcem mamy. Byliśmy ze sobą blisko. W dzień jego pogrzebu matka wyszła ze mną do ogrodu i z potworną nienawiścią w głosie warknęła:

– Obyś kiedyś na własnej skórze poczuła to, co ja teraz czuję z twojej winy. Życzę ci, żebyś miała dziecko i żebyś je utraciła.

Nie powtórzyłam tego ojcu, nie uwierzyłby. Z rodzicami widuję się najrzadziej jak to możliwe. Nigdy nie zostawiam u nich Charlotte. Moja matka straciła dziecko, rozumiem, że była załamana, ale nienawidzę jej. Charlotte myśli, że byłam jedynaczką. Jestem skrajnie nadopiekuńcza.

Potwornie przeraża mnie sama myśl, że jej mogłoby się przydarzyć jakieś nieszczęście. Miałam ochotę zatłuc Pomme, kiedy dowiedziałam się, że jechały na rowerze. Następnej nocy w hotelu „La Marine” śnił mi się straszny koszmar. Siedziałam za kierownicą ciężarówki, widziałam Tanguy zbliżającego się do mnie na czerwonym rowerze. Nawet nie starałam się go ominąć. Śmiał się, zanim upadł obok roweru koloru krwi. Mama i Charlotte wybiegły z ogrodu. Charlotte podbiegła do poskręcane go ciała mojego braciszka, matka wrzeszczała: „Zabiłaś mojego syna, zabroniłam ci pożyczać mu rower, zasługujesz na śmierć”. I w akcie zemsty udusiła moją córkę. Patrzyłam na tę scenę, siedząc skamieniała w ciężarówce z rękoma na kierownicy. Ten sen mnie prześladował aż do momentu, kiedy wsiedliśmy na statek taksówkę. Nie wytrzymałabym ani minuty dłużej na tej wyspie.

– Ej, coś nie tak? Jest pani strasznie blada?!

Mężczyzna podaje mi napoczętą tabliczkę czekolady.

– Niech pani je, to pani dobrze zrobi. Ma pani hipoglikemię...

Mój kloszard lubi Wiktora Hugo i zna słownictwo medyczne. Odłamuję cztery kawałki i zjadam je, to dodaje mi sił. Mężczyzna też czuje się lepiej, już nawet nie kuleje.

– Pójdę już. Dziękuję.

To ja jestem mu wdzięczna. Dotrzymał mi towarzystwa, wypowiadałam mu się, bo nigdy więcej go nie zobaczę. Przez chwilę sprawił, że zapomniałam o mieczu Damoklesa, który wisi nad naszymi głowami, i o potwornym strachu, że Charlotte nie dożyje dziesięciu lat – wieku, w którym zmarł Tanguy.

Kiedy poznałam Cyriana, powiedziałam mu, że moja matka rzuciła przekleństwo na moje przyszłe dzieci. Śmiał się, on nie wierzy w klątwy.

– Do widzenia, piesku – mówi bezdomny.

Głaska głowę Hopla bez urazy. Muszę pójść do psiego psychologa.

– Mam na imię Albane – mówię, zamykając bramę.

– Ja David Anderson.

Odchodzi w noc.

1. Wiktor Hugo, *Ruy Blas*, tłum. G. Karski, PIW, 1955. [\[wróć\]](#)



12 GRUDNIA

Jo, Paryż

Mój najlepszy przyjaciel naprawdę mnie zadziwia i to nie od dziś.

– David Anderson? Skąd wytrzasnąłeś takie nazwisko?

– Gdybym miał syna, dałbym mu na imię David. Uwielbiam małą syrenkę Hansa Christiana Andersena. Spanikowałem, kiedy twoja synowa zapytała, jak się nazywam. Już i tak prawie się zdradziłem, używając słowa „dusznica”. Byłbym kiepskim szpiegiem.

– Ale za to byłbyś świetnym aktorem!

– Wolę neurologię! – mówi sławny profesor Thierry Serfaty, kończąc kolejną *gougère* ¹, które restauracja „Mini Palais” podaje jako *amuse-bouche*.

– Nie jesz swojej?

– Zostawiam dla ciebie.

Życie jest niesprawiedliwe. Jest chudy jak szczapa, podczas gdy ja zawsze musiałem odmawiać sobie smakołyków, żeby nie stać się tłustym, brzuchatym mężem.

– Ona uważa, że jesteś „nieznośnie świetnym facetem” – dodaje mój przyjaciel, studiując menu. – Wiedziałaś o jej bracie? Wezmę zupę krem z dyni z pianką z borowików i orzeszkami.

– Pierwszy raz w życiu o tym słyszę. Wezmę krem jajeczny z pianką z jeżowca.

Nadal się łapię, że zastanawiam się nad tym, co ty byś wybrała. To byłoby carpaccio z przegrzebków z ostrygami, prawda? Nadal śpię po swojej stronie łóżka. Zostawiam dla ciebie odkręconą tubkę pasty do zębów.

– Zyskałem marynarkę myśliwską i spodnie marynarskie, ale nie spodziewałem się hiszpańskiej szynki – opowiada Thierry.

– A ja bym dał sobie rękę uciąć, że to Dany będzie współczująca, a Albane nieczuła. Dla twojej wiadomości *pata negra* to najlepsza szynka na świecie.

– Skoro tak twierdzisz.

Poznaliśmy się w Paryżu na pierwszym roku interny. Ja przyjechałem z Rennes, on ze Strasbourga. Odkrywaliśmy stolicę. Miał tajną broń, błękitne oczy, którym nie umiała się oprzeć żadna dziewczyna. Pracowaliśmy na jednym oddziale. Thierry jadł koszernie i obchodził szabas, ja miałem tylko jedną myśl – pracować jak najczęściej, żeby jak najszybciej wrócić na Groix. Zastępowaliśmy się nawzajem i pomagaliśmy sobie. Podnosiliśmy się wzajemnie na duchu, kiedy straciliśmy jakiegoś pacjenta, i cieszyliśmy się razem, kiedy któregoś udało się uratować.

Założę się, że ty wiedziałaś o bracie Albane, Lou. Podobnie jak wiedziałaś, że Dany wcale nie jest najmiłszą osobą na świecie. I co mam teraz zrobić?

– Teraz zjemy kolację, a ty przestaniesz myśleć o rodzinie – oświadcza mój przyjaciel.

Więc jemy, pijemy, rozmawiamy o kolegach. Jeden z nich rzucił wszystko i pojechał spędzić resztę życia w jakimś aśramie w Indiach. Drugi zmarł w trakcie osłuchiwania pacjenta. To był najpaskudniejszy typ z roku, ojciec ośmiorga dzieci. Najseksowniejsza dziewczyna została seksuologiem. Zamawiam tartę ananasową, Thierry babę rumową.

– Od kiedy powiedziałaś mi o tym bracie, inaczej patrzę na Albane.

– To cię do niej zbliża, bo nosisz ciężar choroby Sarah. Mogę ci doradzić dobrego osteopatę, jeżeli będziesz chciał unieść cały świat.

– Jestem lekarzem, chora córka to potworna blizna. To, że nie mogę jej wyleczyć, sprawia, że mam ochotę wrzeszczeć.

Pamiętasz, Lou, dwadzieścia lat temu poszliśmy na film *Symfonia życia*,

gdzie Richard Dreyfus gra kompozytora, którego jedyny syn jest głuchy? W tym czasie Sarah skakała jak kozłátko. Kiedy wyszliśmy z kina, dziękowaliśmy niebiosom za to, że mamy tak doskonałe dzieci. Chyba jednak nie dziękowaliśmy dość mocno.

– Co mogę jej powiedzieć, kiedy jest jej źle, bo nogi odmawiają posłuszeństwa?

– Że ją kochasz.

– Ona nie wie, co to znaczy miłość, odkąd ten sukinsyn Patrice ją zostawił. Znajdę tego szczura w norze, do której się schował.

Wiem już przynajmniej, czego się trzymać, jeżeli chodzi o Dany i Albane, ale może Cyrian będzie szczęśliwszy z tą egoistką Dany niż z pomocną Albane? Kazałaś mi sprawić, żeby byli szczęśliwi, nie kazałaś mi zmieniać im życia. Mój zawód nauczył mnie podejmowania trudnych wyborów – jeżeli to bakteria przepisuję antybiotyk, jeżeli wirus nie, ale tu, wyznam ci, miotam się. Cyrian już od nastolatka wydawał mi się obcy. Wstaję.

– *Number one czy number two?* – pyta Thierry.

Śmieję się serdecznie, Lou. Śmieję się czasami bez ciebie, ale o wiele krócej.

Thierry odchodzi popracować na swojej neurologii, ja telefonuję na Groix. Jean-Pierre wrócił właśnie z karate. Proszę go, by stworzył mi alert Google dotyczący Patrice'a. Literuję jego nazwisko, które miało być nazwiskiem mojej córki.

Przechodzę obok Grand Palais, do którego często cię wyciągałem wbrew twojej woli. Szłaś ze mną, by sprawić mi przyjemność. Ty lubiłaś ludzi i opowieści, mam do ciebie żal za wystawy, które przegapiłem, za to kłamliwe oskarżenie i za tę absurdalną misję, którą mi narzuciłaś. Jestem naprawdę wkurzony, moja ukochana.

Joseph na moich ramionach jest biały. Kiedy spotkaliśmy się na tamtym

ślubie, miałem sweter marynarski narzucony na marynarkę. Dałaś mi numer telefonu zamku twojego ojca, w tamtych czasach prefiksy 06 i 07 jeszcze nie istniały.

Już w następnym tygodniu zabrałem cię na *banana split* do „Pub Renault” na Champs-Élysées. Popatrzyłaś na mój sweter w paski. Zapytałaś, czy zawsze go noszę i czy to jest tradycja mojej wyspy. Nie powiedziałem ci, że tego wieczora kiedy statek ojca przybił do brzegu bez niego, włożyłem na ramiona jego wielki sweter i to mnie ogrzało na całe życie, któremu musiałem stawić czoło już bez niego.

Razem wyszliśmy z „Pub Renault”. Ja przyjechałem na rowerze solex, ty jeździłaś starym samochodem autobianchi, który dzieliłaś z siostrami, ale udawałaś, że przyszłaś piechotą, żeby mnie nie poniżyć. Spacerowaliśmy nocą, szliśmy bez celu, dzieląc się wspomnieniami z dzieciństwa. Zadrzałaś, zdjąłem mój sweter i nałożyłem go na twoje ramiona. Stałem się jakby nagi, ale nie było mi zimno, twoje spojrzenie mnie wreszcie rozgrzało.



Lou, tam, gdzie idzie się potem

Ostro sobie poczynaliście chłopcy. Pokłony! Wielka klasa! Kiedy pracowaliście razem na internie, ośmieszaliście kolegów, którzy wydawali wam się nieludzczy w stosunku do pacjentów. Wsypywaliście im środki przeczyszczające do kawy, jednemu zagipsowaliście koła motoru, innemu do kieszeni wrzuciliście ucho ukradzione podczas sekcji.

Thierry jest szanowanym neurologiem, eleganckim wewnątrz i na zewnątrz. Kiedy mu powiedziałam, że przeprowadzamy się na Groix, zachował się jak prawdziwy przyjaciel – był szczęśliwy, tak jak i my byliśmy. Dany go nie

znała, Albane widziała go tylko dwa razy: raz na swoim ślubie, raz na moim pogrzebie. Nie mogła go rozpoznać w tych łachmanach i z tą krzaczastą brodą. Trochę się plątał, ale nieźle sobie poradził.

Cyrian mówił mi o nienawiści matki Albane, ale nie o jej bracie. Wszyscy mamy jakieś sekrety. Czy bardziej bym ją zrozumiała i choć trochę pokochała, gdybym wiedziała?

Nie zapomniałam „Pubu Renault”, mój przybracielu. Nie posłużyłeś się śmiercią swojego ojca, żebym wpadła w twoje ramiona. Przez całe lata miałeś nadzieję, że wróci, może ranny, może z amnezją, ale wróci. Ten sweter to był twój sposób na przeżycie, twój kostium supermena i samochód Batmana. Dzieliliś się nim ze mną i z pacjentami, których ratowałeś. Pod nim chroniłeś naszą rodzinę.

Czasami człowiek zamyka parasol, mimo że pada, człowiek czasem nie chce ochrony, chce zmoknąć. To właśnie zrobiłam, odchodząc do domu opieki – zdjęłam twój ochronny sweter z siebie, żebyś ty był bezpieczny. Nie chciałam was pociągnąć za sobą w deszcz, ani Pomme, ani Maëlle, ani ciebie. Nie wściekaj się na mnie za bardzo, ukochany.

1. Rodzaj wytrawnego ciastka z masy ptysiowej z serem. [\[wróć\]](#)



14 GRUDNIA

Dany, Paryż, rue Monge

Ojciec Cyriana otwiera drzwi mojego hotelu, kiedy przechodzę przez lobby.

– Jaka miła niespodzianka, doktorze.

– Niestety, przynoszę dość przykre nowiny.

Zabieram go do swojego biura.

– Z Cyrianem wszystko w porządku? Przeraza mnie pan!

– On jest w doskonałej formie, ale niestety mój pacjent już nie. Od wielu lat lecę pewnego sercowca, to oryginał, kolekcjoner sztuki. Mieszka w swoim zamku w Danii. Ludzie często biorą go za bezdomnego, choć to bardzo bogaty mecenas sztuki.

– Chce pan, żeby zatrzymał się w moim hotelu? Bardzo mi miło to słyszeć, nie jesteśmy co prawda Ritzem, ale...

– Zderzył się z panią właśnie tu, w holu, przed drzwiami.

Łapię spinacz i skręcam go nerwowo.

– Chciał się schronić przed deszczem w hotelu, pani mu to jednak wyperswadowała – doktor ciągnie dalej. – Miał atak serca, pogotowie zawiozło go na mój dawny oddział, poszedłem się z nim zobaczyć, wszystko mi opowiedział.

– Nie podał mu pan mojego nazwiska, mam nadzieję? Nic zresztą nie dowodzi, że to byłam ja! – mówię przerażona.

– Na pieniądzach, które mu pani dała, są pani odciski palców.

Mój spinacz pęka z głuchym trzaskiem.

– Nie jestem lekarzem, opieka nad nim nie należała do mnie!

– Już od drugiej wojny światowej prawo francuskie określa takie zachowanie jako nieudzielenie pomocy osobie w niebezpieczeństwie. Jest pani odpowiedzialna karnie.

– Ależ ja wezwałam ratowników!

– Nie czekała pani na nich, poza tym nie pozwoliła mu pani wejść i schronić się w hotelu.

– Wyglądał jak bezdomny! Śmierdział!

– Pozabijajmy bezdomnych i wrogów dezodorantów. Ma pani rację, to oczyści paryskie ulice! – rzuca sarkastycznie.

– Byłam spóźniona na kolację z Cyrianem – mówię przerażonym głosem. – Jak teraz czuje się ten pan?

– Na tyle dobrze, że jest w stanie opowiedzieć całą historię z detalami. Niestety na tyle źle, że jego życie jest zagrożone.

Zakwita we mnie szalona nadzieja. Jeżeli facet umrze, nie będzie mógł świadczyć przeciwko mnie.

– Jego dzieci chcą wnieść skargę, wkrótce skontaktuje się z panią ich adwokatem.

– Wzięłam go za oszusta, symulanta!

– Któremu pani nie pomogła, mimo że był ranny. Już samo to nie świadczy o pani dobrze, ale porzucić kogoś, kto ma zawał, to naprawdę poważna sprawa!

– A gdyby pan powiedział, że był pan ze mną zupełnie gdzie indziej?

– Chce pani, żebym popełnił krzywoprzysięstwo, i to na szkodę własnego pacjenta?

– Cyrian mógłby świadczyć w mojej sprawie?

– Chce pani, żeby mój syn został oskarżony o współudział?

Przecieram oczy spanikowana.

– Mam nadzieję, że nie zadzwoniła pani na pogotowie z komórki? Oni

rejestrują wszystkie numery. Jest pani w paskudnej sytuacji, Dany.

Jestem załamana. On jest lekarzem, jego pacjent ma oczywiście pierwszeństwo. Cyrian zawsze na pierwszym miejscu stawiał swoją matkę, zajmowała mu o wiele za dużo czasu, jego córki i żona także mają nade mną przewagę, ale to już nie potrwa długo. Wkrótce wszystko poustawiam w odpowiedniej kolejności.



Jo, Paryż

Boże, jak ja się ubawiłem! Pomysł na odciski palców Dany powstał dzięki serialowi *CSI: Kryminalne zagadki Las Vegas* i wieczorom, które spędzaliśmy, oglądając kolejne odcinki. Pomysł z numerem komórki rejestrowanym, kiedy dzwoni się na policję czy pogotowie, poddał mi Thierry. Wszystko załatwiam strategicznie, zaczynam wywierać coraz większy nacisk. Jeżeli chodzi o następny ruch, to pomoże mi twoja siostrzenica Esther, właśnie skończyła osiemnaście lat, ale nie udało jej się zostać idiotką.

*

Czytam moje maile na iPadzie. To, co kiedyś wymagało wielotygodniowego wysiłku prywatnego detektywa, dziś można załatwić trzema kliknięciami myszką. Humphrey Bogart nie musiałby wkładać swojego prochowca, żeby pić whisky w zadymionych barach. Mógłby pracować przed ekranem komputera, zamawiając sushi.

Dostaję alert Google na temat Patrice'a. Oglądam jego zdjęcia, chodzi w dobrze skrojonym garniturze i w eleganckim krawacie. Włosy przedwcześnie mu posiwiały i przybrały kolor soli z pieprzem, nie ma

obrączki. Nigdy się nie uśmiecha. Kieruje jakąś kampanią reklamową, uczestniczy w koktajlu, prowadzi wieczorek charytatywny. Kiedy widziałem go po raz ostatni, a było to dziesięć lat temu, ubrany był w T-shirt i bermudy po powrocie ze szlaku GR 20.

Miałem iść przez kościół z Sarah wspartą na moim ramieniu, miałem ją do niego poprowadzić. Zacząłem nawet uczyć się walca, aby pierwszym tańcem z córką rozpocząć bal. Właśnie o tym myślałem tego dnia, kiedy odeszłaś na zawsze, podczas milczącego balu w Groix, obracając się wraz z nią w tańcu jak uczepony boi rozbitek.

Śledzę informatyczne ślady mojego byłego przyszłego zięcia. Przez dziwny układ linków skaczę z jednej strony na drugą, każda z nich pokazuje jak lustro jedną z jego twarzy, za każdym razem inną. Patrice działa w Stowarzyszeniu Rodziców i Dzieci. Adoptował jakieś dziecko? Klikam. Ten chłopak, szef ogromnej firmy odziedziczonej po ojcu, jest wolontariuszem w stowarzyszeniu, które pomaga w spotkaniach dzieci z rodzicami odbywającymi kary więzienia. Wspaniała postawa, ale dyrektorzy generalni, których dotychczas poznałem, to nie dzieciaki z chóru kościelnego. Co takiego w tej sprawie tak bardzo go dotyczy, że poświęca resztki wolnego czasu takiej działalności?

W stosunku do Sarah zachował się jak skurwysyn, więc może aby odkupić swoje winy, wspomaga te dzieciaki? Przypominam sobie pewną rozmowę w samochodzie między Paryżem a Groix. Chciał mieć dużo dzieci, żeby nie czuły się tak samotne jak on. Był jedyakiem. Mówił o swojej miłości do Sarah pięknymi słowami i ja mu wierzyłem.



15 GRUDNIA

Jo, La Défense

Docieram do wieży z żelaza i szkła. W recepcji mówię, że chcę zobaczyć się z szefem.

– Ma pan umówione spotkanie?

Podaję wizytówkę z tytułem doktora, to często otwiera drzwi. Tu jednak nie. Na cerberze przebranym za precyzyjną recepcjonistkę nie robi to żadnego wrażenia.

– W jakiej sprawie?

– Jestem jego byłym teściem.

Jej twarz się rozjaśnia. Nikt nie zadziera z rodziną.

– Proszę wejść.

Na mój widok Patrice marszczy brwi.

– Joseph? Spodziewałem się swojego prawdziwego byłego teścia. Ojca kobiety, z którą się rozwiódłem. Nie jestem stworzony do małżeństwa.

Przypomina sobie, że jestem biednym smutnym wdowcem.

– Słyszałem o Lou. Chciałem napisać do Sarah, ale pomyślałem, że wyrzuci mój list.

– To bardzo prawdopodobne.

– Do pana też miałem ochotę napisać.

– To by było grzeczne z twojej strony.

– Pańska żona była wielką damą.

– Masz pięć minut?

Rzuca okiem na zegarek.

– Nie mam, ale dla pana znajdę.

Zasiadamy w kołyszących się fotelach Starck. Widok na łuk Défense jest powalający.

– Nadal nosi pan te sławne swetry – zauważa Patrice. – Mam nadzieję, że Sarah mnie nienawidzi, że zamknęła ten rozdział i że jest szczęśliwa.

– Nienawidzi cię i zamknęła ten rozdział, a ty?

– Poślubiłem pewną Angielkę, która była podobna do Sarah. Mieliśmy syna, zażądała rozwodu i zabrała syna do Londynu. Moja firma jest tutaj, widuję go co dwa miesiące. Nowego chłopaka mamy nazywa *daddy*.

– Nie miej do mnie żalu, że nie współczuję ci specjalnie z tego powodu.

Jego noga podskakuje nerwowo, jakby był na spotkaniu o pracę.

– Kochałem Sarah, ale nie byłem dość silny za nas oboje. Marzyłem o rodzinie, ale ona nie chciała podejmować ryzyka i rodzić dzieci. To było dla mnie nie do przyjęcia. Wózek mógłbym zaakceptować.

– Mógłbyś zaakceptować? – pytam z obawą.

– To nie jej niepełnosprawność była powodem zerwania. Chciałem spadkobiercy, żeby przejął firmę. Taka jest tradycja, tak zostałem wychowany.

– Rozumiem. U nas jest inaczej, ja wychowałem córkę, żeby się ścigała na wózku inwalidzkim.

– Niech pan przestanie, te żarty nie są warte funta kłaków.

– Nie kochałeś jej dość mocno, zachowałeś się jak cham. Nie wybaczę ci, że ją zostawiłeś, kiedy tak bardzo cię potrzebowała. Facet z jajami by został. Ty zachowałeś się jak szmata...

– Przyszedł pan do mnie po dziesięciu latach, żeby mnie obrazić?

Kręcę głową przecząco.

– Jesteś mi winien przysługę.

– Słucham, jaką? – pyta ostrożnie.

– Chcę, żebyś zaprosił Sarah na obiad. Pijcie, jedzcie, kłóćcie się

i wyzywajcie, stańcie ze sobą twarzą w twarz.

– Nigdy na to się nie zgodzi. Nie jest mężatką?

– Przynajmniej spróbuj. Jest sama.

Podaję mu wizytówkę Sarah. Bierze ją, jak ktoś spragniony chwytą szklanke wody.

– Wiele razy chciałem się z nią zobaczyć.

– Szczególnie po tym, jak rzuciła cię żona, rozumiem. – Wstaję, dodając: – Nawet na torturach się nie przyznam, że się z tobą widziałem. Jeżeli powiesz jej o naszym spotkaniu, obiję ci pysk.

– A jeśli zapyta, skąd mam jej namiary?

– Internet, portale społecznościowe, dawni uczniowie z École Polytechnique. Masz aż za duży wybór. Dlaczego tak działasz w Stowarzyszeniu Dzieci i Rodziców?

– Dzieci nie zrobiły niczego złego, nie powinny być karane za błędy rodziców.

– Masz kogoś w więzieniu? Dlaczego tak się angażujesz w tę sprawę?

– Angielskie prawo pozbawiło mnie Johna. Pomagam innym ojcom, takim, którzy nie mogą wsiąść do Eurostar i uściskać swoich dzieciaków.



16 GRUDNIA

Sarah, Paryż

Mój brat zaprosił mnie na śniadanie w „Polo”. Nie gra w polo, ale często umawia się na spotkania w tym klubie, bo tam funkcjonuje sieć jego kontaktów. Lubi pozdrawiać znajomych, siedząc z nonszalancją przy barze czy na tarasie. Czuje się w tym miejscu tak samo pewny siebie jak tata w porcie Groix albo ja na planie filmowym.

Podjeżdżam taksówką. Cyrian podał moje nazwisko w recepcji. Idę bardzo powoli. Dziś jest dobry dzień, moją laskę można by wziąć za modny dodatek. Dołączam do brata siedzącego przy ślicznym stoliku na obrzeżu terenu. Mam na sobie klasyczną marynarkę, pochwała to gestem głowy. Czasami moje ubrania są zbyt fantazyjne jak na jego gust.

– Mam dla ciebie prezent – mówię.

– Nie mam czasu, żeby chodzić na premiery, ale to miłe. Kawa? Croissanty są tip-top.

– Tip-top?

– Chciałaś się ze mną zobaczyć, Sarah?

Jest mi gorąco, zdejmuję żakiet. Pomaga mi, jest dżentelmenem. Otwiera drzwi samochodu kobietom, pierwszy wchodzi do miejsc publicznych, w tych prywatnych taktownie usuwa się w cień. Mam nagie ramiona i widać moje tatuaże. Cyrian się krzywi.

– W razie czego udasz, że prawie mnie nie znasz. Wiesz, która godzina?

– Tak.

– To będziesz wiedział podwójnie – mówię, wyjmując zegarek, który dał mi

tata.

Głodzi złoty cyferblat.

– To zegarek mamy?

– To zegarek jej ojca.

– Systole ci go dał? Masz szczęście!

– Chciał go dać tobie, zanim wyjechałeś z Groix, ale uciekłeś bez pożegnania.

– Mama chciała mi go dać?

– Nie. Tata ci go daje w prezencie.

Nie przyjmie niczego od taty, ale uwielbia ten zegarek.

– Jeżeli on mi go daje, może go sobie zatrzymać.

– Nie rób z siebie idioty.

Zdecydowanie wkładam mu go w dłoń. Przychodzi kelner, możemy złożyć zamówienie.

– Gdzie jesteś z tymi swoimi dwiema babami? – pytam, jak tylko obsługa się oddała.

– Jestem rozdarty. Nie chcę żadnej skrzywdzić.

– Ale chcesz obie posuwać?

– Albane wcale nie interesuje się seksem, mamy nawet oddzielne sypialnie.

– A Dany na punkcie seksu ma obsesję?

– Jest niezaspokojona i ma inwencję.

– I nie żąda, żebyś wyprowadził psa ani żebyś wezwał hydraulika, ani żebyś chodził na wywiadówki.

– Marzy o tym, żeby tańczyć ze mną na egzotycznych plażach aż do rana. Chce pojechać ze mną na Malediwy na walentynki.

– Małe dziewczynki wierzą w księcia z bajki. Kiedy dorosną, tracą marzenia. Najpierw, kiedy mają osiemnaście lat, biorą plecak i jadą w świat za jakimś dupkiem, potem biorą ślub z gogusiem, który ma robotę, a chłopcy

przez całe życie marzą o kimś takim jak Jessica Rabbit.

– Dany mnie podziwia, Sarah. Przy niej czuję się panem świata. Takim Di Caprio na pokładzie Titanica. Przy Albane jestem odpowiedzialnym facetem, ojcem rodziny, kimś banalnym. Za wcześnie się ożeniłem. Mamy tylko jedno życie. Ja chcę żyć i celebrować życie, wchodzić na wulkany, kąpać się w kaskadach. Ja też mam prawo do szczęścia, cholera!

Mogłabym się nawet rozczulić, gdyby nie to, że jego słowa to wyświechtany banał.

– Di Caprio umiera pod koniec filmu, Cyriane. Twoje marzenie przypomina reklamę gumy do żucia. Nie będę tu moralizować, wiesz, co myślę o Albane. Jeżeli byłbyś szczęśliwy z kimś innym, zatańczyłabym sambę.

Kończy swojego croissanta tip-top.

– Jest pewien problem, bo Dany nie znosi dzieci. Jeżeli się rozwiodę i zamieszkamy razem, nie będę mógł w domu spotykać się z Charlotte. Będę musiał zabierać ją na weekend gdzieś indziej. Dany nienawidzi też psów, będę musiał zostawić Hopla Albane.

– Ależ ta twoja dziewczyna jest cudowna!

– Nalega, żebym się rozstał z Albane. Jestem zasmucony z powodu Charlotte, ale ona jest bezpieczna w swoim dziecięcym świecie. Jeżeli porzucę jej matkę, będziemy mogli się spotykać sam na sam i to wzmocni istniejące między nami więzy.

– O kimś zapominasz, nie?

– Hopla jest bardziej związany z Albane, ona daje mu jeść.

– Nie mówiłam o twoim psie.

– Pomme jest całkowicie szczęśliwa na Groix.

– Mieć takiego ojca jak ty, to nie jest szczególnie wielkie szczęście, Cyriane.

Widzę, że działa. Wbijam nóż głębiej.

– Jesteś zły na ojca, że go nie było, ale on zajmował się nami bardziej, niż ty zajmujesz się swoją córką. Sto razy bardziej skrzywdziłeś Pomme niż Systole nas.

– Jestem dobrym ojcem – protestuje. – Robię wszystko, żeby przyjechać na Boże Narodzenie, na Wielkanoc, na jej urodziny. Gdyby była chora, wskoczyłbym do pierwszego pociągu.

– To na tym polega ojcostwo?

– To nie moja wina, że Maëlle nie chciała mieszkać ze mną w Paryżu. Przecież nie lubisz Albane, dlaczego jej bronisz?

– Nikogo nie bronię. Za osiem lat twoje córki odlecą w świat, nie będziesz mógł już nic naprawić.

Dźwięk telefonu przerywa to, co mówię.

– Wybacz, czekam na telefon związany z castingiem. Halo?

Moja ręka zaciska się na telefonie, druga zaciska się w pięść, staje się gotową do użycia bronią, najeżoną bólem i cierpieniem. Życzyłam mu nieszczęścia, marzyłam, żeby jakiś samochód go potracił i posadził na wózku inwalidzkim, a ja mierzyłabym go dumnym wzrokiem, stojąc wyprostowana i triumfująca, podczas gdy cymalowa salowa wycierałaby ślinę z jego ust i zmieniała brudne pieluchy. Przeszło mi to już, ale moja rana jeszcze się nie zagoiła. Mieliśmy razem zrobić GR 20, pobrać się, mieć dzieci, chcieliśmy wziąć sobie rok luzu na Groix, aby pomagać wspólnocie, zanim włożymy uniformy szkoły i bikorny z kokardą. Mój ukochany jednak uciekł z podwiniętym ogonem, więc ja obściskuję się teraz z innymi mężczyznami i uwielbiam Pomme. Parkuję gratis na miejscach dla niepełnosprawnych, a ludzie przepuszczają mnie w kolejkach.



Cyrian, Paryż

Siostra zbladła.

– Tak, przeszkadzasz, ale mów, o co chodzi – rzuca chrapliwym głosem.

Udaję, że nie słucham, ale usiłuję niczego nie przegapić.

– Skąd masz mój numer?

– ...

– Jestem zawałona pracą w tej chwili, *overbooked*.

– ...

– No dobrze, ale tylko na jedną szklaneczkę, najlepiej w czasie *happy hour*.

W mojej dzielnicy. Mieszkam w Marais.

– ...

– To tuż obok mnie. O dziewiętnastej. Rozpoznasz mnie, będę na wózku inwalidzkim.

Rozłącza się i gestem woła kelnera.

– Koniak poproszę.

Kelner unosi brew. Bardzo rzadko zdarza się takie zamówienie o dziewiątej rano. Można by powiedzieć, że Sarah wróciła z wojny, że właśnie wydostała się z jakiegoś koszmaru.

– To był on.



18 GRUDNIA

Pomme, wyspa Groix

Jo wrócił z Paryża, stęsknił się za wyspą. Pomagałam proboszczowi ustawić w lewym transepcie kościoła żłobek z figurkami, mchem, wodą, która płynie, i kamykami. Handlowcy udekorowali witryny, prześcigając się pomysłami. Rozmawiałam z mamą, zdecydowałyśmy, że nie będziemy narzucać choinki i girland Jo. To zbyt wcześnie. Nie mamy żadnych wieści od taty, więc *a priori* nie przyjedzie. Zazwyczaj ciocia Sarah dołącza do nas 25 grudnia, ale w tym roku przyjedzie dopiero na początku stycznia, bo Jo spędzi Wigilię u znajomych w Loriencie. Tam nie będzie mu tak smutno jak tutaj.

Ciocia Sarah zawsze zajmuje się moimi strojami na Boże Narodzenie. Przysłała mi śliczną czarną sukienkę z H&M i balerinki z cekinami. Poszłam po paczkę na dworzec morski. Wszystkie paczki tam przychodzą. Kiedy turyści albo pomniejsi rezydenci zamawiają coś przez Internet, zdesperowani czekają przy skrzynkach na listy, aż jakaś dobra dusza wyjaśni im, że trzeba się pofatygować do portu samemu. Nie powiedziałam cioci, że spędzimy święta w Locmarii bez ogrzewania. Włożę sukienkę od niej, zrobimy zdjęcie, a potem opakuję się w polar, legginsy i futrzane botki.

Brakuje mi ciebie, Lou, ale nauczyłaś mnie kochać Boże Narodzenie, więc będę je kochać w tym roku za nas obie. Robię postępy w grze na saksofonie i to dodaje mi sił. Kiedy instrument się budzi, wzlatuję i zaczynam szybować. Nuty lewej ręki do, si, la, sol już nie mają dla mnie tajemnic. Oswajam te na prawą fa, mi, re i dolne do. Ywes zagrał mi *Fly Me to the Moon*, to było cudowne.

Dawniej to ty pomagałaś mi wybierać prezenty na święta, w tym roku radzę sobie sama. Tata wysłał mi czek. Wolałabym niespodziankę, więc wszystko wydałam. Kupiłam ogrodowe saboty dla Jo, kosmetyczkę z płótna żaglowego dla mamy oraz zeszyt z rysunkami wyspy i polar dla Charlotte. Zrobiłam prezent dla taty. Namalowałam na kartonie dwie tarcze zegarowe i dokleiłam wskazówki z papieru. Prezent zrobiłam z kalendarza przypływów i dwóch zegarów. Będzie codziennie ustawiał ruchome wskazówki na godzinie przypływu i odpływu.

Kiedy wracam ze szkoły, widzę mamę i Jo skulonych przy zlewie w kuchni. Jo ma swoją skrzynię na narzędzia. Klękam obok niego.

– Tu jest przeciek. Mama odkręci kurek. Weź ścierkę, dzięki temu palce nie będą ci się ślizgać. Jak tylko zobaczysz wyciekającą wodę, przyciśnij w miejscu, gdzie cieknie. Zgoda?

Mama odkręca wodę, a ona tryska z rury z niewidzialnej gołym okiem dziurki. Naciskam to miejsce z całych sił. Mama znów zakręca kurek, wylewamy wodę, Jo naprawia. Mama odkręca po raz kolejny, teraz już nie cieknie.

– Dam datek na Stowarzyszenie Pomocy Żonom Kiepskich Mężów – mówi mama ze śmiechem.

Protestuję instynktownie.

– Tata nie jest kiepski!

Mama i Jo zakłopotani wymieniają spojrzenia.

Zareagowałam za szybko.

– Świetnie sobie radzisz – mówię do Jo, żeby załagodzić sytuację.

– Kardiologia to jak hydraulika. Ciśnienie, przecieki, kłapki, kurki, ale szpitalni kardiolodzy zarabiają mniej niż rzemieślnicy hydraulicy – wzdycha.



Lou, tam, gdzie idzie się potem

Gdzie jest choinka, Jo? Gdzie bombki, świecące girlandy, biszkopty z imbirem, kalendarz adwentowy z dwudziestoma czterema drzewczkami i ukrytymi za nimi dwudziestoma czterema czekoladkami? Gdzie podział się twój duch Bożego Narodzenia? Wystarczyło, żebym zniknęła, a ty wszystko sobie odpuszczasz?

Widzę, jak wszyscy ludzie zamawiają indyka, łowią muszle świętego Jakuba, kupują kasztany, prasują świąteczne obrusy, wkładają do lodówek szampana. Wszyscy oprócz oczywiście Sarah.



24 GRUDNIA

Jo, wyspa Groix

Lou, ty zabrałaś święta ze sobą. W tym roku nie ma u nas choinki. Pomme i Maëlle zjedzą kolację w Locmarii przy ogniu, będą piec pianki w kominku. Nie chcę im zepsuć świąt. Powiedziałem, że jadę do znajomych do Lorientu. Wsiądę na statek, spędzę noc w hotelu. Wrócę jutro. Maëlle nie dała się oszukać, wciąż powtarzała mi, że moje nakrycie będzie na mnie czekało. Pomme włożyła prezent do mojej walizki.

Sprawdzam e-maile. Otrzymałem alert Google na temat Cyriana – uczestniczył w zebraniu Lions Club – i drugi alert na temat Sarah. Odkrywam z zaskoczeniem, gdzie nasza córka spędza Wigilię. Nie zgadłabyś nigdy! Nie, jestem głupcem, na pewno wiedziałaś, bo pisałaś „Princ” przy jej imieniu w swoich kalendarzach każdego 24 grudnia. Link przekierował mnie do grupy wolontariuszy, która organizuje Wigilię w szpitalu. Kliknąłem i wpadłem na zdjęcie naszej córki na wózku inwalidzkim z czerwonym plastikowym nosem na twarzy.

Nasza księżniczka Sarah je kolację wigilijną w Le Vésinet na avenue de la Princesse. Nie u znajomych, ale w budynku z czasów drugiego cesarstwa, początkowo przeznaczonym dla robotników, rekonwalescentów z departamentu. To tam została przyjęta na rehabilitację, kiedy jej choroba przybrała na sile. Tam spędziliśmy też jedną z Wigilii – ona w łóżku, ty i ja siedzieliśmy u jej boku. Cyrian, który mieszka przecież tuż obok, został z Albane, ona ma fobię szpitalną. Przygotowałaś nam świąteczny posiłek. Był niejadalny, ale uroczy, podlany szampanem, który włożyłaś do swojej torebki

listonoszki. Wolontariusze chodzili po pokojach, zabawiając pacjentów leżących w łózkach. Sarah obiecała sobie, że kiedyś wróci na obu nogach, aby im podziękować. Nigdy mi o tym nie mówiła, ale dotrzymała słowa.

Wchodzę na stronę szpitala, spodziewając się, że znajdę tam któregoś z moich przyjaciół lekarzy. Bingo! Środowisko lekarskie jest bardzo małe. Wysłałam maila do Thomasa Defyves, specjalisty od kręgosłupa, z którym pracowałem jako lekarz w SAMU 75. Przypominam sobie nasze potyczki w pianie z gaśnic na korytarzach szpitala Neckera, nasze letnie barbecue na lądowisku dla helikopterów i szaszłyki improwizowane na medycznych drenach. Dzieci, które się wtedy urodziły, ludzi rozczłonkowanych pod wagonami metra, wisielców, zabitych, uratowanych, reanimowanych, zmarłych i tych, którzy przeżyli, oraz kolegów z dyżuru śpiewających *Tak bardzo chciałbym zobaczyć Syracuse* wokół rozklekotanego pianina, na którym co oczywiste grał Thomas. Odpowiada mi w krótszym czasie niż ten, który potrzebny jest do podłączenia kroplówki.

– Cześć, stary, nadal na swojej wyspie?

– Muszę cię prosić o przysługę.

Dziś nie operuje, obiecuje, że zasięgnie języka. Ma troje dzieci: dwoje na studiach medycznych, jedno na weterynarii. Dlaczego ja nie sprawiłem, żeby moje dzieci poszły moją drogą? Czy Pomme naprawdę pójdzie w moje ślady?

Odpowiada godzinę później. Sarah będzie prowadziła zajęcia na temat kina. Znajduję miejsce na statku płynącym do Lorientu, ale pociągi do Paryża są już całkowicie zapełnione. Wzywam na pomoc „bandę z siódmego”. Niektórzy z przyjaciół zostawiają swoje samochody po drugiej stronie, na stałym lądzie, tak na wszelki wypadek. Jeden z przyjaciół pożycza mi swoje wiekowe BMW. Wpadam do portu, przepływam na ląd, siadam za kierownicą z lakierowanego drewna i kieruję się do Ves.



Jo, Le Vésinet

W szpitalach czuję się u siebie, tak jak piloci czują się doskonale na lotniskach, piekarze w piekarniach, a adwokaci w sądach. Zapach szpitala to moja magdalenka Prousta.

Na oddziale rehabilitacji panuje odświętna atmosfera. Drzwi sal są otwarte, w telewizji same radosne programy, pielęgniarki noszą małe czerwone czapeczki, na półpiętrze stoi choinka.

Ci, którzy mnie mijają, uśmiechają się radośnie, taki jest duch Bożego Narodzenia, rozejm, nawias oświetlony migającymi girlandami. Wolontariusze przewieźli pacjentów do kaplicy na wieczorną mszę. Potem zostanie podany posiłek. Indyk z kasztanami pachnie niesamowicie kusząco.

Miniaturowi święci Mikołaje wspinają się na poręczę łóżek, bałwanki czepiają się białych fartuchów personelu, chodziki owinięte są kolorową krepiną. Tutaj nie ma dzieci, są sami dorośli, i to nie najmłodszy. To właśnie tutaj zdecydowała się przyjść Sarah, jak po zbadaniu sprawy powiedział mi Defyves, do tych najmniej rozbawionych, najbardziej zmęczonych. Niektórzy z nich są zupełnie sami tego wieczora, mogą porozmawiać jedynie z wolontariuszami, zanim ci pozbierają talerze, na których piętrzą się już tylko indycze kości.

W każdym pokoju jest mały odbiornik telewizyjny. Jest też gigantyczny ekran we wspólnej sali. To tu zebrali się wszyscy, żeby posłuchać Sarah. Z daleka rozpoznaję jej niski głos, mężczyźni nazywają go sexy. Nie jestem tego w stanie ocenić, Sarah to moje dziecko. Widziałem jej pierwsze kroki, nauczyłem ją jeździć na trójkołowcu, potem na rowerze, nauczyłem ją wiązać sznurówki i rozpoznawać godzinę na zegarze. Teraz siedzi na swoim wózku ozdobionym girlandami i dźwięczącymi dzwoneczkami. Ma taki sam skórzany

kostium jak Diana Rigg, ta, która grała Emme Peel w serialu *Rewolwer i melonik*. Tyle że kostium Sarah jest czerwony, długie rękawy zakrywają tatuaże. Na szyję założyła perły. Siedzi przed laptopem na scenie na prawo od ekranu. Sala jest pełna, wciskam się do środka, ale tak, żeby mnie nie zauważyła. Pielęgniarki stoją, są sprytni i zwinni, ci, którym pomagają, leżą lub siedzą. Ci są powolni i zeszywniali. Wszyscy spijają słowa z jej ust.

– Znacie film *Cinema Paradiso*? – rzuca w tłum.

To jej ulubiony film fetysz. Podnoszą się ręce, jest ich mniej, niżbym się spodziewał. Sarah posługuje się swoim MacBookiem równie sprawnie jak wózkiem. Na ekranie pojawia się ogromny plakat filmu, a muzyka Ennio Morricone rozlewa się po sali, bierze słuchaczy na zakładników i ściska im flaki, nawet jeżeli oni sami już ledwie słyszą. Czas się zatrzymał. Początek filmu wzbudza emocje, aparaty słuchowe „popiskują”. Wszyscy mają to gdzieś, jest święto.

– Mam dla was niespodziankę – mówi Sarah. – To nie będzie złoty zegarek ani ferrari, ale coś bardziej osobistego. Jesteście tu na rehabilitacji. Dzielimy tę samą walkę. Jesteśmy braćmi.

Wstrzymuję oddech. Nasza córka nigdy wobec nas nie poruszała tego tematu. Nagle czuję się jak intruz, podglądacz, ale nie mogę opuścić sali bez zwracania na siebie uwagi. Kulę się za jakąś kobietą o białych, połyskujących na niebiesko włosach.

– *Tutto a posto*? Coś nie tak, proszę pana? – niepokoje się nieznajomy obok mnie.

– Wszystko w porządku, to tylko paskudny kręćz szyi – mówię, masując sobie kark.

– Obawiałem się, że pan upadnie, *scusi*.

To nie jest pacjent, jest w towarzystwie starszego mężczyzny, który ma koszulę w czarno-czerwonej kratę. To musi być jego ojciec. Jeżeli pewnego

dnia ja trafię do szpitala, Cyrian mnie nie odwiedzi. Tak już jest. Jak wojna, to wojna, ja też nie chodziłem na jego zawody pływackie, byłem ciągle na dyżurach. Ty mnie reprezentowałaś i myślałem, że to wystarczy.

Muzyka cichnie, Sarah bierze mikrofon.

– Film opowiada historię z końca lat czterdziestych dwudziestego wieku. Mały chłopiec o imieniu Totò zaprzyjaźnia się z Alfredo, mężczyzną, który obsługuje projektor w jednym z kin na południu Włoch. Alfredo, grany przez Philippe'a Noireta, wycina z filmów kawałki taśmy, cenzurując w ten sposób sceny pocałunków, które uważa za zbyt śmiałe. Umierając, przekazuje wszystkie te wycinki taśm dorosłemu już Totò, który ogląda je w tej kultowej scenie. Patrzcie!

Puszcza urywek. Jacques Perrin, który wcielił się w Totò, siedzi w nowoczesnym kinie i ogląda swój spadek. Kulawi i poskręcani pacjenci w sali szpitala w Vésinet wyciągają szyje, żeby zobaczyć, co przygotowała dla nich ta wróżka w czerwonym, skórzanym kostiumie, wróżka tak samo pokręcona jak oni, zniszczona, uszkodzona, ale piękna w twoich perłach na szyi.

Kinowe pocałunki, czarno-białe, następują jedno po drugim. Rozpoznaję niektórych aktorów: Vittorio Gassman, Silvana Mangano, Charlie Chaplin, Vittorio De Sica, Totò, Jean Gabin, Marcello Mastroianni, Maria Schell, Cary Grant, Clark Gable, Alida Valli, Farley Granger, Anna Magnani, Gina Lollobrigida, Greta Garbo, Ingrid Bergman, Gary Cooper, choć mogę się mylić.

Zakrywam twarz rękoma, choć nie zasłaniam oczu, żeby móc nadal patrzeć. Jacques Perrin robi to samo. Jestem bratem tego faceta z ekranu, tak jak moja córka jest siostrą tych chorych ludzi.

Na koniec tego kawałka zapala się światło. Wszyscy zaczynają mówić naraz. Sarah daje im kilka minut, potem znów zabiera głos:

– Wszyscy jesteśmy superbohaterami. Mamy coś więcej niż inni, ci sprawni, maratończycy, zwykli śmiertelnicy. Mamy broń, laski, koła, chodziki, kule i to jest nasz as w rękawie, wielkie szczęście! Mamy waleczne serca i odwagę, by poruszać góry, mamy mózgi i ramiona. Nie dajemy się zniszczyć uszkodzeniu rdzenia kręgowego, zwężeniu kanału rdzenia, protezie kolana czy luźnej główce kości stawu biodrowego. Byliście już zakochani? Całowaliście mężczyznę czy kobietę tak, jak robią to te gwiazdy kina i to było cudowne? Żeby się całować, nie potrzeba nóg!

Uśmiechy pojawiają się na zmęczonych twarzach.

– Kino jest częścią mojego życia – ciągnie ona z zapalem. – Wszyscy jesteśmy aktorami grającymi w nieprawdopodobnych scenariuszach, gramy epizody zabawne albo tragiczne. Ludzie normalni, ci nieszczęśnicy, którzy mają tylko dwie nogi, kręcą swoje życie w *steadycam*. Idą razem z kamerą, podczas gdy my filmujemy *travelling*, z jazdy na kołach i szynach naszego losu.

Publiczność jest zafascynowana.

– W życiu mamy prawo tylko do jednego ujęcia. Udało nam się wygrać casting na okruchy, ludzi uszkodzonych, pokręconych. My dostaniemy coś więcej niż Złotą Palmę w Cannes, my wygrywamy niezależność. – Milknie.

Oklaski wybuchają w sali, wznoszą się falą. Nie ma owacji na stojąco, bo większość nie jest w stanie wstać. Publiczność promienieje, dłonie biją o siebie, a moje serce eksploduje.

– Zebrałam kawałek po kawałku dla was na dzisiejszy wieczór urywki z filmów, których bohaterowie mają trudności z chodzeniem albo jeżdżą na wózku. Uwaga... Jedziemy!

Ciemność znów zalewa salę. Całkiem sprawni aktorzy siadają w fotelach na czas kręcenia filmu. James Stewart w filmie *Okno na podwórze*. Tom Cruise w *Urodzonym czwartego lipca*. Daniel Day-Lewis w produkcji *Moja lewa*

stopa. Gary Sinise w filmie *Forrest Gump*, John Savage w *Łowcy jeleni*. Jack Nicholson w *Locie nad kukułczym gniazdem*, Mathieu Amalric w filmie *Motyl i skafander*, Denzel Washington w filmie *Kolekcjoner kości*. Fabien Héraud w *Ze wszystkich sił*, Sophie Marceau w *Przyjacielu u boku*. Sam Worthington w *Avatarze*. François Cluzet w *Nietykalnych*. Sarah wybrała z każdego z tych filmów poruszającą scenę. Taki sierpowy w sam żołądek. Na zakończenie wzięła scenę z kultowego filmu wzorowanego na prawdziwym wydarzeniu – *Przebudzenia*, gdzie Robin Williams, lekarz neurolog, po latach śpiączki przywraca do życia Roberta de Niro i pokazuje mu takie uczucia, jak strach, radość, przyjaźń i miłość.

Światło znów się zapala. Alfred Hitchcock wysłał ich w przeszłość. Na językach mają smak cukierków z dawnych lat, które kiedyś sprzedawano w antraktach, w uszach muzykę z reklamy Jean Mineur z dzieckiem rzucającym siekierą w samo centrum tarczy, której 1000 przekręcało się, aby uformować numer telefonu Balzac 0001.

– Mam jeszcze ostatni prezent – mówi Sarah.

Światła gasną i na ekranie pojawiają się urywki filmów, których akcja toczy się w czasie świąt Bożego Narodzenia. Są to i komedie, i dramaty. *Le père Noël est une ordure* z grupą Splendid, a po nim *L'Arbre de Noël* z Williamem Holdenem, Bourvilem i Virną Lisi. *To wspaniałe życie* z twoim idolem Jamesem Stewartem, *Un Noël à Alexandrie* ze Steve'em McQueenem i Rogerem Moore'em, *White Christmas* z Bingiem Crosby idzie zaraz po *Kevin sam w domu* z Macaulayem Culkinem. *Cud na 34 ulicy* stoi obok *Opowieści wigilijnej*. W końcu *Boże Narodzenie* z Guillaume Canet, Diane Kruger i Dany Boon, którego akcja rozgrywa się w okopach. Film na podstawie prawdziwych wydarzeń opowiada o bożonarodzeniowym rozejmie z 1914 roku i przemawia do pacjentów, których dziadkowie przeżyli pierwszą wojnę światową.

Sala znów jest oświetlona. Mężczyźni i kobiety, którzy dotąd cierpieli samotnie za drzwiami swoich sal, teraz dzielą się emocjami jak koledzy z jednego pokoju.

– Chodziłem do kina na bulwarach z żoną.

– Kiedy byłem dzieciakiem, zakradaliśmy się drzwiami wyjściowymi!

– Kupić bilet, to było marzenie...

– To było jedyne miejsce, gdzie można się było obściskować w ciemnościach!

– Mąż oświadczył mi się w trakcie seansu.

– Nie znoszę filmów o miłości, odkąd jestem wdową.

– Ani takich z pięknymi młodymi aktorami! Szczególnie teraz kiedy jestem stary i paskudny.

– My też byliśmy piękni i młodzi! – protestuje mężczyzna w kraciastej koszuli.

Młody Włoch, który tak się o mnie troszczył, śmieje się. Na ramionach ma sweter, to rzadkość, dlatego to zauważam. Jego sweter jest kaszmirowy w kolorze mchu, takim samym jak kolor jego oczu.

– A teraz czas na muzykę!

Nasza córka zjeżdża ze sceny. Zastępuje ją kobieta z siwym kokiem. Siada do pianina i zaczyna grać z zapalem *Petit papa Noël*, ale magia już przestała działać. Nie ma już wróżki o złotych włosach.

– Wywalić staruchę i zawołać tę seksowną blondynę! – wrzeszczy jakiś kretyn o śmierdzącym oddechu siedzący na wózku.

Chętnie bym zrobił miazgę z jego dwóch kółek.

– Proszę wziąć pod uwagę, że mówi pan o mojej siostrze – odzywa się Włoch w zielonym swetrze.

– O jasny gwint, skąd mogłem wiedzieć?! To cholernie ładny kawał bab...
No, jest piękna.

– Nikt pana nie nauczył szacunku do kobiet?

Kretyn zawraca wózek i zaczyna uciekać.

– To naprawdę pańska siostra? – pytam faceta.

Kręci głową.

– Pierwszy raz w życiu ją widzę, ale mam siostrę bliźniaczkę. Gdyby jakiś przygłup miał coś do niej, to byłbym szczęśliwy, że czyjś brat staje w jej obronie.

Kiwam głową. Rozumiem.

– Nigdy nie widziałem równie fascynującej kobiety. Gdyby nie to, że jest w szpitalu, zabrałbym ją na kolację.

– Nie jest w szpitalu, to wolontariuszka.

– *Questa donna è stupenda* – mruczy zafascynowany.

– Moja żona też była piękna – wzdycha ten we flanelowej koszuli drwala.

– Moja była przepiękna – stwierdzam z przekonaniem.

Dobrze mi robi to, że mogę o tobie rozmawiać z tymi obcymi ludźmi.

Powinnaś być teraz ze mną i mordować biednego indyka, który nic ci nie zrobił, zamiast podjadać mleczkę z mojej wyspy od strony korzenia.

– Mam na imię Éric – mówi drwal.

– Jestem Joseph.

Przedstawia mi swojego akolitę.

– Federico to mój sąsiad z półpiętra. Mieszka w Wenecji, ale ze względu na pracę przyjeżdża regularnie do Paryża. Pewnie tam już na ciebie czekają, chłopcze. Nie spóźnij się.

– Dołączę do znajomych w Chatou. Jest pan w lepszej formie niż piętnaście lat temu!

– Złamałem sobie szyjkę kości udowej na schodach w moim bloku – tłumaczy Éric. – Leżałem na ziemi w ciemności, czekając, aż znajdzie mnie jakiś sąsiad. Trafiło na Federico.

– Ma pan tak samo na imię jak Fellini.

– To nie przypadek, mój dziadek statystował w jego filmach. Mój ojciec pracował w studio w Cinecittà. Moja siostra bliźniaczka ma na imię Giulietta. W naszej rodzinie wszyscy jesteśmy miłośnikami kina. Na uniwersytecie, na którym wykładam, zajmuję się także klubem filmowym.

To jeden z twoich żartów, Lou? Wysłałaś mi fatamorganę?

– Żona z panem też jeździ w delegacje?

– Nie jestem żonaty. Żyję okrakiem między Francją a Włochami i nie dam się łatwo zaobrączkować, nie będę prezentem.

– To ja mam dla pana prezent. Wesołych świąt, Federico. Ta *donna stupenda*, którą ma pan ochotę zaprosić na obiad, ma Felliniego i Giulietę wytatuowanych na przedramionach. Jeżeli pan jej powie, że pana krewni ich znali, założę się, że przyjmie zaproszenie.



Jo, Le Vésinet

Nie mam ochoty iść do naszego mieszkania na rue Montparnasse, bo ty tam na mnie nie czekasz. Programy telewizyjne puszczane w Boże Narodzenie to oszustwo. Prezenterzy w odświętnych ubraniach udają, że jedzą kolację wraz z nami, a przecież te emisje są nagrywane wcześniej. Oszukują. Ja też oszukuję, ukrywając przed naszymi dziećmi misję, którą mi powierzyłaś.

Drzwi budynku otwierają się. Sarah w końcu wychodzi. Nie może mnie zobaczyć, moje stare BMW zaparkowałem w cieniu. Opatulona w czerwony płaszcz, który zamienia ją w świętą Mikołajkę, wjeżdża sprawnie wózkiem na rampę. Federico idzie za nią, mówiąc coś rękoma. Sarah otwiera samochód biperem, wstaje, składa swój wózek na oczach zaskoczonego Federico.

Pomaga jej włożyć wózek na tył samochodu. Sarah siada za kierownicą, on siada obok niej.

Nie pójdę w tym roku na pasterkę. To moje pierwsze Boże Narodzenie bez ciebie, Lou. Czuję się zagubiony. Nie ma szkoły, która szkoliłaby wdowców. Trzeba się rzucić na głęboką wodę i wziąć wszystko na klatę.



Federico, Chatou

Restauracja „Via 47” jest zatłoczona, ale udaje mi się obłaskawić szefa językiem Dantego. Antonio dostawia krzesło i nakrycie. Moi przyjaciele serdecznie witają Sarah, *una bella ragazza così* raduje i oczy, i duszę.

– Jak się poznaliście? – pyta Milan.

– *Maestro* nas sobie przedstawił.

– Jaki *maestro*? – pyta jego żona Paola.

Wymieniam z Sarah ukradkowe spojrzenie.

– Fellini.

– A ile mieliście wtedy lat?

Fellini zmarł w 1993, obliczam.

– Jakoś tak około dziesięciu, nie, Sarah?

Podejmuje grę. Pijemy prosecco, jemy risotto z truflami. Moi znajomi robią sobie żarty, których Sarah nie jest w stanie zrozumieć. Boję się, że czuje się wykluczona. Wpadam na pomysł.

– Raz dwa trzy?

Milan marszczy brwi. Sarah łapie pomysł i odpowiada natychmiast niewzruszona.

– Raz dwa.

– Raz dwa trzy cztery?

Odpowiada natychmiast tym samym tonem:

– Raz dwa trzy!

Paola sądzi, że źle usłyszała, pochyla głowę w naszym kierunku.

– Raz – mówię zdecydowanie.

– Raz dwa? – pyta, wskazując zielony *maglione* na moich ramionach.

Strasznie niemodne jest noszenie swetra w ten sposób.

– Raz dwa trzy cztery – dopowiadam.

Fellini kazał swoim statystom grać właśnie w ten sposób. Po prostu mieli liczyć na głos, potem prawdziwi aktorzy dublowali ich dialogi. Ten język jest nam tak doskonale znany, jakbyśmy się nim posługiwali od dzieciństwa. Pozwala nam utkać specjalną nić, wspólnotę cyfr, wibrację źrenic. Jemy obiad, wybuchając śmiechem. Rozpoznaliśmy się, to widać. Słowa nie są konieczne, litery alfabetu bezużyteczne, kod *maestro* łączy nas mocniej niż pocałunek.



Pomme, wyspa Groix

To moje pierwsze Boże Narodzenie bez dziadków. Będziemy spać w śpiworach przed kominkiem, upieczemy *marshmallows* na szpadkach. Mama zrobiła mi zdjęcie w świątecznej sukience i wysłała cioci Sarah, potem się przebrałam. My na Wigilię mamy specjalny rytuał. Co roku Lou puszczała nam *To wspaniałe życie* Franka Capry. Znam na pamięć wszystkie dialogi. Oglądam film z mamą. Nie jest mi zimno, mama dała mi pikowaną czerwoną bluzę z kapturem. Czerwoną dlatego, że jest Boże Narodzenie, ale też żeby złożyć hołd odwadze dawnych mieszkańców wyspy Groix.

Dawno temu angielskie statki pod dowództwem admirała Cooka przepływały niedaleko stąd i chciały splądrować wyspę. To było w 1703 roku. Mężczyźni byli wówczas na morzu, a na Groix zostały tylko kobiety, dzieci i starcy. Ówczesny proboszcz wpadł na genialny pomysł. Kazał wszystkim ubrać się na czerwono, podkasać spódnice i wziąć w ręce widły i kołki. Anglicy patrząc ze swoich statków, sądzą, że widzą oddział francuskich żołnierzy w mundurach, aby więc nie wpaść w pułapkę, zmienili trasę. Wyspa została uratowana.



Jo, Paryż

Nie jestem głodny, choć kiedy byłem z tobą, wciąż byłem wygłodniały. Słucham *Pasji według świętego Mateusza* Bacha. Rozdzieram papier, w który opakowany jest prezent od Pomme. Ty co roku dawałaś mi nowy marynarski sweter. Mogłem powtarzać bez końca, że moja szafa jest ich pełna, że mój ojciec w swojej szufladzie miał tylko trzy swetry i że to mu wystarczało. Ty jednak protestowałaś: „Nie masz jeszcze swetra w tym odcieniu. Kolor twoich oczu zmienia się w zależności od tego, w co jesteś ubrany. A ja lubię je oglądać, daj mi tę egoistyczną przyjemność”.

Spodziewałem się, że w tym roku nie dostanę swetra, który mógłbym dorzucić do swojej kolekcji, ale Pomme narysowała mi taki, którego paski są w kolorze tęczy.

- Wesołych Świąt, moja Tarto Jabłkowa!
- Ja tobie też życzę wesołych. Otworzyłeś mój prezent?
- Jest wspaniały, będzie pasował.
- Nie możesz go zarzucić na ramiona, ale pomyślałam...

Przerywa, jakby się zagalopowała. Delikatność to coś, czego się nie analizuje.

– Bardzo dobrze pomyślałaś, moja Pommette. Ja ukryłem niespodziankę przy rogu domu.

– W miasteczku?

– Nie, w Locmarii.

Wyobrażam sobie, że wkłada kurtkę i beret, nakłada futrzane botki. Ten prezent to drobiazg, drobnostka, ale specjalnie tam pojechałem, żeby go jej zostawić.

– Jesteś na zewnątrz? Obejdź dom z prawej strony. Zatrzymaj się pod rynną, zrób trzy kroki po przekątnej w kierunku hortensji. Jesteś tam? Teraz cztery kroki w kierunku murku. Tam jest taki pieniek. Twój prezent jest tam, wewnątrz, w plastikowej torebce.

– Znalazłam!

Śmieje się radośnie, widząc bransoletkę z czerwonym sznureczkiem. Taką samą wysłałem Charlotte, ale jej sznureczek jest niebieski. Jest tam też mała metalowa, owalna blaszka – kształt wyspy odcina się wgłębieniem.

– Wspaniała, dziękuję! Oglądałyśmy z mamą *To wspaniałe życie*. Anioł Clarence dostał swoje skrzydła. Byłam smutna z powodu Lou, ale potem sobie powiedziałam, że to wielkie szczęście, że ją mieliśmy. Bez niej nie byłoby mnie, taty, cioci Sarah i Charlotte też.

– Bez niej nikt by mnie nie kochał i nienawidziłbym wszystkich ludzi. Nazwałbym mojego psa Imbecyl i ludzie odwracaliby się na ulicy, kiedy bym go wołał: „Imbecyl! Nie, nie chodzi o pana, wołałem psa”.

Chichocze.

– Gdzie mieszkają twoi znajomi w Loriencie? Widzisz Groix stamtąd?

– Widzę cię. Macham ręką, widzisz mnie?

Parska. Kończę rozmowę i przestaję głupio machać ręką przed rzeką

samochodów pod oknami mojego mieszkania na rue Montparnasse. Ty tak kochałaś te święta. Założę się, że święty Mikołaj usadził cię obok siebie, biedak, i pomagasz mu rozwozić prezenty. Mam nadzieję, że płaci ci podwójnie i że nie pracujesz na czarno.

– Wesołych Świąt, Sarah!

– Wesołych Świąt, tato. Gdzie jesteś?

– U znajomych w Loriencie – kłamię bez zawstydzienia.

– Brakuje nam jej, prawda? – pyta Sarah zduszonym głosem.

– Ale mamy lepsze jedzenie – mówię, żeby ją rozchmurzyć.

Humor to nie jest grzeczność w beznadziei, to koło ratunkowe dla tych topielców, którzy nie zdjęli kozaków, żeby szybciej iść na dno.

– Jestem na kolacji z pewnym Włochem, którego dziadek statystował u Felliniego. To niesamowite!

– Ach tak?

Mój ton był bardziej inkwizycyjny, niż chciałem.

– Nie przejmuj się, nie rezygnuję ze swojej reguły *number is safety* – precyzuję cicho. – *Buona sera*, kochanie – mówię, uśmiechając się do głośnika mojego telefonu.

Kilka razy ćwiczę żeby podobnym tonem powiedzieć „Wesołych Świąt, Cyrianie”, potem wybieram numer naszego syna.

– „Proszę zostawić wiadomość, oddzwonię najszybciej jak to będzie możliwe”.

– Wesołych Świąt, synu, dla ciebie i Albane, i Charlotte, i Hopla też. Mama by zadzwoniła, ale już nie może... więc ja...

Powiedziałem to, czego właśnie w tym momencie nie powinienem mówić.

– Daj znać, co u ciebie.

Głupie. Gdyby miał ochotę, to sam by zadzwonił.

– Dobra, całuję was wszystkich. Choć nie, Hopla nie całuję, i z głębi serca

życzę wam Wesołych Świąt...

– Biiiiip!

Co za cholerna automatyczna sekretarka. Mam ochotę wyrzucić telefon przez okno. Kiedy w zeszłym roku w porcie mój stary iPhone wpadł do morza, to ty skonfigurowałaś mi ten nowy. Zamówiłem go pocztą, całe godziny straciłem, denerwując się nim bez sensu. A ty przyszłaś i powiedziałaś, nabijając się ze mnie: „Jeżeli nie przeprowadzisz walidacji karty, możesz nadal kombinować”. Wbiłaś kod zabezpieczający i wszystko zaczęło działać. Lou, bez ciebie jestem całkowicie poza zasięgiem. Moja komórka dzwoni. Cyrian zaakceptował mój rozejm świąteczny. Uśmiecham się i odbieram.

– Cyrian?

– Wesołych Świąt, dziadku! Dziękuję za prezent, dostałam go dziś rano.

– Cieszę się, że cię słyszę, moja Szarlotko Gruszkowa.

– Rodzice dali mi iPada mini, jest super.

– Pokażesz mi!

– Kiedy? Mama mówi, że teraz to już więcej nie pojedziemy na Groix.

Tylko nie pokazać, że to niewinne zdanie rani moje serce do głębi.

– Następnym razem jak się zobaczymy. Jesteście w Vésinet, przy kominku?

– Tak, ale nie pali się. Mama uważa, że to niebezpieczne.

Zdziwiłbym się, gdyby było inaczej. Ktoś coś cicho jej podpowiada.

– Tata i mama życzą ci Wesołych Świąt – mówi Charlotte.

– Możesz mi dać tatę?

Przekazuje moją prośbę.

– Jest zajęty.

– W takim razie dobranoc wam wszystkim.

Kończę połączenie, zanim głos mnie zawiedzie.

Wesołych Świąt, moja Lou. Mam nadzieję, że przyczepiłaś gwiazdę na czubku choinki i nie zwałaś się na pysk z czubka jakubowej drabiny. Oby

sprzedawcy twojego ulubionego szampana podbili niebiańskie rynki i żeby żaden orzechowy archanioł ¹ cię nie poderwał. Strzeż się, ukochana. Te typy uwodzą, a potem odlatują. Nie można na nich liczyć. Potrzebujesz solidnego faceta, takiego jak ja, porządnego, godnego zaufania, stojącego mocno na ziemi, nawet jeżeli ta ziemia to zaledwie wyspa.



Lou, tam, gdzie idzie się potem

Wszyscy, których kocham, słuchają muzyki albo na czymś grają. Pomme i Maëlle śpiewają *Cichą noc nad brzegiem oceanu*. Cyrian, Albane i Charlotte są kołysani piosenką *I'll be Home for Christmas* Barbry Streisand przy swoim niezapalonym kominku. Hopla smakuje cudne dźwięki kawałka indyka, który Albane wrzuciła mu do miski. Sarah we włoskiej restauracji, gdzie spędza Wigilię, słucha *Bianco Natale*, które wykonuje Mina ². Boy, Lola i Julie słuchają, jak fale rozbijają się o molo w Port-Lay. Koledzy z „bandy z siódmego” oraz znajomi Pat i Mimi strzelają korkami szampana. Moja koleżanka z domu opieki układa słowa w scrabble liczące się potrójnie. Mój przyjaciel Gilles, który nienawidzi Bożego Narodzenia, puszcza sobie na okrągło *Le soleil noir* Barbary. „Aniołowie na wioskach” ³ intonują hymny niebiańskie. „Północ chrześcijanie” ⁴ to uroczysty moment, ale tutaj panuje całkowita cisza.



Federico, na drodze między Chatou i Paryżem

Sarah zaproponowała, że mnie podrzuci do Paryża. Zgodziłem się. Kontynuujemy naszą zabawę w samochodzie.

– Raz dwa trzy – wzdycha na pont de Chatou.

– Raz dwa – mówię na A86.

– Raz – dorzucam Sarah w Port de Maillot.

– Raz dwa – mówię, podając jej swój adres. – Wykładałam na uniwersytecie Padova, wy mówicie Padwa. Mieszkam w Venezia, wy mówicie Wenecja.

– Ja mieszkam i pracuję w Paryżu, wy mówicie Parigi. Zawsze wkłada pan sweter na ramiona czy to tylko na dzisiejszy wieczór?

– Raz – mówię, uśmiechając się.

Sarah parkuje przed moim mieszkaniem na miejscu dla niepełnosprawnych. Zwracam jej uwagę, że to zabronione.

– Raz dwa – mówi Sarah, wskazując na naklejkę na szybie.

A gdybym ją zaprosił? Zgodzi się? W lodówce mam Barbera d’Asti, to nie szampan, ale jest dobre.

Pochyliłam się i całuję ją z przejęciem. To świąteczny pocałunek, łakomy, świetlisty, mocny, radosny. Myśli, że razem spędzimy noc. Biorę ją za rękę i gładzę jej wnętrze powoli, potem kręcę głową.

– Raz – mówię jako wyjaśnienie.

Podnosi brwi ze zdziwieniem, nie wierząc, że ją zostawię. Jej twarz poważnieje i jest jeszcze piękniejsza. Nasza zabawa zaczyna stanowić przeszkodę, ale nie możemy z niej zrezygnować. Jeżeli użyję słów zamiast liczb, magia się ulotni.

– Raz dwa – mówię, aby podkreślić to, co mówię.

Wysiadam z samochodu. Zamykam drzwi. Ona rusza, nie patrząc na mnie, i traktuje mnie jak *stronzo*, wy na to mówicie bydlak.

1. Aluzja do ciasta *archangel cake*. [\[wróć\]](#)

2. Mina Mazzini. [\[wróć\]](#)

3. Jedna z bardziej znanych kolęd francuskich. [\[wróć\]](#)
4. Kolęda z początku XIX wieku. [\[wróć\]](#)



25 GRUDNIA

Jo, Paryż

Chciałbym, żeby padał śnieg albo choćby deszcz, ale niebo jest czyste. Światło słoneczne sprawia, że rodziny po świątecznym obżarstwie idą pospacerować. Jestem smutny, bo nie możesz go widzieć. Jestem na dworcu Montparnasse. Telefon wibruje w mojej kieszeni. To Sarah.

– Ładna pogoda w Lorientie?

– Zawsze jest ładna, kiedy słyszę twój głos – mówię, żeby uciąć dyskusję.

– Mój Włoch z wczorajszego wieczora miał sweter zarzucony na ramiona.

To rzadkość.

– Kobiety się malują, mężczyźni zarzucają swetry na ramiona. Kaszmirowy sweter pod kolor oczu to coś niespotykanego.

– Nieodpartego, chcesz powiedzieć...

Nagle przerywa.

– Skąd wiesz, że ma oczy w takim samym kolorze?

Aj! Strzeliłem gafę. Szybko! Trzeba znaleźć jakąś odpowiedź.

– Powiedziałem to przez przypadek. Założę się, że ma niebieskie albo zielone oczy. Jasne oczy rozmarzają dziewczęta. Twoja matka nawet by na mnie nie popatrzyła, gdybym miał brązowe oczy.

– Co ty mówisz!

– Na ślubie, gdzie ją spotkałem, był u jej boku chłopak. Miał kręcone włosy, sygnet herbowy i tańczył walca wręcz perfekcyjnie, ale jego oczy były kasztanowe. Ja wygrałem.

Śmieje się i nie pyta o nic więcej. Uff.

– Mój Włoch ma na imię Federico, nazwano go tak w hołdzie Felliniemu. Cały wieczór rozmawialiśmy ze sobą liczbami jak u *maestro*. Można by powiedzieć: dwoje głuchych rozmawiających językiem znaków przy grupie słyszających.

– Jak to: licząc?

– Tato! – wykrzykuje Sarah załamana moim brakiem obycia. – Fellini wybierał statystów ze względu na ich twarze. To nie byli aktorzy profesjonalni. Nie mogli uczyć się ról na pamięć, więc wymyślił system, kazał im liczyć na głos, jakby rozmawiali, a potem profesjonalni aktorzy podkładali głosy. Każdy to wie.

– Ja nie. Spotkasz się z nim jeszcze?

– Nigdy więcej niż dwa razy. Moja reguła jest niepodważalna.



26 GRUDNIA

Sarah, Paryż, dzielnica Le Marais

Przychodzę do baru spóźniona, mimo że jestem gotowa na to spotkanie od dziesięciu lat. Mam ochotę się zemścić, zwyzywać go. Nikt jeszcze nie zranił mnie tak bardzo jak ten mężczyzna, z którym kiedyś chciałam spędzić życie.

Nie przyjechałam na wózku, to dzień laskowy. Znow włożyłam obcisły kostium z czerwonej skóry. Sukinsyn wstaje. Jego włosy koloru pieprzu z solą są nieco zbyt długie i opadają mu na szyję, ma elegancki garnitur, ale źle wypastowane buty. Nie nosi obrączki. Ma głębokie zmarszczki wokół oczu i ust. Życie nie obeszło się z nim łaskawie i to bardzo mnie cieszy. Tak często się kiedyś kochaliśmy, a teraz nienawiść wypełnia mnie po brzegi, drzę nią od palców stóp aż po nasadę włosów.

– Wciąż jesteś taka piękna, Sarah – mówi.

Pierwszy film mojego dzieciństwa to było *101 dalmatyńczyków*. Tata jak zwykle pracował, brat zasnął już na samym początku, ja przez wiele tygodni miałam koszmary. Dziś wieczorem zbieram się na odwagę, by zagrać Cruellę. Przekonuję sama siebie, że ten mężczyzna naprzeciw mnie ukrywa w sobie rottweilera, który kiedyś mnie poranił.

– Szampana? – proponuje. – Nie jestem pewien, czy mają ulubioną markę twojej matki.

– Ona nie żyje – mówię gwałtownie.

– Wiem, pisałem do ciebie.

– Nic nie dostałam.

– Nie wysłałem listu. Pomyślałem, że go podrzesz i wyrzucisz.

– Nieźle pomyślałeś.

Przynoszą nam dwa kieliszki. On wznosi swój z wahaniem.

– Za co wypijemy, Sarah?

– Za nasze zerwanie? Chcę ci podziękować, Patrice. Dzięki tobie mam zawód, który uwielbiam, i szalone życie. Gdybyś nie był takim popaprańcem, pobralibyśmy się i u twojego boku wiodłabym nudną i byle jaką egzystencję. Moja duma rzeczywiście ucierpiała, ale jestem ci wdzięczna za to twoje niezgłębione tchórzostwo.

Wbrew wszelkim oczekiwaniom zaczyna się śmiać.

– Nudną i byle jaką. Moja żona jest tego samego zdania. Właśnie to zarzucała mi wobec adwokatów w dzień naszego rozvodu.

– Wypijmy za twoją żonę!

Pijemy za jego byłą żonę. W tym goście mój kostium podnosi się, ukazując lewe przedramię i odsłaniając Giuliettę.

– Jest prawdziwy?

Podciągam prawy rękaw, żeby pokazać mu Federico.

– To było bolesne?

– Mniej niż twoja ucieczka. Przykro mi, to stwierdzenie było zbyt kuszące! Najpierw dają znieczulenie miejscowe. Nie zrobiłam tego w jakiejś brudnej budzie, ale w tokańskim ogrodzie, a tatuażysta był Kalifornijczykiem. Nic nie czułam, kiedy rysował czarne kontury, martwiałam, kiedy dodawał kolory, czerwoną szarfę i paski swetra.

– Nie masz z tego powodu problemów w pracy?

– Pracuję w filmie, a tam to normalne. Ty przejąłeś firmę ojca?

– Tak jak było ustalone. Żyjesz sama czy z kimś?

– Mam partnera – mówię, kłamiąc z przekonaniem.

– Wypijmy za jego zdrowie.

Osuszamy kieliszki i zamawiamy dwa kolejne. Kelner bierze nas za parę

zakochanych.

– Dziękuję, że przysłałaś, Sarah.

– Chciałam zobaczyć, czy masz odwagę spojrzeć mi w oczy.

– Byłam tylko dzieciakiem, bałam się.

– A sądzisz, że ja nie byłam przerażona? Życie mi się zawaliło. Liczyłam na ciebie, ale ty chciałaś narzeczoną z certyfikatem zgodności, dwie ręce, dwie nogi i gwarancja zgodności z umową.

Kelner przynosi dwa kieliszki. Wznoszę swój.

– Za radosne dzieciaki, których nie mieliśmy.

– Nigdy nie byłem szczęśliwy bez ciebie. Ożeniłem się z dziewczyną z Londynu, która była do ciebie podobna. Pobraliśmy się w Anglii, bo chciałem jej zrobić przyjemność. Mieszkaliśmy w Paryżu. Nasz syn John urodził się w Londynie, moja żona chciała być blisko swojej matki. Tam też się rozwiedliśmy, tak było prościej. Moja żona wyjechała tam, zabierając mi Johna. Sędzia przyznał jej rację. Mój syn nazywa swojego ojczyma *daddy*, a do mnie mówi Patrice. To gorsze niż pobyt w więzieniu. Wyklucza mnie, wymazuje moje istnienie.

– Przykro mi z jego powodu, z twojego prawie wcale. Takie zachowanie to coś, czego nie robi się osobie niepełnosprawnej. To wielki, wredny grzech, a niebo umie ukarać sprawnych, którzy podkładają nogi kulawym.

Patrice odsuwa swoje krzesło.

– Czujesz się lepiej? Wyplułaś już cały swój jad? Zapłacę za szampana, niech tak zostanie.

Bierze rachunek, potem wstaje. Łapię go za rękę.

– Znów zamierzasz zwać?

Siada raz jeszcze. Wypija zawartość swojego kieliszka do dna, jednym haustem. Robię to samo.

– Jesteś równie zachwycająca jak wtedy, ale zmieniłaś się.

– Stałam się twardsza.

– Zazdroścę.

Zamawiamy po trzecim kieliszku. Znam go, myśli, że powinniśmy zamówić całą butelkę, co wyszłoby taniej.

– Kiedy zaproponowałaś, żebyśmy się czegoś razem napili, zrozumiałem, jak mnie odbierasz, Sarah. Zmieniłaś się, ale myślisz tak samo jak kiedyś. Z najbliższymi, tymi ze ścisłego otoczenia idziesz na kolację. Z przyjaciółkami, które lubisz, jadasz śniadania. Inni, ci, którzy odgrywają drugorzędne role w twoim życiu, dostają jałmużnę w postaci drinka.

– Ty byłeś w kręgu najbliższych. Opuściłeś to miejsce z własnej woli.

– Byłem młody i głupi.

– Postarzałeś się, ale to nie przydało ci inteligencji.

Pijemy. Wypijamy zawartość naszych kieliszków aż do ostatniej kropli.

– Starczy czy mamy ochotę napić się jeszcze? – pyta Patrice.

– Już masz dosyć?

Woła kelnera, który obserwował stolik, a teraz podchodzi, by nas obsłużyć.

– Co tam u twojego brata?

– Taka jedna fantastyczna dziewczyna z Groix urodziła mu prześliczną córkę. On jednak poślubił pewną idiotkę i urodziła im się okropna dziewczucha, ale z czasem się polepszy. Masz zdjęcie Johna?

Podaje mi swój telefon komórkowy – Patrice junior ma piegi i wygląda *so british!*

– Piliśmy już za moją byłą żonę i za twojego obecnego faceta, za nasze wyśnzione dzieci. Za kogo wypijemy następny toast, Sarah?

– Za naszego ostatniego drinka razem – mówię – bo to ostatni raz, kiedy się widzimy.

– Wypijmy raczej za nasz ostatni wieczór – proponuje Patrice. – Spędźmy go razem, skończmy to hucznie.

Cieszę się, że dziś wieczorem spotkam się z moim włoskim kinomanem. Nie rozumiem, dlaczego nie zaproponował mi, żebym została u niego po Wigilii. Nie jest żonaty, natychmiast takich wyczuwam, podobam mu się, to widać. Niektórzy mężczyźni są zażenowani moją odmiennością, inni przeciwnie – są nią podekscytowani. On nie należy ani do jednych, ani do drugich, łatwo wykrywam wszelkiej maści perwersów. Więc dlaczego? Jestem zaintrygowana. Fantastyczne było to, że porozumiewaliśmy się za pomocą kodu. Kiedy byłam dzieckiem w szkółce żeglarskiej, miałam tajną umowę z bratem. Wymyśliliśmy sobie własny język, ja ściągałam albo luzowałam żagiel na onomatopeję, on stawiał albo kładł żagiel na jakiś ideofon. Działaliśmy na tych samych falach. Zamierzam więc usadzić Patrice, mówiąc mu, że mam spotkanie z Federico, i słyszę sama siebie, jak mówię zaskoczona:

– Piję za naszą ostatnią noc!

Jest tak samo zaskoczony jak ja.

– Odejdiesz jutro rano i nigdy więcej się nie spotkamy – precyzuję.

– Tak chcesz mnie ukarać? To sadyzm, nie sądzisz?

– Mam złotą zasadę. Z nikim nie spotykam się częściej niż dwa razy.

– A ja mam prawo tylko do jednego spotkania?

Spokojnie odstawiam kieliszek.

– Mamy przeszłość.

– Nigdy mi nie wybaczysz?

– Nie.

Waha się. Atmosfera wokół nas jest naelektryzowana i nasycona erotyzmem.

– Za naszą ostatnią noc – mówi ten sukinsyn mój były, dopijając swój czwarty kieliszek szampana.

Podczas gdy płaci rachunek, ja łapię za telefon. Klikam w kontaktach na Federico. Moje palce tańczą, kiedy redaguję SMS. Muszę powtarzać to kilka razy z powodu szampana. Automatyczna korekta też dokłada swoje. Palec mi

się ześlizguje i wysyłam SMS, zanim zdążyłam go odczytać. Chciałam napisać: „Przykro mi, ale dziś wieczorem nie mogę, mam ważne zebranie”. A wysłałam: „Przykro mi, ale dziś wieczorem nie mogę, mam poważne branie”.



Federico, Paryż, dzielnica Le Marais

Przyjechałem wcześniej i usiadłem na ogrzewanym tarasie, aby wypić espresso i przeczytać „Corriere della Sera”. Dostaję SMS od Sarah dokładnie w chwili, kiedy ona, zupełnie mnie nie zauważając, przechodzi chodnikiem po drugiej stronie rue de Sévigné.

Nie jest sama. Para wchodzi na dziedziniec dawnego pałacyku. Ona wspiera się na lasce i na nim. Pili nie tylko sok jabłkowy. Ciężka brama zamyka się za nimi. Jestem zawiedziony. Jest zbyt piękna, żeby nikogo nie mieć. Okłamała mnie, ale nie czuję się zraniony, nie jest *la mia fidanzata*, moją dziewczyną. Tej nocy po Wigilii pragnąłem jej jak *un pazzo*, wariat, ale nie chciałem zafałszować naszego układu, wykorzystując nostalgię tego świątecznego wieczoru. Chciałem się z nią kochać w normalny dzień, taki dzień, który byłby tylko nasz. Powinienem ją przelecieć, nie zastanawiając się nad niczym. Ten facet o siwawych włosach stałby teraz na chodniku zamiast mnie.

Jestem wykładowcą uniwersyteckim, wolnym człowiekiem. Każdą noc tygodnia mógłbym spędzać z inną studentką, ale mam niewzruszoną zasadę. Żadnych studentek. Sypiam czasami z Chiarą, koleżanką, wykładowczynią fizyki. Nie jesteśmy parą. To taki przyjazny i czuły związek. Jej facet został przeniesiony na Sycylię. Mocno stoję nogami na ziemi, ale często mam głowę w chmurach.

Galileusz wykładał w Padwie przez dwadzieścia lat, obliczył oscylacje żyrandoli w katedrze w Pizie, bazując na swoim pulsie, a potem całe życie siedział z głową w gwiazdach. Mój puls jest regularny, ale ja szaleję. Klikam na klawiaturze telefonu odpowiedź na SMS od Sarah: „Dobrego brania”.



Pomme, wyspa Groix

Wyspa jest pełna turystów i pomniejszych rezydentów, którzy bardzo źle parkują. Restauracje są pełne, handlowcy są zadowoleni. Za osiem dni, kiedy nadejdzie koniec wakacji, wróci spokój. Pozostaną tu tylko mieszkańcy z Groix, ci, którzy się tu urodzili, emeryci, którzy tu zamieszkali na stałe, przyjezdni, którzy marzyli o swojej wyspie, poeci i piechurzy. Grzebię w kartonie na ozdoby świąteczne, którego w tym roku nie otwieraliśmy. Wybieram trzy łańcuchy.

Wchodzę na cmentarz, przechodzę przed pomnikiem marynarzy, którzy zginęli na morzu, pozdrawiam wielką kamienną panią, która płacząc, modli się na kolanach za tych, którzy utonęli.

Ludzie, którzy zmarli dawno temu, leżą w starej części cmentarza, młodzi śpią w nowej – to tam, gdzie na grobach można zobaczyć różne przedmioty, które rozdzierają serce, wyrzeźbioną gitarę, statek, zdjęcia. Starannie rozkładam łańcuchy na kamieniu, na którym wygrawerowane jest twoje nazwisko i nazwiska rodziców Jo, mimo że nigdy nie odnaleziono ciała jego ojca, który utonął na Morzu Irlandzkim. Pokazuję ci bransoletkę z Groix i moją czerwoną pikowaną bluzę.

Jesteśmy z mamą zapisane na Café Mémoire. Dowiem się, jakie było życie codzienne na statkach rybackich w poprzednim wieku. Mam zrobić prezentację

do szkoły. Przyjdę ją tu do ciebie przećwiczyć, nie uda ci się przed tym uciec.

Nauczyłam się krzyżyków i bemoli na saksofonie. Moja ulubiona nuta to do z krzyżykiem. Ten dźwięk wydobywa się, zupełnie niczego nie naciskając, jest cool!

Jestem pewna, że mnie słyszysz. I to jest niesprawiedliwe, że ja opowiadam ci o wszystkim, a ty nie mówisz mi o niczym.



Dany, Paryż, rue Monge

Paryż to miasto, gdzie ludzie bardzo chętnie spędzają święta, hotel jest przepelniony. Cyrian zaprosił mnie na kolację. Albane myśli, że ma zebranie w czasie pomiędzy świętami a Nowym Rokiem. Musi być naprawdę głupia, żeby łyknąć takie kłamstwo. Moja srebrna sukienka ma tak przepastny dekolt, że mogłaby przyprawić o zawrót głowy nawet doświadczonego alpinistę.

Nie wiem, dokąd zabierze mnie mój kochanek, i zupełnie mnie to nie obchodzi – o ile będzie to daleko. Nie mogę już znieść nieokrzesanych cudzoziemców i zwolnień lekarskich personelu. W mojej torebce rozlega się melodia *C'est mon homme* Edith Piaf.

– Parkuję w drugiej linii, jesteś gotowa?

– Już idę!

Wkładam futrzany płaszcz. Dla poprawności politycznej udaję, że to futro syntetyczne, ale jest prawdziwe. Przekazuję instrukcje recepcjonistce nocnej. Jakiś klient rozbiera mnie wzrokiem w holu, a kiedy jego żona wysiada z windy, odwraca oczy. Kobieta ma kaczą twarz i koński zad, jest dla niego wprost idealna. Spinam się na samą myśl o ostrym mrozie, który panuje w stolicy. Drętwieję, widząc przed drzwiami dziewczuchę z kolorowymi

włosami.

– Nie może pani tu zostać – mówię niezadowolona.

Dziewczyna ma włosy różowo-zielono-niebieskie i usta umalowane na czarno. Ma na sobie dzinsy, kurtkę i martensy. Jest pełna tego bezczelnego uroku młodości. Na ziemi postawiła torbę ozdobioną czaszką. W torbie dostrzegam monety. Dziewczyna rysuje kredą na chodniku jakiegoś pieprzonego ptaka na gównianym niebieskim tle. Przechodnie rozstępują się, żeby nie deptać po tych bazgrołach.

– Ulica należy do wszystkich – odpowiada.

– Przeszkadza pani ludziom wchodzić do mojego hotelu.

– Sprawiam, że marzą – mówi i rysuje dalej.

– Przeszkadza pani klientom i paskudzi ulicę.

– Potrzebuję pieniędzy, aby zapłacić za studia. Mam nadzieję, że pani klienci są sympatyczniejsi od pani i dadzą się rozczulić.

– Bo zamierza pani nadal tu tkwić?

– Ciepło pani w tym płaszczu z zabitych zwierząt? Dziś jest mroźno. Cudzoziemcy czują się winni, widząc mnie drżącą w *so romantic gay Paris*. Potrzebuję miłych mecenasów.

– Jeżeli pani nie odejdzie, wezwę policję.

– Są zawaleni pracą. Pani klienci też kiedyś byli dziećmi, widzieli *Dziewczynkę z zapalkami*. Płakali, widząc, jak dziewczynka, zanim umarła z zimna, marzyła o ciepłym piecu i o pieczonej gęsi. Jestem jak kwiaciarki w dzień świętego Walentego albo sprzedawcy czekoladek na Wielkanoc. To moja praca. Przeszkadza mi pani.

Ta kretynka zaczyna mnie wkurzać!

– Usunie się pani stąd albo sama panią wyrzucę – mówię tonem pełnym groźby.

Podnosi głowę zaskoczona. Jest ładna, mimo że wygląda jak papuga.

– Niech mnie pani nie dotyka, bo złożę skargę!

Odkąd ojciec Cyriana mnie uprzedził, codziennie czekam na wezwanie adwokatów jego pacjenta. Nie śpię, mam czerwone plamy na szyi, jakiś wyprysk w kąciku ust i zgagę. To, co się dzieje, przelewa czarę goryczy. Wracam do hotelu, widzę bukiet róż, który stoi w holu. Łapię ociekające wodą kwiaty i podaję zaskoczonej recepcjonistce.

– Niech pani znajdzie inny wazon i tam je wstawi.

Po chwili wychodzę z wazonem w ręku. Z nerwów zapomniałam o Cyrianie, który widzi zamieszanie zza przydymionych szyb samochodu. Wysiada i podchodzi do mnie.

– Co się dzieje?

– Przekonam tę pannicę, żeby wykonywała swoją sztukę gdzieś indziej. Zasługuje na prawdziwą galerię. Mój skromny chodnik nie jest na odpowiednio wysokim poziomie.

Szerokim gestem wylewam wodę na kredowy rysunek. Niebieskie tło – niebo czy morze – mąci się, a potem spływa brudnymi potokami. Biały ptak drży przez chwilę, zanim odleci. Dziewczyna nie rusza się, jakby skamieniała. Chwilę potem łapię kawałki kredy i rzucam je na ulicę wprost pod koła autobusu, który je rozjeżdża i miażdży na szosie. Asfalt robi się tęczowy.

– Czytała pani *Mewę* Richarda Bacha, kiedy była pani mała? To był on, prawda? – Cyrian zwraca się do dziewczyny.

– Oszalałaś? Co cię napadło? – pyta mnie po chwili.

– Chcę, żeby się stąd wyniosła!

Dziewczyna otrząsa się i krzyczy:

– Spadaj kretynko?! Ja niby jestem kretynką? Ja? Wielka szefowa z rue Monge każe mi się wynosić?

Zalewa mnie wściekłość z głębin czasu.

Przeszłam koszarne rzeczy, aby dojść tu, gdzie jestem. Harowałam,

puszczałam się, głodziłam, zerwałam z rodziną, zapomniałam o marzeniach. Udaję wielką paryżankę, choć wychowałam się na wsi. Moi rodzice nie mieli jak związać końca z końcem i nie mieli czasu na miłość. Ojciec chciał syna, a mnie przez całe dzieciństwo nazywał „bezużyteczną dziewczuchą”. Teraz stać mnie na to, aby zatrzymać się w rezydencjach, w których oni nie postawią nawet nogi, ale nie mam z kim zjeść śniadania w pikowanym peniuarze od *Relais et Châteaux*. Cyrian wyjeżdża na wakacje z rodziną. Zbliżam się do dziewczyny, która z pewnością nie ma problemów kardiologicznych, zważywszy na jej wiek, i wrzeszczę:

– Wynocha!

– Co się z tobą dzieje? – wtrąca się Cyrian. – Musi pani stąd odejść. Zechce pani przyjąć moje przeprosiny...

Jego ugrzecznione słowa sprawiają, że dostaję szału. Krzyczę do gówniary:

– W pani interesie leży, żeby pani tu nie było, kiedy wrócę, bo jak nie, to wepchnę panią pod autobus!

Cyrian ciągnie mnie do samochodu.

– Szkoda mi pana, jeżeli to pańska żona – mówi do niego dziewczyna. – I mam nadzieję, że nie macie dzieci. Mam nadzieję ze względu na nie.

Odwracam się oszalała z wściekłości. Cyrian popycha mnie w kierunku porsche cayenne i trzaska drzwiami, abym nie mogła jej odpowiedzieć.



Cyrian, na trasie między Paryżem a Levallois

Prowadzę, mam zaciśnięte szczęki. Siedzę obok tej seksownej kobiety, u której tak zawsze ceniłem spokój, a która właśnie przemieniła się w gorgonę. Przecież one by się pobiły, gdybym nie interweniował! Ostatnie słowa

dziewczyny wirują wciąż od nowa po mojej głowie. Dany nie jest moją żoną i to rzeczywiście szczęście. Nie będziemy mieć dzieci i to jest błogosławieństwo. Po raz pierwszy zobaczyłem, jaka jest naprawdę. Ptak Richarda Bacha posłużył mi za impuls. Nie wierzę w przypadki, moja Diastole. Dałaś mi *Mewę* Richarda Bacha na moje dziesiąte urodziny. Uwielbiam opowieść o tym niezwykłym ptaku, którego miłość do latania pchnęła w pogoń za absolutem. Kiedyś byłem tak samo wolny jak ten ptak, potem wylądowałem bardzo paskudnie, tracąc pióra i złudzenia.

Chciałem dać tę książkę Pomme na urodziny. Nadal mam ją w swoim biurze. Zamierzałem poprosić sekretarkę, żeby ją wysłała, a wtedy Systole zadzwonił, żeby powiadomić mnie o twojej śmierci. Płakał – on, który umieścił cię w domu opieki, on, który pozbył się ciebie, tak jak Dany chciała pozbyć się tej dziewczyny mażącej kredą po ulicy.

Nie mam ochoty ani na obiad z nią, ani na seks. Znów chcę być dzieciakiem, który marzył, że wsiądzie na żaglowiec i popłynie drogą wędrownych ptaków. Kiedy Sarah miała dziesięć lat, dałaś jej *Moje drzewko pomarańczowe* José Mauro de Vasconcelosa. Każde miało swoją książkę, każde swoją harmonię. Systole nie czytał, nie miał czasu, cerował serca pacjentów, którzy byli dla niego ważniejsi niż własne dzieci.

– Ta gówniara paskudziła mój chodnik. Dziękuję, że stanąłeś po mojej stronie – mówi Dany.

– To ona była w niebezpieczeństwie, a nie ty. Ty wyglądałaś jak jakaś harpia – odpowiadam, nie spuszczaając oczu z drogi.

Kładzie rękę na moim udzie i zsuwa w kierunku krocza.

– Zabierz rękę, proszę, będziemy mieli wypadek.

– Robisz z igły widły, z handlowego punktu widzenia dziewczyna po prostu przeszkadzała. Zapomnijmy o niej.

Jak można rano pożądać kobiety, a wieczorem uważać, że jest odpychająca?

- Twoja reakcja była nieproporcjonalna.
- Ona była upierdliwa, a rysunek był paskudny.
- Ja uważam, że był piękny.

Myślę o barce w Levallois, gdzie zarezerwowałem stolik na wieczór. Myślę o szkółce żaglowej na Groix – kiedyś byłem tam z Sarah, która powiedziała mi, że jestem złym ojcem w stosunku do obu moich córek, z którymi nie czuję się dobrze, podczas gdy one są czymś, co w życiu wyszło mi najlepiej. Myślę o Systole, który cię zdradził, tak jak ja zdradzam Albane.

- Co to za dąs? – pyta Dany przymilnym tonem.
- Co?
- Dąsasz się?

Ta kobieta zajmuje wszystkie moje myśli od dwóch lat. Prowadziłem swoją firmę, myśląc o jej piersiach, spałem obok żony, myśląc o jej pośladkach. Dany sprawiała, że byłem gotowy i marzyłem. Potrzebowałem tej jej lekkości, żeby nie oszaleć. Sam siebie przywołuję do porządku. Napijemy się czegoś, zjemy, będziemy się pieprzyć, zapominając tę nieprzyjemną scenę.

Nasz stolik stoi nad wodą. Jakiś szczęśliwy człowiek łowi ryby na barce oddalonej nie więcej niż dwieście metrów stąd. Piękne oczy Dany odbijają blask ognia z kominka w „Ô Restaurant”. Jej skóra się złoci, a obcisła srebrna sukienka opina ją perfekcyjnie. Mam szczęście.

- Znasz Jonathana mewę? – pytam, łagodnie kładąc swoją dłoń na jej rękę. Śmieje się gardłowo i podniecająco.
- Nie jestem miłośniczką ptaszysk, tylko srają dookoła – mówi.

Lustro pęka. Jej zbyt obcisła sukienka jest wulgarna, a ona ma opryszczkę w kąciку ust. Jej opalenizna jest sztuczna. Nie lubi ani dzieci, ani rysunków kredą, ani psów, ani ptaków. Kocha tylko i wyłącznie samą siebie.



Jo, Paryż

Nie wiedzieliśmy, kiedy Cyrian znów spotka się z Dany. Z powodu tych wątpliwości twoja chrześnica zdecydowała się czatować przed hotelem co wieczór. Wczoraj to nic nie dało. Czekala niepotrzebnie. Dziś wygrała los na loterii.

– Zadanie wykonane! – krzyczy.

– Jak to się odbyło?

Esther ma przepiękne oczy i łapie wszystko w mgnieniu oka. Była fanką zespołu Tokio Hotel – najpierw chciała być chirurgiem, potem weterynarzem, potem dziennikarką, miała króliki, świnki morskie, psy i koty. Właśnie zdała maturę z wyróżnieniem. Kocha filozofię, socjologię i ludzi.

– Poszłam na całość, a ona oszalała z kretesem!

– Opowiadaj!

– Narysowałam morskiego ptaka na chodniku, wprost naprzeciw jej drzwi. Odwaliło jej. Zrobiłam sobie *hairchalk*, zmywalny makijaż do włosów, i wymalowałam się czarną szminką, wiesz, taki gotyk. Żadnych szans, żeby Cyrian mnie rozpoznał, nie widziałam go już od lat. Ostatnim razem na ślubie Marie-Albéric, miałam wtedy dziesięć lat. Przykro mi, że nie przyjechałam na pogrzeb Lou, kochałam ją.

– Wiem.

Twoja chrześnica włożyła dużo serca w swoją rolę. Udało jej się wygrać casting na to pożegnanie z tobą.

– Twoja Dany trzęsa się z wściekłości. Gdyby jej oczy mogły zabijać, starłaby mnie na proch. Zalała wodą mój rysunek i rzuciła kolorowymi kredami wprost pod autobus. Mnie też by tam wepchnęła, gdyby Cyrian nie

interweniował.

Wyobrażam sobie tę scenę. Ciśnienie krwi Dany podnosi się, puls przyspiesza. Podwzgórze jest pobudzone, ciało migdałkowate, które zajmuje się emocjami (nie ma nic wspólnego z migdałkami w gardle) zaczyna w ułamku sekundy działać na pilocie automatycznym. Krew napływająca do płata czołowego sprawia, że człowiek chce albo uciekać, albo się bić. Nawet ludzie jaskiniowi reagowali w ten sam sposób, to nic nowego, najstarsza sprawa pod słońcem. Potem odzyskuje kontrolę nad sobą.

Reakcja neurologiczna na epizod wściekłości trwa dwie sekundy. Podczas tych dwóch sekund można kogoś zabić, uciec, przewracając pieszego, albo opanować napięcie i zareagować rozsądnie.

– Mam dość Paryża, mam ochotę być na plaży w Cap-Ferret – ciągnie Esther z drugiej strony słuchawki. – Narysowałam ptaka lecącego nad oceanem. Cyrian zapytał, czy czytałam książkę Richarda jakiegoś tam, kiedy byłam mała, ale to mi nic nie mówi.

John? Nie wiem, nic mi to nie przypomina. Moja praca ordynatora pochłaniała mnie całego. Cyrian i Sarah w dzieciństwie czytali książki. Ty się tym zajmowałaś, ufałem ci. Cyrian, kiedy był mały, fascynował się ptakami wędrownymi. Ofiarowałaś mu *Cudowną podróż* – opowieść o małym chłopcu podróżującym na grzbiecie gąsiora. Musiał to sobie przypomnieć, widząc mewę Esther.



27 GRUDNIA

Patrice, Paryż, dzielnica Le Marais

Mieszkaliśmy kiedyś razem, wiem, co Sarah lubi. Popycham nogą drzwi sypialni i oświadczam:

– Śniadanie dla jaśnie pani!

Przeciąga się i siada na łóżku. Jest cudowna z tymi swoimi rozczochranymi włosami. Stawiam tacę na jej kolanach. Oboje jesteśmy nadzy. Dziś rano nie pójdę do biura.

– Herbata, tosty, solone masło i marmolada pomarańczowa.

– Miło z twojej strony, ale od dawna nie piję herbaty.

Miałem nadzieję na nieprzespaną, białą, akrobatyczną i radośnie bezwstydną noc, ale Sarah za dużo wypła i padła jak betka. Musiałem się ograniczyć do patrzenia na nią, kiedy śpi, jest jeszcze bardziej pociągająca niż kiedyś.

– Wybacz mi – mówię.

– Herbatę mogę wybaczyć, reszty nie.

Jest bajeczna, a ja ją porzuciłem!

– Jak się czujesz, Sarah?

– Nieźle, a ty?

– Mówię o twoim zdrowiu, co z nim?

Zaczyna się złośliwie śmiać.

– Nie powiedziałam ci? Ci idioci się pomylili! Najpierw sądzili, że mam jakąś chorobę neurodegeneracyjną. Taką, która rozwija się etapami od ataku do ataku, coś paskudnego, na co nie ma lekarstwa, ale okazało się o wiele

mniej groźne. Mam po prostu sztywną nogę, stąd laska. W dodatku nie zawsze muszę jej używać. Czuję się świetnie.

– Ale kiedy rozmawialiśmy przez telefon, wspomniałaś coś o wózku inwalidzkim?

– Żartowałam.

– Więc nie jesteś chora? Nigdy nie byłaś?

– Nie jestem chora – mówi z uśmiechem.

Z tchórzostwa, ze strachu porzuciłem kobietę, którą kochałem. Zdradziłem ją bez powodu i bez sensu zmarnowaliśmy sobie życie! Pożeram ją wzrokiem.

– Mogłaś mi powiedzieć!

Smaruje tost marmoladą, potem odpowiada:

– Bo wtedy byś wrócił?

– Oczywiście. Możesz mieć dzieci? Tak?

– Przyznaję.

– I nie będziesz sparaliżowana?

– Nie.

Łapię tacę i odstawiam ją na komodę, całuję ją z uczuciem. Odpycha mnie. Sądzę, że to z jej strony jakaś gra, więc znów to robię. Odsuwa się.

– Spadaj, Patrice.

– Żartujesz?

– A czy na to wygląda? Wyjdź z mojego domu.

Macha ręką, jakby chciała się pozbyć natrętnego insekta.

– Żartujesz tak samo jak z tym wózkiem inwalidzkim?

– Nie.

– Ale skoro nie jesteś chora...

– Tak? – rzuca lodowatym tonem. – Mów dalej, na pewno mi się to spodoba.

Jestem zaskoczony.

– Moglibyśmy do siebie wrócić – mówię – stworzyć rodzinę, dać braciszka albo siostrzyczkę Johnowi...

Wybuchą zgryźliwym śmiechem, który sprawia, że nie jest już taka piękna.

– Rzygać mi się chce, jak na ciebie patrzę.

Otwiera szufladę nocnego stolika, chwytą mały pojemnik z gazem obronnym.

– Pieprzowy. Liczę do pięciu. Jeżeli będziesz tu jeszcze, kiedy skończę, będziesz miał dobrze przyprawione oczy.

– Jesteś rąbnięta! – mówię przestraszony.

– Jeden...

– To była pułapka? Chciałaś się zemścić? O to chodzi?

– Dwa...

– Nie! Pozwól mi wytłu...

– Trzy...

W pośpiechu się ubieram – gatki, spodnie, koszula, w panice niechcący obrywam guzik, wtykam skarpetki do kieszeni. Gdzie są moje buty?

– Cztery...

Mimo wszystko chyba się nie ośmieli?

– Pięć.

Wyciąga spray w kierunku mojej twarzy i naciska. Oślepiony rzucam się do drzwi.



Sarah, Paryż, dzielnica Le Marais

– Twój ojciec to skurwysyn! – wrzeszczy Patrice, trzaskając drzwiami.

Odstawiam gaz łzawiący. Nie nacisnęłam, a jednak założę się, że oczy go

pieką. Drzę, ale jestem wolna, zadowolona, że zdemaskowałam tego oślizłego typa, którego brałam za wspaniałego faceta. Co ma tato do tej historii? Bez niego, bez ciebie ja bym nie istniała. Dziękuję za dar życia, mamó, nawet jeżeli moje „nogi się trzęsą”. Mimo że wasz znajomy Thierry nie pomylił się w swojej diagnozie. Zbliżam się do okna. Widzę, jak Patrice wyłania się z podwórza. Jego ciało paruje na mrozie. Ma bose stopy. Tata mówi, że od nóg najłatwiej się zaziębić. Łapię przepiękne, angielskie półbuty szyte ręcznie przez znanego obuwnika i rzucam je w pustkę. Jestem koszmarna w strzałki i w żabki, nie umiem celować, robię to na oślep. Prawy but zatacza koło i ląduje na dachu domu dozorczyńi. Upadek lewego amortyzuje głowa Patrice’a. Rozlega się pisk.

– Jesteś zupełną wariatką! – wrzeszczy, podnosząc go z ziemi. – Gdzie drugi?

Wskazuję na dach. Próbuje podskoczyć, ale to zbyt wysoko. Trzeba wejść przez okienko dachowe od wewnątrz. Wali do drzwi. Może próbować, Josefina i Evaristo są w Portugalii, pojechali tam na święta. Zamykam okno. Uśmiecham się do swojej laski.

– Nie zdradziłam cię – mówię temu kawałkowi rzeźbionego drewna. – My obie zostaniemy razem na śmierć i życie, nie?

Sprawdzam telefon komórkowy, żadnych wieści od Federico. Wklepuję: „Jest pan wolny dziś wieczorem? Moje zebranie już skończone uff”. Potem zastanawiam się, kasuję i piszę od nowa: „Mam ochotę na pana towarzystwo”. Kasuję słowo „towarzystwo”, zostawiam: „Mam ochotę na pana”. Kasuję. Piszę od nowa: „Kiedy pan wyjeżdża?”, kasuję i piszę „1 2 3?”.

Po raz pierwszy od lat czekam na odpowiedź od mężczyzny.



31 GRUDNIA

Jo, wyspa Groix

Dziś rano pocztą przyszedł do mnie prezent. Nasz syn jest wspaniałym facetem, który zawsze dąży prosto do celu, Lou. Nie pisze do mnie ręcznie, dyktuje listy swojej sekretarce. Jego list nie zaczyna się od „Drogi tato”, „Kochany ojciec”, „Stary byku”, „Doktorze”, *Papaoutai Stromae’a* czy „Ty stary pierdoło, wciąż pamiętam, jeszcze się zemścę”. Zaczyna się suchym „Tato”. Nie kończy się miłą formułką czy jakąś grzeczną myślą, jedynie jego podpisem. I to mnie wykańcza.

„Tato. To, co ma zostać podzielone, musi zostać podzielone według artykułu 815 kodeksu cywilnego. Nie życzę sobie posiadać części domu na Groix, którą odziedziczyłem po mamie. Nie zamierzamy tam już wracać. Rozmawiałem o tym z Sarah. Odkupi ją ode mnie. Odpowiednią umowę podpiszemy 3 stycznia u notariusza mamy, który sprawą dziedziczenia już się zajmował i posiada konieczne dokumenty. Zanocujemy wówczas w Lorientie. Otrzymałą sumę przeznaczę na zakup niewielkiego mieszkania, na czas kiedy moje córki będą studiować w Paryżu, mama by się na to zgodziła. Nic mnie nie zobowiązuje, bym Ci o tym mówił, ale tak jest grzeczniej”.

I ten zasmarkany zasraniec to podpisał.

No cóż, kolego, świetna robota. Gdyby stanął przede mną, wiesz, Lou, że na tysiąc procent bym mu przysolił! Mały gnojek, nicpotem, pretensjonalny dupek, mały śmieszny dyrektor, wredny cwaniaczek. Zostawiłaś mi połowę twojej części z pełnym zaufaniem, Lou, nawet przez sekundę nie pomyślałaś, że może tego nie przyjąć. Właśnie to mnie wkurza najbardziej – nie potrzebuje

pieniędzy, ale musi skorzystać. Nie wróci już na wyspę, żeby zająć się Pomme, spalił wszystkie mosty, odciął mi się i dopiekł do żywego. Na dodatek ośmiela się usprawiedliwić ten czyn, twierdząc, że ma twoją pośmiertną zgodę.

Mieszkańcy Groix nazywają „stonką” ludzi, którzy celowo zaśmiecają plaże i ścieżki. Twój syn to taka stonka. Powiedz mi, że mnie zdradziłaś, że ten śmierzdel nie jest z mojej krwi. Błagam cię, ukochana, powiedz, że jest synem listonosza.

Dzwoni moja komórka.

– Co jest? Czekamy na ciebie w Port-Lay. Jest sylwester! – niepokoje się Jean-Philippe z drugiej strony linii.

Jest aktorem, przypomina D’Artagnana i ma niespotykany, niski, urzekający głos. Zawsze się bałem, że się w nim zadurzysz. Stoję zaszokowany z telefonem w dłoni. To już wieczór? Nie zauważyłem, jak minął dzień. Maëlle i Pomme jedzą kolację u znajomych. Dom jest pusty.

– Już otworzyliśmy szampana, brakuje tylko ciebie. Są Gildas i Isabelle, Bertrand, Fred, Jean-Pierre i Monique, Gus i Silvia, Renata, Anne-Marie, wszyscy tu są. Co ty odwalasz?

– Powiedz swojej pięknej Mylâne, że jestem zmęczony i że jestem imbecylem, zostanę w domu...

– Przyjadę do ciebie i wyciągnę cię za kark, jak za dziesięć minut cię tu nie będzie.

Wskakuję pod prysznic, wkładam na siebie to, co mam pod ręką, na ramiona zarzucam żółtego Josepha. Wstyd mi za naszego syna, Lou. Twój ojciec w swoim zamku, w swoich butach do konnej jazdy był osobą godną, prostolinijną. Mój ojciec w swoim rybackim domu, w swoich marynarskich butach też był osobą godną i prostolinijną, to byli dwaj uczciwi ludzie. Cyrian ugodził mnie w to, co mam najcenniejszego, najbardziej żywotnego, najbardziej organicznego wręcz. Ugodził mnie w serce. Gdybyś tu była,

uspokoiłabyś mnie, powiedziałaśbyś, że jest nieszczęśliwy, ja odpowiedziałbym ci, że nie jest już dzieciakiem. Odcina Charlotte od korzeni, pluje na groby swoich przodków.

– Aaaaah, wreszcie! Jo-seph! Jo-seph!

Najważniejsza część naszej grupy, „bandy z siódmego” przyjmuje mnie z otwartymi ramionami. Zawsze jest dobrze u Mylane. W Paryżu, gdzie była przedstawicielką medyczną, przepisy jej laboratorium eksplodowały z powodu jej uśmiechu. Urodziła się tu, tak jak Gus i tak jak ja. Pewnego wieczora na imprezie spotkała Jean-Philippe’a, powiedziała mu, że nie lubi hucznych imprez, bo urodziła się na małej bretońskiej wyspie.

– Na której?

– Groix – powiedziała przekonana, że nigdy o niej nie słyszał.

– Na wyspie Yann-Ber Kalloc’h?

Właśnie grał w spektaklu, w którym recytował poezje barda z Groix, zmarłego w czasie wojny w tysiąc dziewięćset siedemnastym roku. Zadeklamował: „Urodziłem się pośród fal, trzy mile od brzegu, mam tam biały domek, janowiec rośnie przy jego drzwiach, a wrzosowisko pokrywa okolicę”. Mylane się nie oparła.

Jemy, pijemy, ściskamy się, gdy wybija północ. Pary się całują, a przyjaciele ściskają. Anne-Marie patrzy na mnie. Mam nadzieję, że tam, gdzie idzie się potem, życzysz szczęśliwego niebiańskiego roku jej Jacques’owi.



Sarah, lotnisko Orly

Moja taksówka zatrzymuje się przed terminalem. Po raz dwudziesty czytam

SMS, jaki Federico wysłał mi dziś rano.

„Spotkanie na Orly, terminal numer 3. Paszport, torba podróżna i czerwona bielizna. Powrót jutro rano. Proszę zabrać ciepły sweter”.

Kiedy to przeczytałam po raz pierwszy, sądziłam, że to żart. Czytając po raz drugi, uznałam, że to dziwne, za trzecim razem byłam zaintrygowana, za czwartym anulowałam zaproszenie na sylwestra, włożyłam amarantową bieliznę, spakowałam torbę.

Kaszmir na jego ramionach jest w kolorze królewskiego błękitu. Bierze moją torbę z ręki.

– Dokąd jedziemy?

– Niespodzianka!

– Gra pan w *Rendez-vous en terre inconnue*?

– Przepraszam?

– To taki program telewizyjny, którego prezenter zabiera *people* na koniec świata, nie mówiąc im, gdzie jadą.

– Zabieram panią na kolację w kultowe miejsce.

Dużo podróżuję w związku z pracą. Jeżdżę do Wenecji na Mostra, na festiwale do Cannes, Deauville, Berlina, Toronto, Sundance w Utah. To w jednym z tych miast?

– Jak dużo ludzi będzie? Kolacja klasyczna, ostrygi i gęsie wątróbki? Kolacja młodzieżowa, McDo? Burżuazyjna, dania etniczne?

– Zobacz pani – odpowiada tajemniczo.

Pilot życzy nam miłego lotu i anonsuje, że lecimy do Rzymu. Będziemy jeść w Koloseum? Przy fontannie di Trévi, w ruinach historycznego centrum?

– Jutro odleci pani z powrotem do Paryża, ja pojedę pociągiem do Wenecji, mam zebranie na uniwersytecie.

– Pierwszego stycznia?

– Zaczynamy z dobrymi pomysłami, potem wszystko się miesza.

Atmosfera jest radosna, pasażerowie szykują się na święta, prosimy o białe wino.

– Trzeba patrzeć sobie w oczy, kiedy wznosi się toast – mówię. Nie dodaję: „bo inaczej to siedem lat bez seksu”, jak ty, mamó, mówiłaś, ale tak myślę.

Taksówka jedzie w rzymską noc. Patrzą na reklamy, choinki, świecące dekoracje. Nie jest tak zimno jak w Paryżu.

– Pracuje pan całą noc? – zagaduję współczująco do kierowcy.

– Jesteście moimi ostatnimi klientami, zależy mi na samochodzie!

Federico wyjaśnia mi, że tego wieczora o północy Włosi wyrzucają przez okna zużyte przedmioty, aby pozbyć się starego roku. Co roku jest pełno wypadków, wariatów, którzy robią sobie krzywdę, manipulując przy sztucznych ogniach, pełno poniszczonych samochodów, poturbowanych ludzi.

– Dlaczego czerwona bielizna?

– Taka jest tradycja, wszystkie kobiety taką noszą.

Taksówka zatrzymuje się przed budynkiem w kolorze ochry, nad którym góruje napis składający się z dziewięciu liter, które sprawiają, że moje serce zaczyna mocniej bić. Jesteśmy przed Cinecittà, to filmowe miasteczko zbudowane w 1937 roku za Mussoliniego jako konkurencja dla Hollywood. Wszyscy wielcy tu kręcili: Visconti, Rossellini, De Sica, Leone, Bertolucci, Scorsese. Fellini kręcił tu przez dwadzieścia lat w sławnym Teatro 5. Studia są oczywiście zamknięte. Spodziewałam się, że taksówka pojedzie dalej, ale wysiadamy właśnie tutaj. Jakiś młody aktor z pękiem kluczy w ręku wychodzi nam naprzeciw ubrany jak gladiator.

– Nazywam się Rio – mówi. – Witajcie!

– To wnuk Sereny, asystentki Bertolucciego – podpowiada mi Federico.

Idziemy w ciemności, prowadzi nas Rio z latarką. Z podłoża wyłania się gigantyczna głowa z oczami przy samej ziemi. Rozpoznaję jedną z dekoracji do filmu *Casanova*. Potem dochodzimy tam, gdzie wszystko się zaczęło. To

zwykły hangar z dachem z blachy falistej. I z cyfrą pięć wykonaną szablonem w centrum czarnego koła nad drzwiami i napisem „TEATRO NUMER 5” na brudnej ścianie. Rio podaje Federicowi kosz, z którego wystaje szyjka butelki. Wybiera jeden z kluczy i otwiera drzwi, wchodzi zapala światło. Mityczne studio *maestro* jest tylko pustą skorupą, ogromnym lodowatym hangarem o nagiej podłodze oświetlonym przez rzędy świateł ramp. Jego ściany widziały narodziny magii, widziały, jak aktorzy kochali i umierali, widziały, jak pada śnieg, płynie statek, jadą pociągi, klerycy jeżdżą na łyżwach, woda płynie z fontanny di Trévi.

Wszystko to wypłynęło na ekran z marzeń jednego człowieka, aby nas poruszyć, filmy defilują jeden za drugim, szemrząc emocjami: *Wałkonie*, *Słodkie życia*, *Osiem i pół*, *Satyricon*, *Klauni*, *Próba orkiestry*, *Rzym*, *Amarcord*, *Casanova* Felliniego, *Miasto kobiet*, *A statek płynie*, *Ginger i Fred*, *Wywiad*.

Idę z szacunkiem, trzymając rękę zaciśniętą na lasce. Oddycham płytko, otoczona zaaferowanymi, uszminkowanymi zjawami. Mastroianni pozdrawia mnie, uchylając kapelusza. Anita Ekberg głaszcze kotka. Anthony Quinn pomrukuje. Giulietta Masina okrywa się swoim obszernym płaszczem. Pusty hangar zaludnia się statystami, którzy chodzą wzdłuż i wszerz, melorecytując liczby. Kiedy *maestro* zmarł, tłum przez trzy dni defilował, aby się pokłonić przed jego trumną otoczoną przez karabinierów. Wszyscy przyszli. Mastroianni, Scola i ci anonimowi, i statyści, widzowie, aktorzy, producenci, sąsiedzi z Rimini, z Rzymu i z Fregene.

– Raz dwa trzy – mówi Federico, rozkładając koc na ziemi.

– Raz – mówię. To najbardziej szalony sylwester w całym moim życiu.

W Teatro 5 jest zimno, ale mam gruby marynarski sweter. Rio gdzieś zniknął. Federico wyjmuję z koszyka butelkę zimnego prosecco, dwa kieliszki, dwa kawałki tarty, tupperware z jakimś parującym daniem i talerz, którego

zawartość okryta jest folią aluminiową. Zdejmuje ją i opisuje menu:

– *Vitello tonnato*, zimna wołowina z tuńczykiem w sosie z kaparów. Małe roladki z bakłazanów, pulpeciki z cykorią, a jako danie główne *cotechino*, kielbaski z soczewicą.

Śmieję się z tego żartu. Ciekawe, co naprawdę znajduje się w plastikowym pojemniku? Federico zdejmuje pokrywkę. Mówił poważnie. Włosi właśnie tego wieczora jedzą soczewicę, żeby szczęście sprzyjało im przez cały następny rok.

Ustawia na maksimum głośnik swojego telefonu i kładzie go na podłodze. Muzyka Nino Roty zalewa opuszczony hangar.

– Tańczy pani?

Jest zaniepokojony, nie wie, czy mogę. Rocka nie, ale wolne owszem. Upewniam go skinieniem głowy i zaczynam wirować wraz z nim do muzyki z filmu *La Strada*. Ostatnim razem tańczyłam z tatą w hali, w dzień pogrzebu mamy.

– Dziękuję – mówię, przechylając głowę, aby spojrzeć na światła ramp.

Dokładnie o północy wybuchają petardy i fajerwerki, wychodzimy na zewnątrz, idziemy przez Cinecittà, jakbyśmy przemieszczali się w czasie. Idziemy ulicami Broadwayu z *Gangów Nowego Jorku*, przechodzimy przez ruiny starożytnego Rzymu, piętnastowiecznej Florencji. Dekoracje z papier *mâché* rozświetlają się błękitem, czerwienią, kolorem żółtym i zielenią. Podczas gdy finalny bukiet sztucznych ogni rozświetla noc, my całujemy się tak, jak całowaliśmy się w moim samochodzie w Boże Narodzenie.

Poziom w butelce prosecco szybko się obniża. Kolacja jest cudownie pyszna.

– To wszystko dania z restauracji mojej ciotki Mirelli „Al Cantuccio”.

Federico opowiada mi o swojej rodzinie. Jest ich ośmioro dzieci, czterech chłopców i cztery dziewczyny. Jego bliźniaczka i on są najmłodsi w rodzinie.

Uczy na północy kraju w Wenecji, Giulietta wykłada na południu w Pouilles. Jego bracia i siostry też noszą imiona sławnych aktorów. On jest tylko w połowie Włochem, jego matka była Irlandką, zmarła cztery lata temu. Mówię, że ty też odeszłaś, opowiadam o domu na Groix, mówię, że odkupuję część od brata aby dać go bratanicom, bo ja nie będę miała dzieci. Nie chcę ryzykować, że przekażę im chorobę.

– A pani wolałaby nie żyć, Sarah?

– Nie chcę narzucić tego niewinnemu dziecku.

– Niewinny to coś odwrotnego od winny, prawda? Winny popełnił jakiś występki, tak, czyli to występki być chorym?

– To nie w porządku sprawić, że być może ci, których się kocha, będą cierpieli.

– Być może Teatro pięć się zawali, być może wybuchnie pani samolot, mój pociąg się wykolei. Możliwe, że widzimy się po raz ostatni, możliwe też, że spędzimy razem całe życie.

Jestem rozchwiana. Kosztuję tartę z ricottą i gruszkami. Federico wkłada rękę w głąb koszyka i podaje mi kartonik z numerami.

– To jest *la tombola*, to taka mieszanka bingo i lotto. Wszyscy w to grają dzisiejszej nocy.

Co za dziwny sylwester. Moi francuscy kochankowie w garniturach szytych na miarę skubią *foie gras*, popijają rocznikowego szampana i sprawdzają godzinę na szwajcarskich zegarkach. Ja za to siedzę na ziemi w lodowatym hangarze w czerwonej bieliźnie i marynarskim swetrze, popijam wino musujące, grając w bingo, i jem kiełbaski z soczewicą. I to jest najszczęśliwszy sylwester, jaki dotąd przeżyłam.

Jest za zimno, żeby się kochać.

Czy Fellini, Mastroianni, Gassman grali w tombolę? Czy Claudia Cardinale, Gina Lollobrigida albo Sophia Loren wciąż wkładają czerwoną bieliznę

i podają soczewicę 31 grudnia?

– Zamówiłem dla pani taksówkę na piątą rano. Samolot odlatuje o siódmej. Późniejsze były niestety pełne.

Czy stewardesy noszą czerwoną bieliznę pod mundurkami?

– Mam nadzieję, że mój lot obędzie się bez kłopotów i że nie przekierują mnie na Mastornę.

– Może Marcello zostawił tam swoją wiolonczelę?

Federico zna temat, Fellini po triumfie *Osiem i pół* marzył o nakręceniu *Podróży G. Mastorna*, ale filmu nigdy nie udało się nakręcić. Pozostał tylko scenariusz napisany przez Dino Buzzatiego i próbne zdjęcia, na których Mastroianni w rozpiętej koszuli z kapeluszem na głowie i z papierosem w ustach gra na wiolonczeli. Są też zdjęcia dekoracji, czyli wraku samolotu i pociągów wysokich jak budynki.

– Niektóre filmy są przeklęte. Marcel Carné kręcił na Belle-Île film, który nigdy nie zobaczył światła dziennego: *La Fleur de l'âge*. Grali w nim: Arletty, Anouk Aimée, Martine Carol, Paul Meurisse i Serge Reggiani – mówię.

– Carné zmontował z niego dwadzieścia pięć minut, ale zaginęły szpule.

– Wszystko pan wie! – mówię z podziwem.

– Zajmuję się klubem kinowym na uniwersytecie. Pasja jest zaraźliwa.

Ty, mamó, mówiłaś, że szczęście jest zaraźliwe.



1 STYCZNIA

Pomme, wyspa Groix

Sylwestra spędziliśmy ze znajomymi mamy i ich rodzinami. Tańczyliśmy i śpiewaliśmy, było świetnie. Nalewam mleka na moje płatki śniadaniowe. Turyści myślą, że Bretończycy ciągle tylko jedzą *galette*, czyli placki, i że Bretonki rodzą się w swoich wysokich rurowatych czepcach. Jo przyłącza się do mnie w kuchni, ma na ramionach fioletowego Josepha.

– Idziesz na plażę słuchać w radio koncertu noworocznego z Wiednia, moja Tarto Jabłkowa?

Przytakuję. Zawsze wkładaliście ciepłe płaszcze i szliście tam oboje, Lou. Telefon dzwoni. Jo się rozluźnia.

– Szczęśliwego Nowego roku, Sarah!

– ...

– Byłaś w Rzymie? Cudownie!

– ...

– Czekamy na ciebie z radością, oczywiście!

– ...

– Dla Pomme? To bardzo hojny gest z twojej strony.

– ...

– Twój brat zatrzyma się w Lorientu, tak będzie rozsądniej. Trudno byłoby mi się powstrzymać i nie wpieprzyć tego śmierdziela do wody!

Ciocia Sarah przyjedzie, jestem zachwycona, co to znaczy hojny? Dlaczego tata nie będzie spał w domu? Co to znaczy śmierdziel?



Charlotte, Le Vésinet

Słyszałam, jak wczoraj ze sobą rozmawiali. Wydrukowali rezerwację hotelu w Lorientu. Tata wyszedł na swój poranny jogging. Mama jest w kąpieli, trochę jej to zajmie. Włączam komputer. Podłączam się do sieci. Klikam na „stan twojej rezerwacji”.

Zarezerwowali pokój Deluxe z dwoma łózkami i pokój dziecienny tuż obok. Będzie telewizor z płaskim ekranem, Internet, oddzielny salonik, sejf.

Akceptują też psy. Pokój dla niepalących, zwroty akceptowane, anulowanie bezpłatne. Są też śniadania.

Wystarczy mi jeden klik, żeby anulować rezerwację. Wysyłają mi potwierdzenie automatyczne. Wrzucam do wirtualnego kosza, potem opróżniam kosz w bezpieczny sposób.

Jest *good*, nie mamy już pokoju. Nie pozostawiłam żadnego śladu.



2 STYCZNIA

Jo, wyspa Groix

Kiedy byliśmy jak para zakochanych tylko we dwoje, lubiłem się z tobą napić, Lou, lubiłem wznosić toast za promień słońca albo za tęczę na niebie po deszczu, z powodu jakiejś radosnej nowiny albo smutnej wiadomości, w czasie jakiejś wizyty albo spotkania rodzinnego. Składałem zamówienie w klubie amatorów dobrego wina, stworzonym przez naszych przyjaciół Georges'a i Geneviève. Niektórzy wdowcy kupują małe butelki, aby pić mniej. Mój smutek jest totalny, brakuje mi Ciebie przez cały czas, to daje mi prawo do picia za dwoje, ale w miarę rozsądnie. Lekcja zadziałała.

Dziś organizowana jest kąpiel. Gdybyś tu była, taplilibyśmy się razem. Ludzie z Groix nigdy się nie nudzą, oni tworzą wydarzenia i stowarzyszenia, malują, czyszczą fontanny, ratują czarne pszczoły, leczą i sterylizują bezdomne koty, śpiewają, grają, ratują „Biche” – ostatni żaglowiec do połowu tuńczyka albo „Corbeau des mers” – ostatni słup poławiający langusty, symbol oporu bretońskich rybaków. Pracowaliśmy jako wolontariusze w Fifig – na Międzynarodowym Festiwalu Filmów Wyspiarskich w Groix – który odbywa się w sierpniu. Teraz jestem sam jak jakiś dupek przewodniczącym, skarbnikiem i jedynym członkiem stowarzyszenia, Lou.

Groix jest znane w Morbihan z zawodów pływania z wiosłem w Port-Lay, przepływania Courreaux wpław z Port-Tudy i ze styczniowej kąpeli na plaży VVF. Jean-Louis z restauracji „La Cinquante” i jego kumpel wdrożyli tę ideę w życie po tym, jak bez szwanku wyszli z noworocznej kąpeli. Wybrali osłoniętą od wiatru plażę i drugi dzień roku, kiedy organizmy wypłukały już

sylwestrowy alkohol. Spotkanie umówione jest na dwunastą w południe. Jeżeli chmury się rozproszą, pójdę dodać odwagi kolegom, jeśli nie, zostaną przy kominku.

O godzinie 11.45 pokazuje się słońce. Wychodzi Pomme w kostiumie i z ręcznikiem w ręku.

– Kąpiemy się, Jo?

– Nie w tym roku.

Kurczy się zawiedziona.

– No tak! Masz rację, w twoim wieku trzeba na siebie uważać.

– Uważasz mnie za starucha? – pytam obrażony.

– Wciąż powtarzasz, że nie masz już dwudziestu lat.

– Ale też nie mam osiemdziesięciu.

Łapię kąpielówki i ręcznik, biorę klucze do skutera, podaję Pomme kask. Za kogo uważa mnie ta smarkula?

Na plaży jest dużo ludzi. Odnajduję mistrzów pływackich – ratowników o trójkątnych torsach, wąskiej talii i mięśniach brzucha jak tabliczki czekolady. Dzieciaki biegają, psy szaleją, nastolatki palą, rozżarzone czubki papierosów syczą na mrozie. Belgijska turystka Françoise de Mol kąpała się tu codziennie rano od Bożego Narodzenia, nieletni muszą być pod opieką osoby dorosłej. Jean-Louis i Claire przynieśli grzane wino. Ludzie się rozbierają. Pomme drży w swoim kostiumie bikini. Żeby się ogrzać, ruszamy się, co przyspiesza rytm serca.

– Czy istnieją chłopcy syreny, Jo?

– Ja jestem mężczyzną rybą, trytonem. Trytonem seniorem.

Nawet jeżeli się utopię, ty nie będziesz wdową. Ktoś daje sygnał. Biegnę do oceanu z Pomme za rękę. Zanurzam się aż po szyję, nie puszczając jej. Zimno zapiera mi dech w piersiach.

– Jak już człowiek wejdzie, jest dobrze! – krzyczą przemrożeni do szpiku

kości uczestnicy kąpieli.

– Stańcie w rzędku do zdjęcia!

Trzymamy się za ramiona, szczękając zębami. Bez ciebie czuję się pusty, ale to marznięcie w grupie mnie rozgrzewa. Brigitte z „Ouest-France” i Bernard z „Le Télégramme” strzelają fotki. Gorące wino parzy przełyk. Pomme moczy tylko usta, potem nacieram ją swoim ręcznikiem, żeby ją rozgrzać. Powinnaś tu być, wyszczotkowałabyś mnie jak ochwaczonego, drżącego konia, a ja szeptałbym ci do ucha sprośne czułości. Ubieram się, drżąc z zimna, wkładam na ramiona błękitnego Josepha, mam gęsią skórę i mokre włosy. Słyszę twój głos mruczący: „Uważaj, bo jeszcze złapiesz paskudne przeziębienie”.

Muszę mieć jakieś plany, inaczej wszystko na nic.

– Kupię statek, nazwę go „Lou de mer”¹ i złośliwcy pomyślą, że jestem ortograficznym zerem.

Ta kąpiel trochę odświeżyła mój umysł. *Loup de mer*, *loup* z „p” na końcu to wilk morski, a po bretońsku mówi się *bleimor*. To był pseudonim barda Yann-Ber Kalloc’h. Muszę się odnaleźć, muszę znów stać się żywy. Pozbyć się tego, co mi ciąży. Nie lubię ani golfa, ani polowania, to były akcesoria mojego przebrania, kiedy byłem jeszcze kardiologiem. Podaruję swoją strzelbę jednemu z kolegów, który jest myśliwym. Odziedziczyłem *verney-carron* po moim ojcu, ale już nie będę się nią posługiwał. Ostatnim razem, kiedy jej dotknąłem, zrobiłem to po to, żeby wyrwać ci ją z ręki.

1. *Loup de mer* to wilk morski, natomiast *Lou* pisane bez „p” to imię żony, choć w wymowie nie słychać różnicy. [\[wróć\]](#)



3 STYCZNIA

Cyrian, Lorient

Wchodzę do hotelu, Hopla wbiega zaraz za mną.

– Zarezerwowałem dwa pokoje na dzisiejszą noc.

Młoda recepcjonistka ma spojrzenie królika, który dostał się w snop światła samochodu.

– To, znaczy... emmm... Wszystko mamy zajęte.

– Niemożliwe.

Podaję jej rezerwację. Dziewczyna klika na swoim komputerze.

– Pańska rezerwacja została anulowana.

Obraca ekran, żebym mógł sam zobaczyć, że mówi prawdę.

– To musi być pomyłka.

– Wysłaliśmy potwierdzenie anulacji.

– Nie dostałem niczego takiego. Jestem regularnym klientem waszych hoteli, proszę to jakoś załatwić.

– Nie mamy żadnego wolnego pokoju.

– To może znajdzie mi pani dwa pokoje w innym hotelu?

– Wiele hoteli jest zamkniętych po świętach. Poza tym jest jakiś event związany ze statkami podwodnymi.

Taksówka staje przed hotelem. Wysiada z niej moja siostra, która przyплыnęła statkiem, aby się ze mną spotkać. Wychodzę.

– Spieprzyli coś z naszą rezerwacją, jesteśmy na ulicy.

– Przyjedźcie do domu, jest dużo miejsca.

– Mowy nie ma!

– Tata nie zamierza cię zjeść!

– Uważasz, że się go boję?!

Wyspa być może nie jest takim najgorszym wyjściem. Przy okazji pójdę na cmentarz do Diastole.

– Zatrzymamy się w hotelu „La Marine”.

– Jest zamknięty na zimę. Pozostał tylko dom. Nadal nie czujesz żalu, że mi go sprzedajesz?

– Wręcz przeciwnie, czuję ulgę.

Wsiadamy do samochodu razem z psem i jedziemy do kancelarii notariusza.

– Kiedyś Groix była naszym rajem. Co się zmieniło? – pyta Sarah.

– Zmarła mama. Wyspa jest jej grobem. Systole ją zabił. Widzę ją wszędzie, nie sprzedaję swojej części jakiemuś robaczywemu developerowi, ale tobie.

– Dam tę część Pomme i z góry zapłacę podatek spadkowy.

– Zrobisz, co zechcesz. Jak tam tata?

– Złamałeś mu serce.

– Jest niezniszczalny. Wygląda miło jak wielki rozczulający niedźwiadek, ale niedźwiedź jest najokrutniejszym zwierzęciem na naszej planecie, pożarłby na podwieczorek całą klasę dzieciaków ściskających w drżących rączkach pluszowe misiaczki.

– Jak tam twoja przyjaciółka Dany, która tak kocha dzieci i pieski?

– Robimy sobie przerwę.

– Od kogo wyszła ta inicjatywa?

– Ode mnie. Wrzeszczała na jakąś młodą artystkę, która przed jej hotelem rysowała kredą po chodniku, to otworzyło mi oczy.

Albane dała moją starą marynarkę Barbour jakiemuś kłoszardowi. Nie uwierzyłem ani przez sekundę w psa, który na niego nasikał, ale wolę jej hojność niż chamstwo Dany.

Prędzej bym padł, niż się do tego przyznał, ale właściwie jestem

szczęśliwy, że po raz ostatni spędzę noc w domu mojego dzieciństwa.

Będę oczywiście interesował się Groix dzięki blogowi Anity, na którym ludzie z Groix kontaktują się ze sobą, aby trochę pooddychać powietrzem z wyspy, ale to już będzie co innego. Będę byłym wyspiarzem, wygnańcem.



Pomme, wyspa Groix

Czekam w porcie. Z daleka zauważam biały statek płynący po szarym morzu. Składam życzenia noworoczne fryzjerowi, który w swoim zakładzie prowadzi także butik ze starociami. Ma na imię tak jak mój dziadek i kończy zdania zawsze słowem *kenavo* ¹.

Statek dopływa do brzegu. Marie-Aimée schodzi pierwsza ze swoim wnukiem Côme. Charlotte idzie spokojnie obok swojej mamy, ale jej oczy są rozbiegane. Czy Albane wybaczyła mi historię z rowerem? Tata i ciocia Sarah pójdą do notariusza dziś po południu. Charlotte zrobiła *forcing*, żeby się ze mną zobaczyć. Składamy sobie życzenia szczęśliwego Nowego Roku. Jo jej także dał bransoletkę, ale w innym kolorze. Jestem szczęśliwa, że mogę się spotkać z siostrą. Albane wita się ze mną półgębkiem, moje ramię drętwieje na sam jej widok.

Jo przyjmuje nas w kuchni. Jest dziś jakiś dziwny. Biegnę po mój prezent dla Charlotte. Rozrywa papier i wyjmuję pomarańczowy polar dobrany do jej marchewkowych włosów.

– Możesz go zostawić tutaj. Za każdym razem jak przyjedziesz, będziesz go używać, żeby nie niszczyć swoich ubrań – mówię.

– Jest śliczny, ma piękny kaptur! Zabiorę go i pójdę w nim do szkoły!

– Wątpię, żeby w twojej szkole spodobał się kaptur i ten materiał – mówi

oschle Albane.

Czy ona mnie nienawidzi dlatego, że jestem córką taty, czy dlatego, że jestem córką mamy? Mama mówi, że nie mamy obowiązku kochać ludzi, ale musimy być wobec nich lojalni.

– Popatrz na mój! – woła Charlotte rozgorączkowana.

Zdejmuję taśmę klejącą, składam starannie usiany gwiazdkami papier, myśląc o drzewach, które poraniono, by go wyprodukować. To jest iPad o wiele droższy niż mój polar.

– Cudowny! Dziękuję!

– Chciałam ci kupić telefon komórkowy, ale mama mówi, że twoja mama musiałaby płacić za abonament, a ona jest biedna – ciągnie niewinnie Charlotte.

Jo marszczy brwi. Albane jest zażenowana. Patrzę jej prosto w oczy, korzystając z przewagi.

– Moja mama pracuje i zarabia na nasze życie, nic nikomu nie zawdzięcza. Mogę iść na spacer z Charlotte? Piechotą, obiecuję. Wrócimy wcześniej i będziemy przechodzić tylko po kładkach!

Jo uśmiecha się, słysząc ten żart dla wtajemniczonych. Kiedy byłam mała, tak właśnie mówiono, żebym przechodziła tylko po kładkach dla pieszych. Teraz nie ma już kładek, są tylko zebry, białe pasy pomalowane na asfalcie.

– Wolałabym, żebyście się spokojnie pobawiły tutaj – mówi Albane.

– Nie ma żadnego ryzyka – wtrąca się Jo. – Ich ojciec tu dorastał i nic nigdy mu się nie stało. Jeżeli okażesz im zaufanie, będą go godne.

Albane patrzy na mnie groźnym spojrzeniem.

– Powierzam ci Charlotte.

Potakuję, wciągam niebieski polar, ona jest w swoim i wychodzimy.

Po raz drugi jestem sama z siostrą. To tak jakbym miała nową przyjaciółkę. Może pewnego dnia będziemy wielką ponownie spójną rodziną?

– Mieliśmy zostać na noc w Loriencie, ale anulowałam rezerwację taty w hotelu – wyznaje Charlotte, chichocząc. – Mam nadzieję, że dziś będziemy spać na Groix. Weźmiemy twój rower?

– Obiecałam twojej mamie, że pójdziemy piechotą.

– I co z tego? Niczego się nie dowie!

– Dałam słowo. Dlaczego ostatnio była taka wściekła? Rozmawialiście o tym?

– My nie rozmawiamy. Ona wydaje rozkazy, a ja je wykonuję, żeby mieć święty spokój.

Widziała już cypel des Chats i Pen-Men, może pójdziemy do Port-Saint-Nicolas, na cypel Grognon, do Trou de la Sécu i do Trou de l'Enfer?

– Jest miejsce, które nazywa się Trou de la Sécu? ²

– Nieoficjalnie. Jo nadał tę nazwę dzielnicy nad portem, bo tam wielu jego kolegów lekarzy pobudowało sobie domy.

– Jest ktoś marudny w Grognon? ³ Kto mieszka w Trou de l'Enfer? ⁴ Diabeł?

– Legenda mówi, że kiedyś mieszkał tam potwornie wielki tryton o ludzkiej twarzy, który krzyczał po nocach, chcąc, żeby statki rozbijały się o skały. Był rudy tak jak ty, ale miał ciało pokryte łuskami, a plecy porośnięte omułkami i czaszołkami. Pożerał tony ryb i bekał w trakcie sjesty. Kiedy otwierał usta, mewy czyściły mu zęby. Miał płetwy zamiast nóg, a zamiast paznokci muszle suchotek. Potrafił naśladować głosy kapitanów tylko po to, by zatapiać statki.

– Widziałaś go?

Czego oni ich uczą w tym Paryżu?!

– To przecież przesąd, Charlotte. Prawda jest taka, że dawno temu po ślubie żądano od pana młodego, żeby udowodnił swoją wartość, skacząc przez uskok Trou de l'Enfer. Kiedy mu się nie udawało, młoda żona zostawała wdową w dzień ślubu. Wybór był taki: można było poślubić tchórza albo oplakiwać

odważnego przez całe dalsze życie.

– Myślisz, że tata skoczył?

– Oni pobrali się w Normandii.

– Byłaś tam?

Jest najlepsza w klasie ze wszystkich przedmiotów, ale stawia strasznie debilne pytania.

– Miałam osiem miesięcy, a mama z pewnością nie została zaproszona. Chcesz zobaczyć Trou de l'Enfer?

Na Groix wszędzie jest blisko. Wyspa ma osiem kilometrów na cztery, piesi wycieczkowicze są w stanie obejść ją w ciągu jednego dnia, choć muszą wyjść wcześniej rano.

– Idziemy po odpowiedniej stronie ulicy, tak żeby widzieć nadjeżdżające samochody – ustanawiam zasady. – Nie robisz z siebie idiotki, zostawisz ptaki w spokoju i nie będziesz skakać przez uskok.

– Przysięgam. – Wyciąga rękę horyzontalnie.

Tablica jest dwujęzyczna bretońsko-francuska: Beg an Ifern – Cypel Piekielny, Kumun Enez-Groe – gmina wyspy Groix. Widok z samej góry urwiska jest wspaniały, piana z morskich fal fruwa na wietrze, mewy szybują, ale Charlotte jest zawiedziona. Na powitanie nie wychodzi żaden diabeł z kozią bródką, czerwonym ciałem, rozwidlonym ogonem i ostrymi kopytami. Dziura to tylko długi uskok w urwisku ze śliczną ścieżką schodzącą aż do morza. To paskudna pułapka, która wielu ludziom odebrała już życie. Ostatniego lata doszło tu do wielu wypadków. Ojcowie rodzin albo młodzi mężczyźni u szczytu formy nie uszanowali tablicy zakazującej wchodzenia na tę ścieżkę. Uważali się za silniejszych od oceanu, ześliznęli się, a morze roztrzaskało ich o skały. Widziałam ich zdjęcia w gazetach, widziałam helikopter krążący nad urwiskiem, strażaków, nurków, kuter ratowniczy.

– To nie może być takie niebezpieczne, inaczej ścieżki by po prostu nie

było.

Błysk w oku mojej siostry zaczyna mnie niepokoić.

– Obiecałaś mi, że nie zrobisz z siebie idiotki.

– Obiecałam, że nie będę skakać i że zostawię ptaki w spokoju – mówi, zbliżając się do urwiska. – Nie zbliżę się do fal, nie jestem wariatką, ale nic nie ryzykuję, jeżeli trochę zejdem, żeby popatrzeć na okolicę.

– Ścieżka jest zdradliwa, można się pośliznąć i wylądować wprost na skałach. Ludzie, o których ci mówiłam, nie żyją, Charlotte!

Jak mam jej przeszkodzić, skoro się uparła tam pójść?

– Wrócimy tu razem z tatą, on ci powie, jakie to niebezpieczne.

– Wiesz, dlaczego pojechał do Lorientu razem z ciocią Sarah?

– Chodzi o spadek po Lou.

Przyjmuje arogancką minę wszystkowiedzącej panienci.

– Tata nigdy już nie postawi nogi na Groix. Sprzedaje swoją część domu cioci Sarah.

Emocje mnie paraliżują. Charlotte dotyka swojego nowego polaru.

– Dlatego nie mogę zostawić tu twojego prezentu. Nie będzie następnego razu.

– Ale przecież na cmentarzu jest Lou! I jest Jo! I ja!

– Słyszałam, jak rozmawiali o tym z mamą. On zamówi msze za babcię, z dziadkiem jest pokłócony, a ciebie zaproszą w tym roku na południe.

W głowie mi się kręci. Tata chce mnie gdzieś zabrać? Zgoda. Z daleka od mamy? Nie! Na południe Francji, dlaczego nie? Z dala od wyspy? Nie. Z Charlotte tak, z Albane nie! Nie mogę zostawić Jo ani mamy. Jeżeli odmówię, tata pomyśli, że go nie kocham. Jeżeli się zgodzę, mama pomyśli, że jej już nie kocham.

– Nosisz bransoletkę od Jo – mówię, wskazując metalową plakietkę. – Zdradziłabyś Groix?

– Jestem małą dziewczynką, o niczym nie decyduję. Mama kazała mi ją dziś nałożyć z grzeczności wobec dziadka. Zdejmie mi ją, jak tylko wrócimy do Vésinet.

– Dlaczego?

– Bo jest zazdrosna o ciebie, o twoją mamę, o dziadka. Bo ona chce mieć nas, mnie i tatę, tylko dla siebie. Już nigdy nie będę miała okazji zobaczyć, dokąd prowadzi ta ścieżka, Pomme. Teraz albo nigdy.

Podchodzi do urwiska, łapię ją za ramię, odpycha mnie z siłą, czepiam się jej, popycha mnie, chwieję się, ale chwilę potem odzyskuję równowagę. Spadniemy obie i mama już nie będzie miała nikogo, żeby się nią zajął.

– To tylko ścieżka, Pomme, przesadzasz. Jeżeli wszyscy małżonkowie z tamtych czasów zginęliby, nie byłoby już mieszkańców na wyspie – mówi ze śmiechem.

– Oni skakali, nie schodzili! – Panikuję, nie umiem nad nią zapanować.

– A może tam jest skarb, jak na obu końcach tęczy – mówi. – Twoja biedna mama mogłaby zapłacić abonament za twój telefon komórkowy. Znowu stała się Janusem o dwóch twarzach.

– Są tu inne wspaniałe miejsca, które chcę ci pokazać. Chodź!

Stoi na brzegu przepaści.

– Mam tajemnicę. Nikt jej nie zna – szepczę przerażona.

– Tak. Słucham cię.

– Zdradzę ci ją, jeśli obiecasz, że tam nie zejdziesz.

Zawiodę twoje zaufanie, żeby uratować życie twojej wnuczki, Lou. Ta gra jest warta świeczki.

– Zgoda – mówi Charlotte, odsuwając się.

Jestem tak zbulwersowana, że drżą mi kolana. Siadam na ziemi. Ona siada obok mnie.

– O mało nie zginęłaś.

– Nie boję się śmierci.

– Nie kochasz życia?

– Nie za bardzo. To jaki masz sekret?

– Dotyczy Lou i tego dnia, kiedy się poparzyliśmy.

– Kot przewrócił kafeterkę. Nie ma w tym niczego pasjonującego.

– Skłamałam – mówię ze ściśniętym gardłem. – To nie był kot.

Moja siostra sądzi, że zgadła.

– To była twoja wina? Babcia poparzyła się przez ciebie? Jo by cię nie kochał, gdyby to wiedział.

Potrząsam głową.

– Jo będzie mnie kochał zawsze, cokolwiek bym zrobiła. To nie ja przewróciłam kafeterkę.

– No więc kto to zrobił??

– To Lou – odpowiadam, schylając głowę. – Straciła orientację. Nie poznała mnie i się przestraszyła. Zaczęła machać rękami, żeby mnie odepchnąć, i wtedy przewróciła się kafeterka.

– To prawda?

Kiwam głową zawstydzona. Jestem zdrajczynią, zdradziłam sekret, ale ty już nie żyjesz, a Charlotte tak. To był dobry wybór. Wstaję, moja siostra nie jest już w niebezpieczeństwie, Albane odzyska ją całą i zdrową.

– Chodźmy na cypel Grognon – proponuję.

Charlotte też wstaje, ale znów zbliża się do urwiska.

– Dziękuję za twoje zaufanie, zachowam twój sekret i zejść tylko do połowy drogi.

Zamurowało mnie.

– Obiecałaś mi! Uwierzyłam ci, złamałam dane słowo...

– Bo jesteś naiwna – odpowiada, wybuchając śmiechem. – Mam dosyć bycia małą, grzeczną, posłuszną mamusi dziewczynką. Od teraz będę robić, co

tylko zechcę.

Stawia nogę na ścieżce.

– Widzisz, nie zapada się, teren całkiem dobrze się trzyma.

– Poślizniesz się. A ja nie będę mogła nic zrobić. Tak jak z Lou, kiedy chciała mnie odepchnąć.

– Za chwilę zawołam do ciebie z dołu. Gdyby to było niebezpieczne, ktoś postawiłby tu barierkę albo zawiesił łańcuch.

– Nie mogą zabezpieczyć całego urwiska. Tablica ci nie wystarczy?

– To tylko po to, żeby zniechęcić ludzi.

– I co ja powiem tacie?

Patrzy na mnie wyzywająco.

– Że jestem najodważniejsza. Ty jesteś starsza, ale ja jestem bardziej dzielna.

Rusza ścieżką.

Nie chcę na to patrzeć. Uprzedziłam ją, wie, czym ryzykuje. Jej matka mnie zabije. Tata będzie kochał mnie jeszcze mniej. Brzydka myśl zakrada się do mojej głowy – tata będzie miał już tylko jedną córkę. Poznamy się lepiej. Będzie wracał na wyspę do mnie. Będziemy razem grać na saksofonie na urwisku. Będziemy się zachowywać tak, jakby Charlotte nigdy nie było. Potrząsam głową. Odpycham tę pokusę. Nie pozwalam sobie na takie myśli. Tata ma dwie córki.

– Uu, ja nadal żyję, a tu jest przepięknie!

Charlotte zniknęła w dole urwiska, jej głos dochodzi do mnie przygłuszony. Odwracam się i zaczynam odchodzić. Ja też umiem kłamać. Powiem Albane, że poszła sobie ode mnie, że nie wiem, gdzie jest. Morze nie wyrzuci jej ciała, nim nie minie dziewięć dni. Nie ma świadków. Tata o niczym się nie dowie. Nie jestem niańką swojej siostry. Nie umrę razem z nią. Ja kocham życie.

– Hej, chodź tu do mnie! Tu jest cudownie – dźwięczy jej głos.

– Wracam do miasteczka.

– Hej, nie odchódź! – Jest wyraźnie zaniepokojona.

Powinnam o tym wcześniej pomyśleć – jedynym sposobem, żeby ją odwieść od tego pomysłu, było po prostu ją zostawić. Bez publiczności prowokacja nie ma sensu, z balonika uszło powietrze. Uśmiecham się uspokojona. Nigdy nie będę jedyną córką taty, zależy mi na siostrze. Tata odrobinę mnie kocha, Albane wcale, ale nie można podobać się wszystkim. Mam mamę, mam Jo. Zawsze będę miała mamę i Jo, i ciebie, Lou, nawet jeżeli cię nie widzę.

– Wracam, zaczekaj!

– Zwisa mi to! Na razie!

Charlotte nie spadła, wrócimy razem, wszystko skończyło się dobrze. Widzę kawałek głowy siostry, który wyłania się ze ścieżki, potem jej zaczerwienioną twarz. Dyszy, bo wchodziła szybko.

– Już jestem, Po...

Jej noga ześlizguje się. Charlotte bije rękoma powietrze, usiłuje się czegoś złapać, wydaje długi krzyk, który zlewa się z trzaskiem łamanych gałęzi.

Wrzeszczę jeszcze:

– Charlooooootte!

Po nie mających końca sekundach ciszy odpowiada urywanym głosem.

– Po... mmme.

– Żyjesz, dzięki! Och, dzięki!

Moja wdzięczność odnosi się do Posejdona, Neptuna i wszystkich bogów morza, którzy nie chcieli jej zabrać.

– Nie jestem... w wodzie.

– Na szczęście! Zrobiłaś sobie krzywdę?

– Jestem... niedaleko brzegu. Tu jest ślisko... miałaś rację...

Nie mogę zejść jej na pomoc. Jeżeli się pośliznę, nikt nie będzie wiedział, gdzie jesteśmy. Kładę się na ziemi i pochylam się. Moja głowa wystaje zza

krawędzi. Zauważam ją. Jest pomarańczową plamą na zielonej plamie. Upadła płasko na krzewy, które zamortyzowały upadek, ma trudności z odwróceniem się na plecy.

Żołądek podchodzi mi do gardła, wymiotuję żółcią. Moja siostra nie zapięła polara, złamana gałąź przebiła T-shirt i wbiła się w sam środek jej klatki piersiowej.

– Jakaś ga... łąź... wbiła się we mnie.

Nigdy nie oglądałam horrorów, ale to musi być coś takiego. Obraz mi się rozmywa, ale biorę się w garść. To nie jest moment na słabość.

– Nie ruszaj się! Idę po pomoc!

Zbliża rękę do gałęzi.

– Nie zosta... wiaj... mnie, ja to... wyjm...

– Nie! Nie ruszaj tego!

Przypominam sobie historię Tachi i Jo w Bhutanie. Charlotte musi mi zaufać. Usiłuję udawać spokojną, mimo że mój głos drży. Pot zalewa mi oczy.

– To bardzo, bardzo ważne, Charlotte. W żadnym wypadku nie wyjmuj tej gałęzi!

– Nie będę... z tym... leżeć całe życie. Nie chcę... żeby rosło we mnie drzewo!

– Znasz historię Jo i małego chłopca z Bhutanu?

– Nie...

– Dostał strzałę w pierś, ona zatykała dziurę. Jego matka tego nie wiedziała i wyjęła ją. Jo włożył rękę na ranę i zatrzymał upływ krwi palcem. Zabrał go do szpitala i chirurg go zoperował. Chłopiec wyzdrowiał. Píše do Jo co roku.

– To... idź... po dziadka.

Zrozumiała.

– Wracam najszybciej jak się da. Jo cię uratuje. Nie dotykaj tej gałęzi!

– A jak umrę... to zobaczę babcię?

Nie wolno mi płakać, więc krzyczę:

– Jeżeli umrzesz, będziesz musiała przez cały czas jeść to, co ona ci ugotuje, więc trzymaj się!

Ruszam w drogę, usiłując przypomnieć sobie rysunki mojego dziadka. Po obu stronach są płuca, jest kość podobna do krawata, wciąż zapominam jej nazwę. I jest serce.



Jo, wyspa Groix

Jestem sam. Na ramionach mam Josepha w kolorze ochry. Moje dzieci pojechały do notariusza, tego z krokodylem na ubraniu. Maëlle jest w pracy. Albane poszła na zakupy do miasteczka, starannie omijając Księgarnię główną, żeby się na nią nie natknąć. Słyszę zgrzyt hamulców na ulicy, biały samochód xsara picasso zatrzymuje się przed moim domem, trzaskają drzwi. Spoglądam przez okno.

Véronique, córka Lucette, tej od *tchumpôt*, wchodzi do ogrodu z przerażoną miną. Mogę sobie być na emeryturze, ale mój lekarski refleks nie zaniknął. Kto jest chory? Jej matka? Jej brat?

– Pomme... – mówi zdyszana. – Trou de l’Enfer...

Serce mi się zatrzymuje.

– Spadła?

– Wezwałam strażaków, ale nie miałam twojego numeru – ciągnie Véronique. – Charlotte spadła, ma gałąź w klatce piersiowej! Pomme kazała ci powiedzieć: „Jak Tachi”.

Wybacz mi, ukochana moja Lou, bo przez chwilę dziękowałem Bogu, że to Charlotte, a nie Pomme. Wstyd mi. Gdyby umarła Pomme, zgasłyby wszystkie

gwiazdy, bez niej bym się poddał. Powinienem równie mocno kochać obie moje wnuczki, ale nie jestem świętym. Jedną widzę codziennie, dorasta na moich oczach, drugiej prawie nie znam. Nie miej do mnie żalu, Lou. Uratuję Charlotte.

– Lecimy – mówię.

Véronique siada za kierownicą. Pośród wstrząsów udaje mi się wysłać SMS do Maëlle: „Pom OK, Chrllt spadła, trou enfer”. Pocę się mimo zimna. Véronique udaje się ominąć dziurę na poboczu drogi.

– Na dyżurze jest zastępca – wyjaśnia.

Moi przyjaciele lekarze Alexis i Faustine są na wakacjach. Cholera. Pomme powiedziała: „Jak Tachi”. Jeżeli lekarz pracował na pogotowiu, będzie dobrze, nie ruszy gałęzi. Zrobi to chirurg na bloku operacyjnym. Nikt tego nie może wyjąć, zanim Charlotte nie będzie na stole operacyjnym. W przeciwnym wypadku serce wypompuje całą krew. Dziecko ma jej mniej niż trzy litry i to się dzieje z niesamowitą szybkością. Przypomina mi się Pierre Desproges ⁵, który mówił: „Nie mam raka, nigdy nie będę miał, jestem przeciwny”. Muszę uratować Charlotte. Moja wnuczka nie może umrzeć, jestem temu przeciwny.



Albane, wyspa Groix

Jest tu zaledwie kilka sklepów. To nie to samo, co paryskie wyprzedaje, ale ponieważ jest tu znacznie mniej klientów, jestem zadowolona. Marynarka, która zastąpi Barbour, którego Cyrian już nie nosił, ale wyraźnie mu go teraz brakuje, sweter dla Charlotte. Krótka kurteczka marynarska w kolorze malinowym, którą będę nosić w letnie wieczory na południu. Patrę na zegarek. Mój mąż i jego siostra już chyba wszystko podpisali. Nareszcie

jesteśmy wolni. Wrócą dziewczynki. Jeszcze dziś wieczorem popłyniemy na ląd, spędzimy noc w pięknym hotelu, jutro rano zwiedzimy miasteczko żaglowe Éric-Tabarly, potem ruszymy w dalszą drogę. Moja stopa po raz ostatni stanęła na tej wyspie. Pokochałabym ją, gdyby nie było Maëlle i Pomme. Widzę mur cmentarza z drugiej strony La Halle. Pomodłę się przy grobie mojej teściowej. Nie byliśmy sobie specjalnie bliskie, ale dzięki niej istnieją Cyrian i Charlotte.

Przy wejściu na cmentarz słyszę rozdzierającą ciszę syrenę. To nie jest syrena statku, ale dwutonowa syrena strażaków. Torby z zakupami zaczynają mi nagle ciążyć w rękach. Na tej skale pośród morza jest zimą niewiele więcej niż tysiąc mieszkańców, trzysta pięćdziesiąt rodzin, ale ja wiem. W tej właśnie sekundzie wiem, tak jak wiedziałam wtedy, przy Tanguy.

Krew tężeje mi w żyłach, upuszczam torby. Ludzie na ulicy poruszają się w zwolnionym tempie. Odwracają się, śledząc wzrokiem czerwoną karetkę. Z Księgarni głównej wychodzi jakaś kobieta. Biegnie w moim kierunku, rozpoznaję Maëlle. Widziałam ją tylko raz w życiu, na pogrzebie mojej teściowej. Natychmiast zrozumiałam, do jakiego stopnia wciąż jest niebezpieczna. Cyrian poślubił mnie, ponieważ byłam w ciąży. Kochał Maëlle, ale ona nie chciała z nim wyjechać. Nigdy nie przestał jej kochać. Teraz pociesza się w ramionach innych kobiet. Od samego początku wiem o jego związku z tą dziwką z hotelu, w którym spotyka się jego *think tank*. Wcale nie jest pierwsza. Przedtem była ta kurwa ze stowarzyszenia rodziców. Pieprzy się z nimi, ale wieczorem wraca do Le Vésinet. Mój ojciec także zdradzał matkę. Wytłumaczyła mi, że to normalne, że faceci myślą gaciami, i nie trzeba się na to obruszać, bo można stracić wszystko. Przysięgłabym, że Joseph był wierny Lou, ale to były tylko iluzje.

Aż do chwili kiedy syrena strażaków wwierciła mi się w uszy i obdarła mnie ze skóry, sądziłam, że Cyrian, Charlotte, Hopla i ja jesteśmy odpornym

na wszystko kwartetem.

Maëlle podtrzymuje mnie, żebym nie upadła. Brak mi słów, brak mi łez, jestem już tylko samym strachem. Kobieta ciągnie mnie gdzieś, a ja jej na to pozwalam. Prześliczna nastolatka zbiera moje torby.

– Dziękuję, Azylis, zajmij się tym na razie – mruczy Maëlle.

Każdy krok jest torturą. Wsadza mnie do swojego twingo. Zapina mój pas. Głowa opada mi z jednej strony na drugą, szyja nie jest w stanie jej utrzymać, nie myślę o mojej córce, ale o mojej matce. Widzę jej pełną nienawiści twarz, jej oszalałe oczy i słyszę te potworne słowa: „Życzę ci, żebyś miała dziecko i je straciła”.

Od zawsze wiedziałam, że Charlotte nie dożyje wieku, w jakim zginął Tanguy. Zostałam ukarana. Zostawiłam kluczyki w stacyjce motoroweru. Nie założyłam blokady przeciwwłamaniowej. Zabijając brata, zabiłam swoją córkę.

Maëlle prowadzi, uważnie wpatrując się w drogę. Nie jest tak piękna jak Sarah, ale jest bardziej świetlista. Miałam wspaniałą córeczkę, życie mi ją odbierze. Maëlle zobaczy, jak Pomme dorasta, jak kocha, jak się rozwija, jak pójdzie swoją drogą. Charlotte na zawsze zostanie dzieckiem.



Goulven, wyspa Groix, Trou de l'Enfer

To moje pierwsze zastępstwo i wszystko jakoś w miarę dobrze się ułożyło, przez cały tydzień leczyłem poświęconych pacjentów. Moi koledzy Alexis i Faustine wracają jutro. Mam tylko jedno marzenie – spotkać się z moją dziewczyną w Rennes, zawinąć się wraz z nią w kołdrę i spać przez dwanaście godzin. Dziś jeszcze nie jadłem obiadu, hipoglikemia powoduje ból

głowy. Dostałem wezwanie dokładnie wtedy, kiedy miałem wreszcie ugryźć kanapkę. Parkuję, łapię torbę lekarską i biegnę na miejsce wypadku.

Strażacy są jeszcze obwiązani linami, właśnie wyciągnęli chorą i rozcinają jej T-shirt. Cholera, co za koszmar! Pacjentką jest ruda dziewczynka w pomarańczowym polarze, widzę jej nagi tors, w który ma wbitą gałąź. Jest na nią nabita jak indyk na Boże Narodzenie.

– Jestem lekarzem, nazywam się Goulven. A ty jak się nazywasz?

– Char... lotte – szepcze słabym głosem.

Kawał gałęzi wystaje z jej klatki piersiowej poniżej mostka. Myślę: przebite płuco, zapadnięcie się płuca, wstrząs. Myślę: rana serca, krwotok wewnętrzny, ostry ucisk serca, stan szoku. Zarządzam ewakuację helikopterem do szpitala w Lorient, wkładam sterylne rękawiczki. Osłuchuję dziecko, badam puls i ciśnienie.

Kiedy jestem na pogotowiu, zwyczajnie mam pecha. Kiedy tylko przychodzę, wszystko się uspokaja, nigdy nie trafiają mi się urazy wielonarządowe, więc niczego nie mogę się nauczyć. Moja koleżanka jest za to czarną owcą, ma szczęście. Kiedy ona jest na dyżurze, pacjenci napływają bez przerwy, więc ma więcej doświadczenia.

Wspomagany przez młodego, bardzo skutecznego ratownika, podłączam dziewczynie kroplówkę, żeby zrównoważyć utratę krwi w przypadku krwotoku i uniknąć uszkodzenia serca. Wkłuwanie się w dzieciaki to galera. Hipokrates jest jednak ze mną, udaje mi się za pierwszym razem, oddycham z ulgą. Jak na razie robię wszystko co do mnie należy.

– To twoja siostra? – zwracam się do ciemnowłosej dziewczynki w błękitnym polarze, która przypatruje się wszystkiemu z uwagą. – Gdzie wasi rodzice?

– Zaraz przyjedzie dziadek – odpowiada zduszonym głosem.

Strażacy zawiadamiają mnie, że helikopter już startuje. Moja pacjentka jest

świadoma, oddycha normalnie, ciśnienie stałe, puls ma przyspieszony, bo po prostu się boi. Kroplówka działa perfekcyjnie. Wszystko jest jak należy. Gdyby tylko nie ta ziemia i ten mech na gałęzi. To zanieczyści ranę. Myślę: sepsa, zapalenie osierdzia, obturacja płuc. Wyciągam rękę, dziewczynka w niebieskim zaczyna wrzeszczeć.



Pomme, wyspa Groix, Trou de l'Enfer

Doktor Goulven się boi, widzę to po jego spojrzeniu, nie zna historii o Jo i Tachi. Muszę chronić siostrę. Wrzeszczę i na oczach zaskoczonych ratowników wciskam się między nią a lekarza.

- Niech pan zaczeka na dziadka! Niech pan nie wyciąga gałęzi.
- Odsuń się, mała.
- Nie! Ona zatyka otwór, tak jak marynarze uszczelniają barki!
- Zabierzcie stąd tego dzieciaka, przeszkadza mi!

Alexandre, młody ratownik, odsuwa mnie i kładzie ręce na ramionach, żebym się nie wyrywała. Walczę i krzyczę.

- Posłuchajcie mnie! Trzeba zostawić...

Wszystko trwa sekundę. Ręka lekarza zamyka się na gałęzi, ciągnie delikatnie z rany, ma ją w ręku – z jednej strony brązową, z drugiej zakrwawioną. Początkowo nic się nie dzieje, doktor Goulven zakłada sterylny opatrunek na ranę. Charlotte ma dość pewną minę, bo nie ma już gałęzi. A ja drzę, myśląc o Tachim. Przypominam sobie, jak Jo prosił mnie o pomoc podczas wycieku przy zlewie. Kardiologia to hydraulika, to działa tak: ciśnienie, wyciek, zawory i kurki. Przypominam sobie twoją bibliotekę, Lou, i jedną z twoich książek – *Les Patins d'argent*. To historia holenderskiego

chłopca z miasta Haarlem, który wetknął palec w małeńki otwór w tamie, aby uratować miasto przed zalaniem wodą.

Nagle opatrunek robi się czerwony, nie ma już gałęzi, która zapobiegałaby krwotokowi, zaczyna wyciekać strużka krwi, tak samo jak kiedy mama Tachiego wyjęła strzałę. Wtedy już wiem. Ratownik Alexandre na chwilę mnie puszcza, to jest moja szansa. Przeciskam się obok Charlotte. Kładę wskazujący i jeszcze jeden palec na kompresie, aby wcisnąć go w ranę pozostawioną przez gałąź pod przerażonym wzrokiem asysty. Alexandre wydaje zduszony krzyk. Doktor Goulven sztywnieje. Krew wypływa spod kompresu strumyczkiem, macam, jak pod zlewem szukam niewidocznego przecieku. Muszę zatkać dziurę w tamie. Kompres mi przeszkadza prześlizgiwać się po lepkiej krwi, nie mam czasu się bać. Nie chcę, żeby serce mojej siostry wypompowało całą krew i żeby trzeba było jej śpiewać *Staying Alive*.

Podjeżdżają samochody, z jednego wysiada mama i Albane, Jo i Véronique wychodzą z drugiego. Jo widzi moją rękę w ranie. Albane też, nogi się pod nią uginają, mama ją podtrzymuje. Krzyczę do Jo, nie poruszając palcami.

– Doktor mnie nie posłuchał, wyciągnął gałąź.

Jo czerwienieje.

– Co za dupek!

– Krew już nie cieknie! – krzyczy Alexandre, jeden z ratowników.

Znalazłam miejsce przecieku Lou! Wymieniam spojrzenia z Jo. Na błękitnym niebie ponad nami pojawia się helikopter, jego warkot wypełnia powietrze.



Jo, wyspa Groix, Trou de l'Enfer

Pomme użyła nacisku bezpośredniego w odpowiednim miejscu. Serce to mięsień i jak każdy mięsień jest toniczne, kiedy coś je drażni, zaciska się. Charlotte już nie krwawi, to cudownie!

Helikopter z pomocą wylądował, jestem rozpromieniony. Pomme jest blada. Nie wierzę w cuda, Lou. Nie wierzę, że na nas patrzysz, że masz białe puszyste skrzydła i bawisz się w przeskakowanie baranków na chmurkach. Jestem człowiekiem konkretnym, naukowcem, pragmatykiem. Wszyscy umrzemy, taki jest los każdego człowieka, ale dziś nie umrze nikt.

– Jestem kardiologiem. Nie ruszajcie ich. Pomme właśnie uratowała życie Charlotte! – wrzeszczę na cały głos.

Mój młody kolega po fachu zaczyna rozumieć, że popełnił okropny błąd, i robi się bladosz. Są tu ratownicy ze swoim VSAV (samochód pomocy i opieki ofiarom) i VLHR (samochód dojazdu pozadrogowego). Znają mnie, wiele razy pracowaliśmy razem. Podtrzymuję na duchu Charlotte, która źle oddycha, i Pomme, która robi się czerwona z wrażenia.

Dragon 56, helikopter bezpieczeństwa cywilnego z Lorientu, siada na ziemi. Pielęgniarka medyczna z SAMU 56 razem z pielęgniarzem biegną do nas.

Mój młody kolega ulatnia się i teraz ja przejmuję dowodzenie. Przedstawiam się, lekarka przekazuje przez radio wszystkie dane swojemu dyspozytorowi.

Nikt nie może zastąpić Pomme. Jeżeli wyjmie palce, krew znowu zacznie wypływać i Charlotte się wykrwawi.

Koleżanka z SAMU zajmuje się moją wnuczką. Podaje jej maskę, przez którą dostarcza jej tlen o wysokim stężeniu, reguluje ustawienia kroplówki, przykleja elektrody na klatce piersiowej, żeby zrobić jej elektrokardiogram. Rana serca zawsze obficie krwawi. Krew wypływa do klatki piersiowej i w przestrzeń wokół płuc albo do osierdzia, które okrywa serce, pacjent umiera bardzo szybko od szoku krwotocznego. Jeśli rana jest niewielka, jak

rana od noża albo gałęzi, tak jak u Charlotte, krwawi mniej, ale jest ryzyko śmierci z powodu tamponady serca, bo serce zostaje ściśnięte przez krew, która utknęła między osierdziem a sercem.

Palce Pomme zatykają dziurę. Charlotte jest blada, trochę zdyszana, trzeba ją przetransportować na siedząco. Jeżeli się ją położy, krew zacznie naciskać na serce i ryzykujemy zatrzymanie akcji serca.

– Nie ruszaj się nawet o milimetr – mówi lekarka do Pomme. – Wsiądziesz do helikoptera razem z siostrą i ze mną. Będziesz się dzielnie trzymać aż do szpitala. Zgoda?

Pomme odważnie kiwa głową, jeszcze nigdy nie latała samolotem.

– Zastępuję strzałę Tachi – szepcze mi do ucha

– Zaufałam jej i oto rezultat – jęczy Albane.

Helikopter startuje na pokładzie ma dwie małe dziewczynki, które także w sensie dosłownym połączyła krew. Ściskam Albane po raz drugi w życiu. Pierwszy raz uścisnąłem ja na jej ślubie z tym idiotą moim synem!

– Pomme zapobiegła katastrofie, w Loriencie zoperują Charlotte, trzeba uprzedzić Cyriana, spotkamy się z nim na miejscu.

Spanikowana zwraca się do Maëlle.

– Może pani to zrobić?

Zdajesz sobie sprawę Lou? Albane poprosiła Maëlle, by ta zadzwoniła do jej męża!

Zostawiłem sweter w samochodzie Véronique, spadł mi, a ja nawet tego nie zauważyłem. Zimno mi bez niego, to prawdziwy symptom uzależnienia, odzyskuję go. Dzwonię do przyjaciół. Gildas i Isabelle są nieosiągalni, ale Jean-Pierre przetransportuje nas na stały ląd swoim zodiakiem.

Maëlle podrzuca nas do portu Locmaria, gdzie Jean-Pierre grzeje już silnik swojego Mai-Tai, zmusza nas, byśmy włożyli grube kurtki, i ruszamy w kierunku Lorientu. Albane ma puste oczy, cały czas się trzęsie. Brodzimy

w topieli koszmaru. Pomme nie oceniała konsekwencji, zadziałała odruchowo i to się opłaciło, ale sprawa jeszcze wcale nie jest wygrana. Pomme utrzymuje Charlotte przy życiu, wszystko teraz zależy od lekarza, który się nią zajmie, kiedy helikopter wylądje. Chirurg, ortopeda albo gastrolog mogą być genialni w swojej specjalizacji, ale beznadziejni, jeżeli trzeba zająć się raną serca. Żeby Charlotte miała szanse na przeżycie, musi to być kardiochirurg, torakochirurg o złotych rękach.



Cyrian, Lorient

– Pozostaje nam już tylko podziękować panu. Nie zobaczymy się więcej – mówię, ściskając rękę notariuszowi.

– My z pewnością się jeszcze zobaczymy! – mówi Sarah.

To jest aluzja do darowizny dla Pomme, ale mężczyzna bierze to jako zaproszenie do flirtu i idzie na całość.

– Następnym razem moglibyśmy zjeść wspólną kolację – mruczy z lepkiem uśmiechem. – Szef kuchni w restauracji „Jardin gourmand” jest kobietą. Uwielbiam kobiety.

– To miło z pańskiej strony. Przyjdę z moim przyjacielem Federico, on uwielbia francuskie restauracje – mówi.

Notariusz pochmurnieje, a my wychodzimy.

– Federico? – pytam z błyskiem w oku, wskazując jej lewe przedramię. – Giulietta też przyjdzie?

Potrząsa głową.

– Mówiłam o prawdziwym, w każdym razie żywym. Jest kinomanem.

I w tym momencie dzwoni telefon. Rozpoznaję głos Maëlle, z którą nie rozmawiałem od dziesięciu lat. Ziemia rozstępuje mi się pod stopami.

– Co się stało?

– Charlotte miała wypadek. Poleciała do Lorientu helikopterem razem z Pomme. Jo płynie statkiem z Albane.

Słyszę, co ona mówi. Słowa jednak nie docierają do mojego mózgu. Moja młodsza córka wbiła się na jakiś kawał drewna, a starsza córka stara się zapobiec krwotokowi. Oddycham z trudem. Mam do nich dołączyć w szpitalu. Oddałbym życie za moje córki. Gdybym nie uciekł z Groix i gdybym nie starał się pozbyć mojej części tego domu, Charlotte nie byłoby dziś na wyspie. To jest dla mnie kara.

– Jo zajął się wszystkim. Kocham cię – mówi Maëlle.

Jej ostatnie słowa nie dziwią mnie wcale.

– Ja też cię kocham – mówię złamanym głosem, zanim się rozłączę.

Naszej miłości nie rozwiązał czas, ale ona jest rybą morską, a ja rybą słodkowodną. Nie pływamy w tych samych akwenach.

– To była Albane? – podejrzewa Sarah.

– Nie, Maëlle. Charlotte jest ranna, to poważne. Helikopter transportuje ją do szpitala.

Zoperują moją małą córeczkę, zaopiekują się nią, uratują. Muszę trochę zwolnić w pracy, żeby być przy niej. To zajmie tyle czasu, ile będzie konieczne, mam to gdzieś! Wyzdrowieje, nie zamierzam nawet brać pod uwagę czegoś innego.



Sandrine, Lorient

Biegałam w popłochu, żeby wszystko przygotować. Załatwione, wszystko w porządku. Helikopter wylądował, starsza siostra utrzymała ucisk w czasie

transportu. Gratuluję jej tego, co zrobiła, i zimnej krwi. Wytkumaczyłam, że jestem anestezjologiem i poprosiłam o jeszcze chwilę odwagi. Musi pojechać z nami aż na blok operacyjny i wciąż musi uciskać. Zanim wejdzie na salę operacyjną, wkładamy jej plastikowe ochraniacze na buty. Optowaliśmy za natychmiastowym przewiezieniem rannej na blok operacyjny bez przechodzenia przez pogotowie. Badania biologiczne, czyli ustalenie grupy krwi i ultrasonografię zrobimy na miejscu.

Starsza siostra drży ze strachu, jest tak zestresowana, że jej włosy są posklejane od potu. Uśmiecham się, żeby podtrzymać ją na duchu. Blok operacyjny to przerażające miejsce dla dziecka. To ogromna sala, jest zimno, jest dużo ludzi w maskach i czepkach na głowach, pełno dziwnych kabli i maszyn, które robią bip-bip. Lampy operacyjne oświetlają stół, na którym kładziemy młodszą dziewczynkę. Myślę o swoich trzech córkach siedzących bezpiecznie w domu, potem wyrzucam je z myśli, aby skoncentrować się na pacjentce. Ma szczęście, że trafiła na Claude'a, który wiele podróżował i niczego się nie boi. Przewidział lewą torakotomię. To pozwoli mu po pierwsze, otworzyć osierdzie i uwolnić je od krwi, która uciska serce, a po drugie, szybko zabezpieczyć ranę szwami, uważając, by nie uszkodzić aorty.

Claude w zielonym ubraniu lekarskim, w czapce i ochraniaczach na buty, czyści paznokcie i myje przedramiona mydłem, opłukuje się, osusza i dezynfekuje płynem odkażającym, zanim wejdzie na blok, niczego nie dotykając. Pielęgniarka z bloku pomaga mu włożyć sterylne fartuch, podaje rękawiczki, które on wkłada, unikając dotykania ich zewnętrznej strony, wreszcie pomaga mu zawiązać tasiemki fartucha.

Ja przygotowuję moją małą pacjentkę, szepcząc jej do ucha, że wszystko będzie dobrze. Mówię, żeby nie zwracała uwagi na hałasy wokół nas, i podaję jej tlen przez maskę, gładząc ją po policzku.

Claude jest gotowy i daje mi znak, że zaczynamy. Prosimy siostrę pacjentki, żeby przestała uciskać i żeby się wycofała, nie dotykając niczego. Ona sprawdza, czy dobrze zrozumiała, że jej rola już się zakończyła, przestaje uciskać serce swojej siostry i powoli odsuwa rękę. Pielęgniarka wyprowadza ją przez salę, gdzie myją się chirurdzy, aby obmyć jej zakrwawione palce. W tym czasie na bloku zaczyna się wyścig. Na znak chirurga wkłuwam swoje dwie igły. Moja mała pacjentka zasypia, podczas gdy ją intubuję. Claude smaruje ciało roztworem antyseptycznym i ustala pole operacyjne. Nie podłączyłam jeszcze respiratora, a on już zdążył ją naciąć.

Zakłada rozwieracz chirurgiczny do żeber dziewczynki. Pojawia się krew, mniej niż można się było spodziewać, a to dzięki nieoczekiwanej interwencji siostry, ale jednak się pojawia. Jest odprowadzana z dźwiękiem ssania. Claude mówi, co robi, i jaki jest stan rany:

- Dekompresja osierdzia.
- Niewielka rana w okolicy koniuszka serca ma dwa do trzech centymetrów.
- Jest dobrze, kontroluję krwawienie.
- Płuco w porządku.
- Co z nią?

Odpowiadam.

– Ciśnienie wraca do normy, ale zrobimy transfuzję, zważywszy na to, co jest w pojemnikach.

Mój pielęgniarski anestezjologiczny pobrał krew dziecka do badań, kiedy szykowano stół. Dla bezpieczeństwa zamówiłam kilka torebek z O Rh minus, zanim dostałam ich rezultaty. Działanie chirurga nie trwa więcej niż trochę ponad godzinę, ale organizm dziewczynki doznał ogromnego szoku. Nadzoruję jej hemodynamikę, sprawdzając ciśnienie za pomocą cewnika w tętnicy promieniowej na dłoni. Będę utrzymywać ją w śpiączce, by móc kontrolować koagulację krwi, kontynuować transfuzję, rozgrzać ją i żeby jej serce

odpoczęło.

Trzeba będzie sprawdzić, czy nie ma komplikacji związanych z sercem, płucami, nerkami i czy znów nie zaczyna krwawić. Jeżeli wszystko będzie dobrze, obudzę ją po dwudziestu czterech godzinach.



Jo, Lorient

Zawód lekarza to miecz obosieczny – ratujemy życie ludzkie, ale też stykamy się ze śmiercią. Chronimy pacjentów, ale znamy wszelkie rokowania chorób własnych i naszych bliskich, których kochamy.

Claude chirurg, który Charlotte operował, tłumaczy, że miała ranę koniuszka serca z wejściem na poziomie wyrostka mieczykowatego i przebicciem przepony. Rozumiem jego medyczny żargon, to uniwersalny język, który dzieli oświeconych medyków od nie znających go pacjentów. Chirurg opisuje wykonane czynności chirurgiczne i możliwe komplikacje. Nie jest specjalistą kardiologiem, to facet ze starej szkoły, ma doświadczenie. Pracował na misjach humanitarnych. W sytuacji, gdzie młody chirurg przestraszyłby się i przetransferował Charlotte do specjalisty, tracąc cenny czas, Claude chirurg ogólny poszedł prosto do celu, otworzył klatkę piersiową, żeby zeszyć koniuszek serca, który krwawił. Sam koniuszek. Miała niesamowite szczęście, płuco pozostało nietknięte.

– Czy moja córka żyje? – sprawdza Albane. Jej twarz jest kredowobiała.

– Tak, proszę pani – odpowiada lekarz łagodnie.

Zamknął klatkę piersiową Charlotte, serce już jest naprawione, teraz trzeba czekać. Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, w szpitalu zostanie przez tydzień, a jeżeli nie będzie komplikacji, po dziesięciu dniach zdejmą jej szwy. Potem,

jak wszystko pójdzie dobrze, będzie sześciotygodniowa rekonwalescencja z kinezyterapią oddechową.

– Czy moja córka żyje? – powtarza Albane w kółko.

Pomme ma zmęczoną twarz, drży. Cyrian przyciska ją do siebie, nie puszczając ręki żony.

– Twoja siostra jeszcze śpi – tłumaczy Claude Pomme. – Powinnaś zabrać mamę na coś do jedzenia. Będę was o wszystkim informował. Pomme zgadza się, nie precyzując, że Albane nie jest jej matką.

Zamawiam gorącą czekoladę w kawiarni na rogu. Nikt jej nie pije. Słyszę trzy równoczesne rozmowy dzięki moim słoniowym uszom Dumbo. Cyrian dzwoni do Maëlle i mówi jej, co się dzieje. Sarah dzwoni do przyjaciela, Albane powtarza jak płyta, która się zacięła, że jej córka żyje, i ma pretensje do Pomme, że ją naraziła na niebezpieczeństwo.

– Powinnaś raczej jej dziękować, bo powstrzymała krwotok – mówię spokojnie.

– Jej dziękować? – mówi Albane urywanym głosem. – Za to, że zmusiła Charlotte, by zeszła tą zakazaną ścieżką? Za to, że chciała zabić moją córkę?

Pomme wstając, przewraca krzesło i wybiega. Sarah idzie za nią.

– Ja się nią zajmę.

Staralem się wszystko naprawić, ale tylko pogorszyłem sprawę. Teraz Charlotte jest ranna, a Pomme cierpi. Jestem marną głową rodziny. Powinnaś poślubić tego faceta o kręconych włosach i kasztanowych oczach. Mój telefon dzwoni. Rozmowy milkną.

– Możecie ją zobaczyć – oświadcza Claude.



Lou, tam, gdzie idzie się potem

Nie mogłam nic zrobić, żeby ci pomóc. Byłam tam skamieniała, sfrustrowana, patrzyłam, jak się miotacie. Tak bardzo bałam się o Charlotte.

Doceniam odwagę Pomme. Jesteś wspaniały w roli patriarchy, mój przybracieliu. Dzięki tobie, aż do wypadku Charlotte, nasze dzieci zaczynały czuć się lepiej. Ona ma tylko dziewięć lat, będzie walczyć. Jest w doskonałej formie. Wyjdzie z tego, prawda?



Jo, Lorient

Charlotte jest uśpiona i zaintubowana. Cyrian i Albane myją sobie ręce, zanim włożą zielone bluzy, maski, rękawiczki i ochraniacze na buty. Wchodzą do pomieszczenia na palcach porażeni lękiem. Ubrany tak samo jak oni stoję odrobinę z tyłu. Sandrine, moja koleżanka anestezyjolog, dodaje im pewności siebie. Opowiada, do czego dokładnie służą rurki, na które patrzą z przerażeniem, kroplówka, cewnik odprowadzający mocz, opowiada o ciśnieniu tętniczym i intubacji. Oczy Charlotte są zamknięte, żeby nie doznały uszkodzeń. Ma też duży opatrunek na lewej stronie klatki piersiowej. Stamtąd wychodzą dreny, które dla rodziców są rurami wypełnionymi krwią. Utrzymywana jest w śpiączce farmakologicznej, żeby jej serce wypoczywało, nie cierpi, nie jest w stanie im odpowiadać, ale jest możliwe, że ich słyszy. Sandrine radzi, żeby mówić do niej w normalny sposób, żeby ją dotykać i głaskać.

– Proszę zadawać mi wszelkie pytania, na jakie tylko macie ochotę – mówi łagodnie.

– Moja córka żyje? – powtarza Albane jak somnambuliczka.

Sandrine wszystko jej tłumaczy, ale Albane nie słucha, a Cyrian po pięciu

minutach nie jest w stanie niczego sobie przypomnieć. To jest zbyt przerażające. Pierwsze badania po powrocie z bloku operacyjnego są w porządku – koagulacja już prawie się znormalizowała po transfuzji, gazometria w porządku, w echokardiografii pooperacyjnej nie widać żadnych nieprawidłowości przy skurczach.

Albane postarzała o dwadzieścia lat bierze dłoń córki w rękę, Cyrian siada po drugiej stronie łóżka, zostawiam ich. Idę do Pomme i Sarah – dzieci poniżej szesnastego roku życia nie mogą wchodzić na oddział reanimacji pooperacyjnej.

Co rano, kiedy się budzę na wyspie, spoglądam na morze. Widać je prawie z każdego miejsca, słychać je wszędzie, kiedy szumi bardzo głośno, a wiatr mu odpowiada. Co rano w Paryżu widziałem rzekę samochodów płynącą przez bulwar Montparnasse, słuchałem klaksonów, a nie syren statków. Kiedy jestem na dworcu, kołyszą mnie fale przechodniów. Zamiast słuchać wiatru w wantach, słyszę zgrzyt walizek na kółkach. Kiedy jestem w szpitalu, dźwięki i zapachy są mi dobrze znane. Tu czuję się u siebie.

Sarah wysłała mi SMS, że są z Pomme na zewnątrz.

– Charlotte nie pójdzie do Lou – błaga mnie Pomme.

– Połączymy siły, żeby wyzdrowiała jak najszybciej. Ma szczęście, że byłaś przy niej!

Pomme opiera się o moje ramię i milknie, czekamy.

– U notariusza wszystko poszło jak należy? – pytam, bo cisza staje się coraz bardziej przytłaczająca.

– Przygotowaliśmy papiery dla Pomme.

– Dla mnie? – dziwi się Pomme, patrząc na swoją ciotkę.

– Wyobraź sobie, że dom w miasteczku jest tortem. Ten tort należał do Jo i Lou. Jo ma jeszcze swoją część, ale część Lou została podzielona na dwa kawałki, pół dla twojego ojca, a połowa dla mnie. Twój ojciec sprzedał mi

swoją połowę i ja ją tobie przekażę, rozumiesz?

– Dajesz mi część taty, która była połową tortu należącą do Lou?

– Wszystko rozumiałaś.

– Powinnaś dać ją Charlotte, żeby ją zmusić, żeby tu wracała.

Sarah odwraca się do mnie.

– Widziałam się z Patrice’em, tato.

– Ach tak? – mówię, udając zaskoczenie.

– Zerwaliśmy ze sobą z dziesięcioletnim opóźnieniem, rozstaliśmy się bardzo grzecznie. Nareszcie czuję się wolna.

– To do niego dzwoniłaś?

– Nie, do przyjaciela, Włocha, z którym spędziłam sylwestra.

– Jeżeli zastosujesz się do swojej nieodwracalnej zasady, to widziałaś się z nim już dwa razy, więc to koniec?

– Tym razem to inny przypadek. Nie poznałam go jeszcze w sensie... hmmm, biblijnym, więc mogę się z nim znów zobaczyć. Nie jest podobny do moich... zwyczajnych przyjaciół. Ma w sercu taśmę filmową. Kiedy jestem z nim, gram w filmie, a nie siedzę w kulisach z produkcją. Charlotte zostanie przewieziona do Vésinet, jak nabierze sił?

– Zdecydują rodzice w porozumieniu z chirurgiem. Pierwsze dni będą najważniejsze. A kiedy wyjdzie, czeka ją rehabilitacja. Lepiej by jej było w Groix. Tu jest świetne powietrze i osobisty kardiolog na miejscu, ale oni z pewnością ją zabiorą.

– Miałam się spotkać z Federico jutro w Paryżu, ale wolę zostać, aż minie niebezpieczeństwo. No i zaprosiłam go na trzy dni na Groix. Czy to ci nie przeszkadza? – pyta Sarah.

Technicznie Sarah jest u siebie tak samo jak ja, może zapraszać, kogo jej się podoba. Ale Charlotte o mało nie umarła, a to nie jest moment na gości. Szykuję się, żeby jej to powiedzieć, kiedy dzwoni jej telefon. Oddala się

wyprostowana, nie wspierając się na lasce.

– Ona ma alergię, Jo – tłumaczy mi Pomme.

– Na co? Ma jakieś wypryski? Swędzące plamy?

– Jest to alergia na szpitale z powodu tej jej choroby. Żeby znieść szpital, potrzebuje przyjaciela. Tata ma Albane, mama i ja mamy ciebie, a Sarah nikogo.

Pomme nie studiowała medycyny przez dziesięć lat, a przerasta mnie swoją intuicją.

– Myślisz, że ten przyjaciel jest księdzem? – kontynuuje zamyślona.

Otwieram szeroko zdumione oczy.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Przecież mówiła coś o biblii.

Charlotte o mało nie umarła z wykrwawienia. Pomme ją uratowała. Mogło nastąpić zatrzymanie akcji serca – w helikopterze albo i na sali operacyjnej. Uratowali ją chirurg i anestezjolog, teraz to już kwestia czasu i cierpliwości. Sarah po raz pierwszy od czasu Patrice’a zaprasza mężczyznę na wyspę. Przez chwilę czuję się odrobinę lepiej. Nagle drętwieję. Federico mnie rozpozna, przypomni sobie, że powiedziałem mu o tatuażach Sarah w Le Vésinet i że go zachęciłem do zaproszenia jej na obiad. Sarah poczuje się zmanipulowana, zerwie z Włochem i zerwie kontakty ze mną, wtedy stracę oboje naszych dzieci.



Pomme, Lorient

Wsiądę na ostatni statek z dziadkiem, ciocią Sarah oraz z psem. Jo uprzedził „bandę z siódmego”, że Charlotte jest w szpitalu. Niektórzy mają mieszkania

w Loriencie, więc tata i Albane mają gdzie się zatrzymać. My wracamy na wyspę, bo ja jutro idę do szkoły i dlatego, że psów nie wolno wprowadzać do szpitala. Jo rozmawiał z lekarzami, potem wszystko przetłumaczył tacie, który był tak wyczerpany, że powiedział do Jo: „Dziękuję, Systole”.

Jo zmarszczył brwi, a Sarah się uśmiechnęła. Tata przyznał, że nazywał go tak od wielu lat.

W poczekalni Albane piorunuje mnie wzrokiem. Jest przekonana, że zmusiłam Charlotte do zejścia tą ścieżką. Nie mogę donieść na siostrę. Nie jestem kapusiem. Zbliżam się do niej i mówię cicho:

– Charlotte jest bardzo silna, szybko wyzdrowieje.

Ona odpowiada mi takim samym tonem:

– To wszystko twoja wina.

Tata, który jej nie usłyszał, kładzie swoje wielkie ramię na ramionach, tak jakby jego ciało było swetrem Jo, i odciąga mnie na bok.

– Byłaś niesamowicie odważna. Proś, o co zechcesz, ja się zgodzę na wszystko.

Waham się, ale odpowiedź mam już gotową.

– Co zrobiłoby ci przyjemność? Podróż. Telewizor, telefon komórkowy?

– Chcę, żeby Charlotte przyjechała na rekonwalescencję na wyspę do nas. Jo mógłby nad nią czuwać, byłybyśmy razem.

Tata wydaje taki dźwięk, jakby opona od roweru straciła powietrze.

– Nie, ja mówię o takim prezencie, który można kupić. Charlotte wróci do Vésinet, jak tylko będzie można ją przetransportować. Codziennie chodzę do biura, ale będę wcześniej wracał, żeby z nią być. Ty w lutym przyjedziesz do nas na wakacje zimowe, jeżeli twoja mama się zgodzi.

– Powiedziałaś, że mogę prosić, o co zechcę. Charlotte nie wróci natychmiast do szkoły, Jo jest kardiologiem, zająłby się nią. Tu jest dobre powietrze.

– Albane nigdy się nie zgodzi, Pomme. Znajdź coś innego. Muszę zarządzać firmą, nie mogę tu zostać.

– Mógłbyś przyjeżdżać co weekend?

– Wątpię, czy Systo... twój dziadek by się na to zgodził. Nie jesteśmy w najlepszych stosunkach, nie zechce nas u siebie.

Stawiam wszystko na jedną kartę.

– Chyba zrozumiałam, co ciocia Sarah mi wytłumaczyła. Sprzedałeś jej swój kawałek domowego tortu, a ona daje go mnie. Więc będę trochę jakby u siebie w domu w miasteczku. Mam prawo zaprosić siostrę.

Tata otwiera usta, ale żaden dźwięk się nie wydostaje.

– Jeżeli mama ci przeszkadza, to my przeniesiemy się do Locmarii. Powiedziałeś, że mogę wybierać. Tego właśnie chcę.

Mam ochotę go uścisnąć, ale jego ręce zwisają wzdłuż ciała, tak jak wtedy na pogrzebie Lou, więc nie ośmielam się go dotknąć.

1. Do widzenia po bretońsku. [\[wróć\]](#)
2. Dziura Ratowników. [\[wróć\]](#)
3. Maruda. [\[wróć\]](#)
4. Dziura do Piekła. [\[wróć\]](#)
5. Francuski humorysta znany z czarnego humoru. [\[wróć\]](#)



4 STYCZNIA

Jo, Lorient

Wchodzę do śluzy prowadzącej na oddział reanimacji, myśląc o świeczce, którą zapaliłem dla Charlotte w kościele w miasteczku. Moja matka powtarzała ten rytuał, ilekroć ojciec wyruszał na dalekomorskie połowy, a kiedy statek przypłynął bez niego, nadal to robiła, tak jakby płomień mógł go ogrzać.

Charlotte miała paskudną noc, to normalne. Trzy pierwsze dni są najgorsze. Jean-Pierre przetransportował mnie swoim zodiakiem do Lorientu razem z Sarah. Wyjęła dwie buteleczki z torebki.

– To prezent od Pomme dla Charlotte. Kupiła sterylne flakoniki w aptece i napełniła je piaskiem oraz wodą morską.

To poetyczny pomysł i chwalebna intencja. Pomme zapamiętała lekcję na temat ryzyka infekcji. Flakoniki nie dostaną się na salę reanimacyjną. Charlotte dostanie je za dwa dni, kiedy przeniosą ją na oddział kardiologiczny – jeżeli wszystko pójdzie dobrze i jeżeli nie będzie komplikacji.

Anestezjolog dołącza do nas, podczas kiedy wkładamy bluzy, maski i ochraniacze.

– Charlotte została ekstubowana dziś rano. Z powodu torakotomii bolało ją, kiedy się obudziła, ale jest rozluźniona jak na swój wiek. Specjalistka od leczenia bólu dobrze oceniła jej zdolność rozumienia. Ma pompę morfinową z infuzją bazową w bolusie na żądanie. Chyba jest głodna, bo prosiła o jabłko, to dobry znak!

Wyjaśniam nieporozumienie, Charlotte nie żąda owocu, chce siostry.

W śluzie nie może być więcej niż dwie osoby. Wchodzę do Cyriana, a Albane wychodzi z Sarah na kawę. Wymieniam spojrzenia z tym śmierdzielem, moim synem. Nasze animozje są chwilowo zawieszono, bo śmierć dotknęła nas swoim skrzydłem. Sprawdzam aparaty. Monitoring. Kroplówka, dreny. Charlotte oddycha sama, żyje między światami odurzona morfiną.

– Ty takie miejsca znasz bardzo dobrze – szepce Cyrian. – Albane i ja jesteśmy tu jakby na innej planecie.

Przy córce nie może powiedzieć, że szaleje z niepokoju, ale widzę to na twarzy. Uspokajam go, widziałem się z anestezjologiem i wszystko jest w porządku. Podchodzę do łóżka.

– Moja Gruszkowa Szarlotko, Pomme nie ma prawa wejść tu i ciebie odwiedzić. Siedzi teraz w szkole i udaje, że pracuje, bo myśli o tobie. Hopla jest z nami, wszędzie cię szuka. Zrozumiałaś, jak działa pompa, gdyby cię bardzo bolało?

Moja wnuczka nie otwiera oczu, ale porusza palcami, usłyszała mnie.

Cyrian wychodzi i pada na ławkę w śluzie, zrywa maskę i rękawiczki, wyciera oczy rękawem zielonej bluzy. Zawsze płakał, kiedy upadł, jak był mały, za to Sarah, mimo że młodsza, zaciskała zęby.

– Bóg mnie ukarał? Tak? Zawiniłem, sprzedając moją część domu, i los mści się na mojej córce? Z Dany to już koniec, tato. Dlaczego to na nas spada? Co złego zrobiła Charlotte? Ma tylko dziewięć lat. W jej wieku zdiera się sobie kolana albo wybija zęby, a nie robi dziury w sercu!

– Ona żyje, Cyrianie.

– Gdyby Pomme tu nie było... Ciągłe byłem nieobecny, jestem żalonym ojcem i gównianym mężem.

– Zajmij się córkami i żoną, zamiast się oskarżać.

– Mówią, że jeżeli nie będzie komplikacji, Charlotte wyjdzie z reanimacji pojutrze. Będzie mogła zostać przetransportowana na rekonwalescencję cztery

dni potem. Pamiętasz ten zakład, gdzie była Sarah w Vésinet na avenue de la Princesse?

– Dość mgliście – odpowiadam.

– Myślisz, że będzie jej tam dobrze?

– Na pewno.

– Wyjdzie z tego? Straciliśmy już mamę...

Kładę rękę na jego ramieniu. Od wieków się nie dotknęliśmy. Nie uścisnęliśmy się nawet tego dnia, kiedy odeszłaś.

– Wyjdzie z tego. W jej żyłach płynie bretońska krew.

Podciąga rękaw marynarki. Na nadgarstku ma zegarek twojego ojca.

– Sarah mi go dała od ciebie.

W naszej rodzinie nigdy nie dziękujemy sobie nawzajem, po prostu się poszturchujemy.



Albane, Lorient

– Co weźmiesz? – pyta moja szwagierka, odliczając monety. – Espresso? Cappuccino? Z cukrem czy bez?

– Zupę pomidorową.

Nasze życie rozpadło się w drzazgi. Powinniśmy już wrócić do Vésinet, Charlotte powinna być w szkole, Cyrian powinien być w biurze albo zajmować się pieprzeniem tej swojej dziwki, ja powinnam szykować obiad, przygotowywać podwieczorek dla Charlotte, wyprowadzać psa, Hopla *number one*, Hopla *number two*.

– Pomme dała mi prezent dla Charlotte – mówi Sarah.

Pokazuje mi dwa flakoniki i list usiany błędami ortograficznymi.

„Moja droga siostszyczko (mimo że tata nie zrobił testów na ojcostwo). Cały czas myślę o tobie. Nie mogę cię zobaczyć. Mam nadzieję, że nie boli cię za bardzo. Jo mówi, że dopieszczają cię morfiną i że na reanimacji nie ma telewizora, żeby go zastąpić wysyłam ci tę przenośną plażę. We wspomnieniach wciąż widzę wryty w mojej głowie w sposób trwały twój widok w zaroślach. Brakuje mi ciebie. Wyślę Boya i Lole, żeby cię pozdrowili. Pomme”.

– Jej błędy to prawdziwe odkrycia – komentuje Sarah. – Myśli o swojej chorej siostrze przez sz. I to dopieszczanie morfiną, co za śliczne sformułowanie, nam też ten obraz zostanie wryty w głowie w sposób trwały. Kim są Boy i Lola? Jacyś przyjaciele z Lorientu? I co to za historia z testem na ojcostwo?

Łapię flakoniki i wściekle wrzucam je do śmietnika obok automatu do kawy.

– Przypominam ci, że Pomme o mało nie zabiła Charlotte!

– Przypominam ci, że ją uratowała!

– Bronisz jej, bo nie masz dzieci. Nie... Nie możesz czy nie chcesz?

W normalnym czasie nie poruszyłabym tak intymnego tematu ze szwagierką.

– Nie chcę podjąć ryzyka, że uczynię dziecko nieszczęśliwym. Nie mówiąc o tym, że jeszcze nie znalazłam dla niego tatusia.

– Ja się odważyłam, wiedząc z doświadczenia, że mogę mieć dziecko, które może umrzeć.

– Nie rozumiem?

– Mój braciszek Tanguy został zabity przez ciężarówkę. Pożyczył ode mnie motorower. Ciężar jego śmierci spoczywa na mnie. Moja matka oszalała z bólu i rzuciła na mnie zły urok. Życzyła mi, żebym miała dziecko i poznała tak jak ona ból po jego stracie.

– Co?

Parzę sobie podniebienie zupą pomidorową i ten ból przypomina mi, że

chyba jeszcze nie jestem martwa.

– W koszmarach sennych słyszę głos matki. Od urodzenia Charlotte co wieczór przed zaśnięciem słyszę jej słowa. Dawniej chroniłam się w ramionach Cyriana. Teraz boję się przez cały czas i nie śpię. Cięży nad nami przekleństwo. Rzuciłam wyzwanie losowi, Sarah.

– Miłość jest silniejsza niż nienawiść. Zły los został przełamany przez Pomme, która uratowała Charlotte! – argumentuje szwagierka.

Nie chcę słuchać, jak broni tej, przez którą doszło do nieszczęścia.

– Pomme jest zatruta, niebezpieczna. Na Wszystkich Świętych przewiozła Charlotte na rowerze i zmusiła ją, żeby wczoraj zeszła tą ścieżką. Mojej córce nie przyszłoby to do głowy, jest zbyt lękliwa. Moja matka sprowadziła na nią nieszczęście, a zazdrość Pomme dokończyła dzieła. Nigdy jej tego nie wybaczę. Nigdy sobie tego nie wybaczę.



Cyrian, Lorient

Żadne z nas nie jest głodne. Kiedy Albane i ja opuściliśmy salę OIOM-u, Charlotte spała po morfinie. Zostawiliśmy ją, upewniwszy się dziesięć razy, że mają numery naszych telefonów komórkowych. Chciałem ją przytulić, ale jedynie mogłem musnąć jej policzek ręką w rękawiczce i uśmiechnąć się zza maski.

– Będę nad nią czuwać. Umiem się obchodzić z dziewczynkami, mam w domu trzy – powiedziała do nas anestezjolog Sandrine.

Padam na łóżko. To mieszkanie przyjaciół Jo, spaliliśmy tu już wczoraj. Byliśmy tak wyczerpani, że nie zamieniliśmy ze sobą ani słowa, zanim zapadliśmy w sen. Albane siedzi na kanapie. Wygląda jak ktoś, kto przyszedł na rodzinne odwiedziny. Jest spięta, niezdarna, obca. Mam ochotę zasnąć

przytulony do niej, obudzić się i odkryć, że to wszystko to był tylko paskudny sen.

– Musimy porozmawiać – mówi głuchym głosem. – Powinniśmy zrobić to przy twojej pierwszej dziwce.

Patrzę zaskoczony.

– Wiem o tej kurwie ze stowarzyszenia rodziców, tej, która miała głos jak Minnie. Wiem o tej dziwce z hotelu, gdzie zbiera się *think tank*.

Te słowa mnie szokują, docierając do mnie zza zasłony lęku o córkę i z wyczerpania. Charlotte jest podłączona do różnych aparatów, podwieszona jakimiś linkami, zostawiliśmy ją w rękach obcych ludzi. Nie mam ochoty mieszać w to Dany.

– To naprawdę nie jest moment na...

– Nasze małżeństwo rozpadło się już dawno temu – mówi zmęczonym głosem. – Walczmy o Charlotte, potem zobaczymy.

– Co to znaczy?

– Że nadszedł czas spuścić kurtynę, skończona komedia.

Wczoraj miałem rodzinę, żonę, która – jak sądziłem – mnie kocha, śliczną córkę, dziś straciłem wszystko.

Serce mojej córki krwawi, moja żona wyrzuca mnie ze swojego życia, ty napisałaś w testamencie, że Systole cię zdradził. Mamo, dlaczego go nie wyrzuciłaś?

– Ty i Charlotte jesteście tym, co mam najcenniejszego – mówię.

No i jeszcze Pomme, ale to nie jest dobry moment, żeby o tym wspominać, oraz Hopla, którego mi brakuje o wiele bardziej, niżbym się tego spodziewał.

– Będziesz spał na kanapie, ja na łóżku. Ta rozmowa jest skończona. Podejmiemy ją znowu, kiedy Charlotte wyjdzie ze szpitala. Jeśli przeżyje.

Drzę. Albane wygląda jak ktoś, kto tonie.

– Zabiłam swojego brata, Cyrianie.

Protestuję.

– Wiesz, że to nieprawda...

– Nasza córka o mało nie umarła z powodu twojej. Zamknij pysk! – wrzeszczy Albane. – Nadal będziemy mieszkać razem i wychowywać Charlotte, jeżeli Bóg nam jej nie zabierze, ale ty dla mnie już nie istniejesz.

– To już skończone... z tą osobą, o której mówiłaś. Przysięgam!

– Nic mnie to nie obchodzi.

Idzie do sypialni. Ja zostaję jak jakiś kretyn i patrzę na pustą kanapę. W kuchni chwytam butelkę dżinu, nalewam do szklanki i wypijam bez lodu i bez przyjemności. Potem odstawiam butelkę do szafki. Muszę być zdolny do prowadzenia samochodu, gdyby szpital nas wzywał. Gdybym miał ze sobą Baza, grałbym do rana. Muszę przeprosić Albane, przeprosić za to, że przestałem grać na saksofonie, że przestałem być porządnym facetem, że przestałem ją kochać. Kiedy Charlotte będzie już bezpieczna, wrócę do notariusza, zapewnię przyszłość moim córkom i ich matkom. Potem ucieknę gdzieś daleko.



5 STYCZNIA

Jo, Lorient

Podchodzę do wejścia, kiedy Cyrian wychodzi z OIOM-u. Rzuca swoje ochraniacze do kosza na śmieci, jego twarz jest wymizerowana, ma szarą cerę.

– Charlotte dostała większą dawkę morfiny. Bardzo ją boli.

– To normalne przy torakotomii, ból ustąpi.

Cierpi razem z nią. Widzę, jak drżą skrzydełka jego nosa.

– Wczoraj z Albane odbyliśmy rozmowę. Słuchałem jej, nie broniłem się.

– Wie o Dany?

Kiwa głową.

– Chce rozwodu?

– Chce, żebym przestał istnieć.

Jedyna przyjemność z bycia wdowcem jest taka, że można uniknąć scen małżeńskich.

– Chciałem podziękować Pomme za jej odwagę – mówi Cyrian. – Zaproponowałem jej, żeby wybrała coś, co sprawi jej przyjemność. Spodziewałem się telewizora, telefonu, jakiejś podróży...

– A ona poprosiła, żebyś częściej przyjeżdżał albo pogodził się z jej mamą?

– Nadal Kocham Maëlle, tato, ale nie jesteśmy z tej samej gliny. Nie da się nas połączyć, tak jak nie da się połączyć wody i ropy naftowej, wiesz, jak po katastrofie tankowca „Erika”. Miałem nadzieję, że Maëlle zmieni zdanie, że pojedzie za mną do Paryża. Ty miałeś odwagę, ośmieliłeś się wyjechać, studiowałeś w Rennes, opuściłeś swoją wyspę.

– Ponieważ, o ile mi nie udowodnisz czegoś przeciwnego, nie ma fakultetu

medycyny na Groix, staruszku.

– Mogłeś wrócić tu po studiach, zamiast puszyć się w tym swoim szpitalu w Paryżu.

– Chciałem zauroczyć twoją matkę. No więc co wybrała Pomme jako prezent?

– Nie chce ani telewizora, ani podróży, ale chce, żeby Charlotte przyjechała na rekonwalescencję na Groix, żeby była pod twoją opieką. Zastanowiłem się. Zostanę w Lorientie, dopóki będzie w szpitalu. Potem pojedzie do ciebie, tam będzie bezpieczna. Będzie mi jej brakować, ale będę przyjeżdżał w każdy weekend.

Nie wierzę moim wielkim uszom Dumbo.

– Byłbym szczęśliwy móc się nią opiekować, ale co o tym myśli Albane?

– Nie rozmawia ze mną. Dla niej jestem niewidzialny. Zgodzi się, jeżeli chirurg powie, że to dobry pomysł. Będę przyjeżdżał do was pociągiem w każdy piątek.

– Ja będę po ciebie przypląwał na ląd. Kupię mały statek, widziałem takie do kupienia w porcie.

– Będę uczestniczyć w kosztach.

– Przestań wymachiwać mi przed nosem swoimi dochodami, to wkurzające. Przypląnę po ciebie, koniec, kropka. Szkoda, że twojej matki już tu nie ma, na pewno rozpieszczałyby Charlotte swoimi wyczynami kuchennymi.

Pomyślałem, że to było zdecydowanie za ostro powiedziane, Lou, ale Cyrian wziął mnie w ramiona. I zostaliśmy tam jak dwaj debile przytuleni jeden do drugiego. Pełno było śmiechu i płaczu, złych wspomnień o eksperymentach kulinarnych, tęsknoty i miłości do ciebie.



Pomme, wyspa Groix

Śniło mi się, że zbyt mocno ucisnęłam serce mojej siostry i ono pękło jak balon. Od początku listopada, codziennie oprócz tego dnia, kiedy Charlotte miała wypadek, pracowałam nad saksofonem. Dziś mam pierwszą próbę z Chats-Thons. Jest ich około trzydzieścioro. Kobiet jest więcej niż mężczyzn. Dzieci grają na trąbkach albo na puzonach, Fred, artystka i przyjaciółka, która organizuje spotkania „bandy z siódmego” gra na kornecie, Ywes przechodzi od saksofonu do pianina. Ćwiczą *Bésame mucho*, potem grają *Ain't She Sweet*, czyli *swing good*, jak powiedziałyby Charlotte. Gram z nimi *Saint James Infirmary* – amerykańską piosenkę folkową. Niektóre melodie z repertuaru są wesołe: *Tequila*, *Mirza* czy *Titine*. Inne sprawiają, że mam gęsią skórę i przenikają mnie do głębi: *Le Temps des fleurs*, a szczególnie *Amazing Grace*. Tej melodii uczyłam się sama. Wtedy myślę o Lou i emocje mnie zalewają. Myślę o Isabelle, która mieszkała na Groix. Jej mąż zastrzelił ją z karabinka półautomatycznego. Pisała śliczne, zabawne opowieści *La Tribu des grands pieds et autres contes*¹. Uczniowie ze szkoły swoimi rysunkami ilustrowali jej teksty. Myślę o tych młodych ludziach, którzy postanowili spędzić noc na plaży Sables rouges, a ich ognisko sprawiło, że wybuchła amunicja jeszcze z czasów wojny. Jeden został ranny, drugi zginął.

Muzyka dodaje mi sił. Już nie boję się morderczego spojrzenia Albane, która myśli, że to ja jestem winna. Kiedy moja lewa ręka gra górne nuty na saksofonie, pomagam sercu Charlotte bić, a kiedy prawa ręka gra dolne nuty, pomagam jej płucom oddychać. Kiedy dmucham w ustnik, sprawiając, że wibruje stroik, ona biegnie za swoim psem. Tego wieczora, kiedy tata mnie zapytał, czego chcę, o mało co nie odpowiedziałam: „Kup mi saksofon”.

Wracam do domu, mama myśli, że byłam na próbie chóru. Od czasu tych oskarżeń Albane boli mnie brzuch. Jeżeli dostanę ataku wyrostka, to może mnie przetransportują helikopterem i położą w tej samej sali, w której leży

moja siostra.

Jo i Sarah wracają z Lorientu. Tłumaczę Jo, że trzeba mnie operować. Każe mi się położyć, rozciera ręce, żeby się rozgrzały, kładzie je na mnie i mocno naciska. Każe mi podciągnąć udo do brzucha, potem każe chodzić. Stawia diagnozę. Poważny atak chandry. Leczenie – naleśnik z nutellą. Daję psu skrawek mojego naleśnika. W dzień wypadku Hopla był zamknięty w czołgu taty aż do wieczora bez jedzenia i picia, wysikał się na skórzane siedzenie, ale nikt go za to nie ukarał.



Maëlle, wyspa Groix

Ywes uprzedził mnie natychmiast, że Pomme chce zrobić swojemu ojcu niespodziankę, ucząc się gry na saksofonie. Chciał sprawdzić, czy nie mam nic przeciwko temu. Szanuję tajemnice córki. Nie zadaję jej pytań, kiedy wraca z tak zwanego chóru. Mam nadzieję, że Cyrian jej nie zawiedzie już nigdy więcej. Kochałam go za to, kim był. Odnajduję w Pomme jego cechy, odwagę, lojalność, szalone pomysły. Byliśmy zakochani przez dwa lata. Myślałam, że zostanie, ale on chciał pokazać, że jest lepszy niż Jo. Obawiałam się, że zrobi jakąś głupotę po niezdanych egzaminach na École Polytechnique. Albane pojawiła się w dobrym momencie. Może i jest mężatką, ale w wychowaniu córki jest tak samo samotna jak ja. Jej mąż jest zjawą w garniturze szytym na miarę.

- Federico przyjeżdża dziś wieczorem, zostanie przez trzy dni.
- Podejrzewam, że będziecie spać w twoim pokoju?
- W czasie Wigilii i sylwestra dyskutowaliśmy, naprawiając świat, ale nic poza tym. Przygotuję niebieski pokój.

Wzdycha.

– Powtarzałam Albane, że Pomme uratowała Charlotte, ale nie chce mnie słuchać.

– Pomme nie chce wyznać, że jest niewinna, bo musiałaby zdradzić siostrę – mówię.

– Kiedy Cyrian i ja byliśmy mali, robiliśmy tak, żeby karano jedno za winę drugiego. To samo czułam, kiedy muzykowaliśmy razem z tym imbecylem Patrice'em. Cyrian był zdolny.

Przyznaję jej rację. Grał dla mnie na saksofonie na urwisku, zanim poprosił mnie, żebym za niego wyszła i wyjechała z nim do Paryża. Nawet przez chwilę nie brał pod uwagę mojej odmowy.



Federico, wyspa Groix

Nie miałem choroby morskiej, a jednak wciąż się kołyszę, schodząc na ląd. Co ja tu robię? Co Sarah ma takiego, czego nie mają inne? Ma twarz madonny i ciało bogini, bulwersuje swoją delikatnością, jest fascynująca, intensywna i jest pasjonatką kina.

Kiedy byliśmy w Rzymie, wydawało mi się, że znam Sarah od zawsze. Mieliśmy dziś razem zjeść kolację w Paryżu, aż nagle jestem na tej *isoletta*. Spędziłem cztery godziny w pociągu i pięćdziesiąt minut statkiem *sono pazzo*. Jestem szalony. *Pazzo di lei*. Oszalałem na jej punkcie.

Prom, na którym płynąłem, jest wyższy od żaglowców i statków rybackich stojących na cumach, ale jest żałośnie maleńki w stosunku do gigantycznych transatlantyków, które przepływają pod moimi oknami w Wenecji w kanale Giudecca. Wepchnąłem ubrania do torby w barwach AS Roma, którą zostawił

u mnie jeden z kolegów. Jeszcze pomyślą, że interesuję się piłką nożną.

– Hej! Raz dwa trzy!

– Sarah!

Przyciskam ją do piersi, potem puszczam z wielkim żalem.

– Oto Groix – mówi, wyciągając ramiona w takim samym geście, jak przewodnicy turystyczni pokazujący *Piazza San Marco* azjatyckim turystom.

Pozdrawiam z powagą cztery strony świata.

– Federico, *piacere*, witaj!

– Hello, wszystkim! – krzyczy Sarah, choć w pobliżu nie widać nikogo.

Brunetka o kręconych włosach wychodzi z kuchni i podaje mi rękę. Jej klon w wersji dziecięcej wskazuje moją torbę piłkarską.

– Gryffindor?

W Rzymie są dwie *squadra*. *Lazio* ma kolor jasnoniebieski, a *Roma* – pomarańczowy. To nie jest moja torba.

– Pomme jest fanką Harry’ego Pottera – tłumaczy Sarah, chcąc wytłumaczyć nieporozumienie. – W szkole dla czarodziejów Poudlard. Harry jest w Gryffindorze, a Gryffindor ma takie same kolory jak twoja torba.

– A, Grifondoro! U nas szkoła nazywa się Hogwarts, tak jak w Anglii.

Pomme otwiera oczy ze zdziwienia.

– Harry nazywa się Harry? A Ron? A Hermiona?

– Tak samo.

– Albus Dumbledore, dyrektor szkoły?

– Albus Silente.

– Minerwa McGonagall, najważniejsza nauczycielka Harry’ego?

– Minerva McGranitt.

– Idę zobaczyć, czy tato jest u siebie w gabinecie – mówi Sarah.

Bardzo powoli wchodzi po schodach. Mam na nią straszną ochotę. Podczas gdy ona dociera na półpiętro, za moimi plecami otwierają się drzwi

wejściowe. Odwracam się.

Rozpoznaję go natychmiast. To ten sam mężczyzna, którego spotkałem w Boże Narodzenie w Vésinet, kiedy odwiedzałem mojego sąsiada Érica. Chcę go o tym poinformować, ale on kręci głową. Sarah schodzi. Mężczyzna kręci głową jeszcze raz i natychmiast rozumiem, że nie powinienem go znać.

– Tato, przedstawiam ci Federico. Ma na imię tak samo jak *maestro*.

Teraz pamiętam. Myślałem, że Sarah jest pacjentką, a on wyprowadził mnie z błędu i opowiedział o jej tatuażach. Tylko dzięki niemu zaprosiłem ją na kolację. Dlaczego okłamuje własną córkę? Ściskamy sobie ręce, uważnie się obserwując.

– Obaj macie Josepha na ramionach – mówi Sarah. Odwraca się do mnie.

– Rodzina tak właśnie nazywa sweter, który mój ojciec cały czas nosi na ramionach.

– Gdzie się poznaliście? – pyta ojciec, mimo iż zna odpowiedź.

Ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu Sarah stwierdza, patrząc na mnie:

– W jednej z włoskich restauracji w Chatou.

Zgoda. Wygląda na to, że w tej rodzinie każdy kłamie.



6 STYCZNIA

Charlotte, Lorient

Miałam dziś echokardiografię kontrolną, lekarze wyglądają na zadowolonych. Opuszczę swoją izolatkę i położą mnie w sali na kardiologii. Rodzice mówią, że to dobra nowina. Ja nie decyduję już o niczym, śpię, boję się i wciąż mnie boli. Pamiętam, jak Pomme usiłowała mi przeszkodzić, chciała, żebym nie zbliżała się do Trou de l'Enfer. W helikopterze byłam skamieniała. Tlen wysuszał mi gardło, było mi zimno i odpływałam.

Zdejmą mi pompę morfinową. Czy wtedy ból wróci?

Wyjmą mi też dreny, to będzie koszmarnie bolało.

– Jak się czujesz, kochanie? – pyta mama, która ma jeszcze gorszy nastrój niż ja. Można powiedzieć, że nie spała od mojego wypadku.

– Dlaczego Pomme nie ma prawa tu wejść?

– To z jej winy leżysz tu przykuta do łóżka.

Zrywam się, robię grymas. Rana mnie pali przy każdym poruszeniu.

– Ona mi uratowała życie! – mówię ze łzami w oczach.

– Chciałaś powiedzieć, że o mało cię nie zabiła!

Mama siada na brzegu łóżka. Chwytam ją za rękę i ściskam, mimo że wysiłek pozbawia mnie oddechu. Nie rozumiała, że Pomme zastąpiła strzałę Tachiego.

– Sprawiała, że moje serce nie wypompuwało całej krwi!

– Zmusiła cię, żebyś zeszła tą niebezpieczną ścieżką. Ty sama nigdy byś nie wpadła na taki absurdalny pomysł.

– Chciała mnie stamtąd odciągnąć. Odepchnęłam ją. To była moja wina.

Mama robi się blada.

– Oskarżyłam ją, a ona nie zaprzeczyła.

– Bo nie jest donosicielką!

– Powinna powiedzieć, że jest niewinna.

– I wtedy doniosłaby na mnie? Jest moją siostrą, chroniła mnie!

Denerwuję się i wszystko mnie boli – i żebra, i blizna.

– Dziadek też mnie uratował. Przeszkodził lekarzowi odepchnąć Pomme, która zatykała dziurę w moim sercu.

Mama wykręca sobie dłonie.

– Oskarżyłam Pomme, tak jak moja matka oskarżyła mnie. Sarah ma rację, Pomme zneutralizowała zły los. Ma dziesięć lat, jest w takim samym wieku jak Tanguy.

Nie wiem, o czym ona mówi, oczy same mi się zamykają.

– Chce mi się spać, mamo. Mam szczęście, że mam siostrę. Ty, mamo, jesteś jedynaczką, więc nie możesz tego zrozumieć.

Spojrzenie mamy jest dziwnie błyszczące. Mówi, że musi coś pilnie zrobić, i szybko wychodzi.

Budzę się, kiedy pielęgniarka Catherine wchodzi, niosąc tacę z przyborami medycznymi.

– Wyjmę ci dreny i będziesz mogła zostać przeniesiona na kardiologię – oświadcza wesoło.

– Wolę, żeby zostały. Będzie bolało, jak będziesz je wyciągać.

– To prawda, nie chcę cię oszukiwać, ale nie mamy wyboru. Dam ci bolus morfiny, trochę odpłyniesz. Wrócę za sześć minut. W twoim nowym pokoju będziesz miała telewizor i siostra będzie mogła cię odwiedzać.

Sześć minut to strasznie długo, kiedy człowiek drży ze strachu. Cieszę się, że mamy tu nie ma, z nią byłoby o wiele gorzej. Catherine wraca i staje obok mojego łóżka. Nałożyła rękawiczki, przygotowuje bandaż.

– Zaczynam, Charlotte. Weź głęboki oddech i zablokuj, dobrze? Gotowa? Dawaj, wdech!

Biorę oddech. Zatrzymuję, a ona bardzo szybko ciągnie. To mnie wprost zatyka, tak, to bardzo, bardzo boli, chciałabym krzyknąć, żeby przestała, ale brakuje mi głosu. To koszmarnie, koszmarny ból, zaraz wpadnę do Trou de l'Enfer, to strasznie, strasznie...

– Skończyłam. Byłaś dzielna, brawo!

– To już koniec – mówię złana potem.

Zasypiam jak kłoda.



Cyrian, Lorient

Charlotte już nie jest na OIOM-ie, teraz zajmuje *clean room*. Siadam na plastikowym krześle, które pojękuje za każdym razem, kiedy poruszę siedzeniem. Otwiera oko, potem drugie i patrzy zdziwiona dookoła siebie.

– Przenieśli mnie, kiedy spałam?

– Tak. – Spogląda na rurkę od kroplówki i nie widzi na jej końcu pompy morfinowej.

– A jeżeli będzie mnie bolało?

– W kroplówce są środki przeciwbólowe, jeżeli to nie wystarczy, poprosimy, żeby dali więcej. Mój pociąg do Paryża odchodzi za czterdzieści minut, wskoczę tylko do biura i wracam. Mama zostanie z tobą, nie będziesz tu sama.

Kiwa głową, wygląda jak ptak, który wypadł z gniazda.

– Bardzo cię bolało, kiedy wyciągali dreny?

Pielęgniarka powiedziała mi, że dzielnie to zniosła.

– Trochę, ale ty wrócisz, tato? Obiecujesz? Nie zostawisz mnie?

– Przysięgam.

– A jeżeli zmienisz zdanie? Jeżeli praca będzie ważniejsza?

– Nic nie jest ważniejsze od mojej córeczki.

– Ale przecież zostawiłeś Pomme, więc możesz zrobić tak samo ze mną?

Drzę pod wpływem szoku. Dzieci potrafią ugodzić w samo serce.

– Nie zostawiłem Pomme, po prostu mieszkam gdzie indziej i tęsknię za nią, ale mam szczęście mieszkać razem z tobą.

Ma zapadnięte oczy, otworzyli jej klatkę piersiową, pocięli jej żebra, pozszywali serce.

– Byłam wredna dla Pomme – wyznaje Charlotte skruszona. – Usiłowała mi przeszkodzić w zejściu tą ścieżką, ale chciałam ją sprowokować. To było zabawne.

– Dlaczego?

– Bo ty wolisz Maëlle od mamy, nawet jeżeli z nią nie rozmawiasz. Pomme jest podobna do Maëlle. Bałam się, że kochasz ją bardziej niż mnie.

Jestem zaskoczony i niezadowolony z powodu jej zazdrości.

– Przysięgłam Pomme, że jeżeli zdradzi mi swój sekret dotyczący babci, to ja nie zejdem tą ścieżką – precyzuje.

Jaki sekret? Pocieram dłonią twarz. Mój pociąg do Paryża odchodzi za trzydzieści minut.

– Wszystko mi opowiedziała, a ja i tak tam poszłam. Zdradziłam ją, a ona uratowała mi życie – wzdycha blada.

Nagle zaczynam się bać.

– Opowiedz mi o sekrecie babci – mówię do córki.

Tajemnice są jak trucizna, każda kropla tajemnicy staje się kwasem, który drąży i niszczy.

– Widziałeś tę bliznę, którą Pomme ma koło oka?

– Tak, kot przewrócił kafeterkę.

– Nie, tato. Okłamały cię, kafeterka się wywróciła, ale nie przez kota. Babcia straciła rozum, nie rozpoznała Pomme, spanikowała i chciała ją odepchnąć, kafeterka zachwiała się i je poparzyła.

Mój pociąg odchodzi za dwadzieścia dwie minuty. Straciłaś rozum, moja piękna Diastole, a moja córka mogła zostać przez to oszpecona. Dotrzymała słowa. Była lojalna. Byłaś niebezpieczna, wiedziałaś o tym. Ukryłaś to przed nami.

Najpierw jestem porażony i przykro mi z twojego powodu. Jak bardzo musiałaś cierpieć! Chwilę potem czuję do ciebie żal, że nie miałaś do nas zaufania. Wściekłość zalewa mi oczy. Mogłem ci pomóc! Zgrzytam zębami. Systole wiedział? Zazdrość ściska mi żołądek. Miałaś wiarę w niego, nie we mnie. Kurczę się w sobie. Wiedziałaś, co cię czeka, mamó. Nie chciałaś ryzykować, że to się powtórzy, a więc to prawda? To ty sama chciałaś przeprowadzić się do domu opieki? Systole nie pozbył się ciebie? Sądziłem przez te ostatnie sześć okropnych miesięcy, że staję się twoim obrońcą, ale ty pozostałaś moją matką aż do końca, nawet w tej twojej dziurawej pamięci. Systole do niczego cię nie zmusił. Kazałaś przysiąc Pomme, że zachowa twój sekret. To przez dumę, przez poczucie godności. Byłaś wielką damą, aż do ostatniej sekundy życia.

Mój pociąg odjeżdża za dziewiętnaście minut.

– Muszę lecieć na dworzec, kochanie. Przysięgam, że jutro rano, kiedy się obudzisz, ja już tu będę.

– To ja anulowałam rezerwację w hotelu w Loriencie, tato. Bardzo przepraszam.

Charlotte nie jest już na reanimacji. Już nie muszę nosić rękawiczek, mogę ją dotknąć, pogładzić po policzku. Jej skóra wydaje się taka ciepła pod moimi palcami. Jej żebra są zbyt wrażliwe, żebym mógł ją uściskać, ale głaszczę ją

po twarzy.



Cyrian, TGV relacji Lorient – Paryż

W ostatniej chwili wskakuję do pociągu. Jakaś kobieta w zielonych okularach prosi mnie, żebym zamienił się z nią miejscami. Chce siedzieć twarzą w kierunku jazdy. Zgadzam się, mnie jest wszystko jedno.

Sprawdzam SMS-y. Dany mnie nagabuje. Jej wiadomości trochę zmieniły wymowę. Jesteśmy dorośli, wiemy, co robimy, a ja jestem wrednym żonatym facetem, który rzucił kochankę. Już jej nie pożądam, urok się rozwiął. Jako pretekstu do zerwania użyłem rodziny, zgodziłem się na kiepską rolę, jaka mi przypadła, by ją do siebie zrazić. Upiera się, bo jest wściekła. Dziś rano wysłała mi długą wiadomość:

„Wiem, że żona naciska na ciebie i grozi, że nie pozwoli ci widywać córki, ale ja uczynię cię szczęśliwszym, niż byłeś kiedykolwiek. Dzieci rosną i odchodzą. Zapomnij o swoich córkach, zanim one zapomną o tobie. One cię nie kochają. Wiem, co mówię, jestem córką. Mój ojciec może zdechnąć”.

Gdyby wiedziała o wypadku Charlotte, byłaby w siódmym niebie. Odpisuję.
„Moje córki będą dla mnie zawsze na pierwszym miejscu”.

Kasuję jej numer telefonu z kontaktów i składam dymisję w *think tanku*.

Ty wiedziałaś, Diastole. Choroba cię zabrała, ale nie zwyciężyła. Stawiłaś jej czoło, zanim ona zniszczyła twój mózg. Muszę poznać prawdę. Tylko jedna osoba może mi ją zdradzić. Wysłałam SMS:

„Charlotte czuje się dobrze. Jak Pomme oparzyła sobie twarz?”.

Czekam z oczami utkwionymi w słupki zasięgu.

„Kot przewrócił kafeterkę”.

„To wersja oficjalna. Wierzysz w nią?”.

„Nie, Lou i Pomme zawarły pakt”.

Moje palce drżą, kiedy wystukuję kluczowe pytanie:

„Kto zdecydował o domu opieki?”.

Pociąg wjeżdża do tunelu, cały się gotuję aż do chwili kiedy znów pojawia się zasięg. Maëlle wysłała mi odpowiedź:

„Lou zdecydowała. Następnego dnia po tym, jak się poparzyły. Jo nie chciał się zgodzić”.

Pociąg toczy się przez wesołą bretońską wieś.

– Coś nie tak, proszę pana? – pyta kobieta w zielonych okularach, z którą zamieniłem się na miejsca.

Moje policzki są mokre od łez.



Jo, wyspa Groix

Wyciągnięto już dreny Charlotte. Wciąż istnieje ryzyko odmy opłucnowej, ale wszystko poszło dobrze. Dawny właściciel mojego nowego statku, stary wypiarz z Groix, który niegdyś pływał z moim ojcem, przekazuje mi kluczyki.

– Życzę, żeby dał ci tyle samo przyjemności, ile dał mnie. Ja nie będę już pływał, nie zamierzam zostać karmą dla ryb. Wystarczy, że pożarły moich kumpli. Wolę umrzeć we własnym łóżku. Wypijemy za to po szklaneczce?

– Innym razem, muszę udać się do Lorientu i zobaczyć się z wnuczką w szpitalu.

Dziś wieczorem zmienię nazwę statku. „Lou de mer” brzmi dumnie. Dzięki twojemu imieniu na burcie, na pokładzie nigdy nie będę sam.



Federico, wyspa Groix

– Czy to kino niczego ci nie przypomina? – pyta mnie Sarah.

Na skrzyżowaniu dwóch dróg pomiędzy restauracją, warsztatem „Rekin młot” i wynajmem rowerów, na tle nieba wyraźnie odcina się szara fasada. Jasnoniebieskie litery KINO RODZINNE ozdabiają fronton. Na podwójnych szklanych drzwiach naklejony jest plakat.

– Taka sama fasada jak Cinema Paradiso? – pytam.

– Brawo!

Kino na tej wyspie jest bliźniaczo podobne do kina z filmu Tornatore. Działa tylko w czasie wakacji szkolnych i jako klub filmowy podczas reszty roku. Plakat zapowiada, że dziś wieczorem w dawnej fabryce w Port-Lay odbędzie się święto zupy.

– Każdy przynosi zupę i próbuje zup innych uczestników. Miałbyś ochotę tam pójść? – proponuje.

Od wczoraj mówimy sobie na „ty”, ale spaliśmy w oddzielnych pokojach. Pomme tak bardzo spodobała się moja torba w kolorach Grifondoro, że jej dałem. Chciała mi ją odnieść do pokoju, żeby mi się przysłużyć, więc zapytała:

– Gdzie śpi Federico?

Ojciec Sarah słuchał. Sarah odpowiedziała:

– W błękitnym pokoju.

Poszedłem spać sam, wyobrażając ją sobie w czerwonej bieliźnie, którą nosiła w sylwestra, a potem już bez.

– Czekałem na ciebie tej nocy w moim błękitnym pokoju, Sarah.

– Ja czekałam na ciebie w brzoskwiniowym.

– Jakim cudem miałem wiedzieć, gdzie śpisz?

– Na końcu korytarza. Jest tam S na drzwiach, to mój pokój dziecienny.

Chwytam ją i całuję przed tą mityczną fasadą. To nie jest filmowy pocałunek, jest prawdziwy, taki, który Philippe Noiret w filmie odcenzurowałby z pewnością. Gdybyśmy nie byli u jej ojca, na pewno spędzilibyśmy cały dzień w łóżku. Gdybyśmy nie byli na wyspie, gdzie wszyscy się znają, wynajęlibyśmy pokój w hotelu.

A tak trzeba poczekać do wieczora.

W starożytnym Rzymie czas liczono od szóstej rano do południa i od południa do osiemnastej. Godziny nocne się nie liczyły. Dla nas będą liczyć się podwójnie.

Lubię pichcić, przeszedłem doskonałą szkołę u mojej mamy i moich czterech sióstr.

– Chcesz, żebyśmy na to święto przygotowali zimową zupę mojej ciotki Mirelli?

– Czego ci trzeba?

Wysłałam SMS do mojej kuzynki Carli. Kiedyś swoim niepowtarzalnym głosem dubbingowała filmy, teraz pomaga swojej mamie w restauracji. Odpowiada mi *subito*.

– Fasola w strąkach, prawdziwki, obrane kasztany jadalne, cebula, seler, czosnek, ostra papryka, surowa szynka, oliwa z oliwek.

– Bez problemu.

Jest dwadzieścia zgłoszonych zup plus nasza i stu pięćdziesięciu uczestników. Mieszkańcy Groix opróżniają swoje miski z przyjemnością, z naszego kociołka dochodzi wspaniały zapach. Pomme razem z dziadkiem zapewniają pierwszą część serwisu. Kosztujemy zupy z czerwonej kapusty, potem drugiej z kurczakiem, dynią i słodkimi ziemniakami. Mężczyźni odwracają się do Sarah.

– To jest córka Jo, Ko?

Ich śpiewny akcent brzmi trochę jak kantylena. Sąsiad od miski opowiada mi, że w średniowieczu zupą nazywało się kromkę starego chleba, która służyła za talerz, po posiłku szlachetnie urodzeni oddawali to biedakom albo zwierzętom. Kiedy pojawiły się pierwsze talerze z gliny, na dno wkładano chleb i na to wlewano bulion, ale zachowano nazwę zupa. Była też inna zupa, zwana *potage*, robiona na bazie jarzyn gotowanych w garnku, ale bez chleba.

Smakujemy zupę na bazie kolczocha i serka kiri, potem kolejną z omułków z Groix. Jeszcze inną z rukwi wodnej, gruszek i grzanek smarowanych serem bleu z Bresse i z przyprawą, którą Sarah nazywa *kari Gosse* ¹.

Zastępujemy Jo i Pomme. Trzy czwarte kociołka jest już puste. Jo podchodzi do znajomych, Pomme filmuje festyn swoim iPadem.

– Smakuje mi twoja zupa, Ko! – mówi mi jedna z wyspiarek.

Kuchnia mojej ciotki Mirelli jest naprawdę unikalna. Zanim otworzyła „Al Cantuccio”, była krawcową, traktuje składniki tak, jakby były z jedwabiu.

Smakosze wstają i intonują marynarską szantę:

– „Jestem korsarzem, co mnie obchodzi chwała i prawa świata i śmierć. W złotym pucharze ja wino piję, na oceanie zwycięstwo me”.

Głosy się dołączają. Klaskamy. Ktoś krzyczy:

– Teraz piosenka Michela Tonnerre! Piosenka Michto! *Mon p'tit garçon*.

Sarah wstaje, opiera się o stół i śpiewa gardłowym głosem:

– „Gdy na wybrzeżu zapada noc, ktoś tam na skrzypcach jeszcze gra, ale w Beudeff jest akordeon, to nie po piwie płynie ta łza. Bo akordeon starego Jo morską melodię starą gra, a w twoich oczach rozbryzgi fal, gdy na deszcz zbiera się aura zła”. – Kontynuuje, patrząc na mnie i kładąc nacisk na zdanie: – „No dalej, Joe, zaśpiewaj po irlandzku, nauczyłeś się, kiedy pływałeś, kiedy byłeś w Galway, kiedy byłeś na wachcie”.

Wytrzymuję jej spojrzenie. Podnoszą się inne głosy, ale ja słyszę tylko ją. Jakiś typ w wyblakłej kurteczce zwraca się do mnie.

– Twoja kolej – mówi, napełniając moją szklanę winem.

Mama wysyłała nas wszystkich ośmioro na irlandzki chór. Wstaję, oczyszczam głos. Intonuję klasyczną piosenkę *When Irish Eyes Are Smiling*:

*«There's a tear in your eye, and I'm wondering why,
for it never should be there at all...».*

Kończę piosenkę i siadam zdyszany, trochę straciłem formę.

– Śpiewaj dalej – mówi jedna z kobiet, której smakowała zupa Mirelli.

– Znasz piosenkę *Danny Boy*? – pyta mężczyzna w kurtce.

Wszyscy Irlandczycy to znają, śpiewa się ją na świętego Patryka.

Powoli kiwam głową.

– No to na co czekasz, gast (k...a). Na przyływ?

– Mój brat grał to kiedyś na saksofonie – szepcze Sarah.

Ostatnim razem kiedy słyszałem tę melodię, wraz z trzema braćmi niosłem na ramionach trumnę matki.

– Och! Proszę, niech pan śpiewa! – błaga Pomme.

Więc śpiewam, śpiewam dla nich obu:

*«Oh Danny Boy, the pipes, the pipes are calling, from glen to glen and
down the mountain side, the summer's gone and all the roses dying...».*

Rozmowy cichną. Pomme i Sarah nie spuszczają ze mnie wzroku.

Siadam wyczerpany. Facet w kurtce myśli, że Sarah to moja żona, nie mówię mu, że spotkaliśmy się dopiero trzy razy. Cyrian dzwoni z Paryża. Wraca do Lorientu pierwszym pociągiem. Dzwoni Albane, Charlotte czuje się lepiej. Sala intonuje kolejną piosenkę Michela Tonnerre:

Piętnastu chłopów na truposza skrzyni –

Ju-hu-hu, i butelka rumu!

Trunek i diabli resztę wykończyli –

Ju-hu-hu, i butelka rumu! ²

Mam wrażenie, że znam tę wyspę od zawsze.

Wracamy do domu nocą z garnkiem zupełnie już pustym. Sarah, Pomme, Jo i Maëlle śpiewają:

Było nas trzech marynarzy z Groix, ah ah ah ah

ah. Pływaliśmy na «Saint-François», ah ah ah ah ah.

Wieje wiatr, wieje wiatr. Dręczy nas od morza wiatr.

Dręczy nas od morza wiatr.

Wszyscy kładą się spać. Idę korytarzem do brzoskwiniowego pokoju.

– Mam niezmienną regułę – mruczy Sarah. – Nigdy nie spotykam się więcej niż dwa razy...

Mój pocałunek zamyka jej usta. Cudownie było czekać. Teraz jesteśmy parą, pocałunek w Wigilię i ten z pierwszego stycznia przypieczętowały nasz pakt. Wczepiamy się w siebie, splatamy ze sobą, rozpoczynamy szalony taniec olśnionych ciał. Leżymy przytuleni, rozbawieni, spełnieni, wreszcie dobiliśmy do portu. Wiatr od morza już nie będzie nas dręczył. Danny Boy nie pochylił się nad żadnym grobem. Mam w głębi oczu rozbryzgi morskich fal, ale brzoskwiniowy pokój rozświetlony jest słońcem. Usypiam, leżąc bokiem twarzą do Sarah, moje ramiona są jak cumy wokół jej talii.

1. [Mieszanka przypraw inspirowanych kuchnią indyjską, stworzona w XIX wieku przez aptekarza z Lorientu. \[wróć\]](#)
2. R.L. Stevenson, *Wyspa Skarbów*, tłum. A. Polkowski, Media Rodzina, 2014, s. 19. [\[wróć\]](#)



7 STYCZNIA

Pomme, wyspa Groix

Orkiestra wkrótce ma dać koncert. Ywes chce, żebym wzięła w nim udział.

– Nie jestem gotowa.

– Wręcz przeciwnie. Jesteś zdolna, Pomme.

– Zna pan piosenkę przyjaciela cioci Sarah *Danny Boy*? Pewnie jest za trudna dla debiutantki?

Ywes śmieje się w brodę. Przeszukuje bibliotekę i wyjmuje z niej broszurkę. Wertuje ją.

– Początkowo ta melodia była zatytułowana *The Londonderry Air*. Mam partyturę na saksofon altowy i pianino.

Siada do pianina i przegląda nuty, potem bierze saksofon i gra. To cudowne i rozdzierające. Ta porywająca i tęskna melodia daje odpowiedzi na pytania, których nie ośmielam się nawet zadać.

– Możemy zagrać to razem na koncercie, jeżeli zechcesz – proponuje Ywes.

– Ale ja tego nie umiem!

– To się naucz. Na co czekasz, na przypływ?



Albane, Lorient

Charlotte śpi. Analizy i badania wyszły dobrze. Drzwi się otwierają. Na palcach wchodzi Sarah, Joseph rozmawia teraz z kardiologiem. To wielka ulga

mieć w rodzinie lekarza. Wszystko jest łatwiejsze, bo on wie, jak się w tym połapać.

– Jesteś sama? – pytam. – Charlotte wyznała mi, że Pomme robiła wszystko, żeby przeszkodzić jej wejść na tę ścieżkę. Miałaś rację – miłość była silniejsza niż nienawiść. Straszne życzenie mojej matki zostało unicestwione. Powiedz Pomme, żeby jutro przyszła.

Sarah wkłada rękę do torby i wyjmuje dwa flakoniki, które rozpoznaję.

– Wyrzuciłam je...

– Ja je zabrałam. Miałam nadzieję, że w końcu zrozumiesz. Mam też jej list. Dasz to jej?

Zgadza się.



Sarah, wyspa Groix

Tata je kolację u Freda z „bandą z siódmego”. Ja też byłam zaproszona razem z Federico, ale woleliśmy zostać sami.

„Ocre Marine” w Locmarii została zamknięta. Ich naleśniki z serem camembert i karmelem na słonym maśle były cudowne. Zabieram Federico do innej naleśnikarni. Nie brakuje ich na tej skalistej wysepce.

– Na co miałbyś miał ochotę?

– Na grillowaną rybę.

– To jest naleśnikarnia.

– Więc może być makaron.

– W naleśnikarni je się tylko naleśniki – mówię.

– W pizzerii nie je się tylko pizzy!

– Nie chciałbyś zostać kilka dni dłużej?

– Bardzo bym chciał. To idiotyczne, ale mam dwie godziny wykładów pojutrze w Paryżu, a potem cały tydzień znów mam wolny.

– Jest wyjście. Kiedy byłam małą, ukradłam ojcu pusty druk recepty, żeby urwać się ze szkoły. Wszystko pięknie napisałam: „Ja niżej podpisany zaświadczam, że zbadałem dzisiejszego dnia małą Sarah, i stwierdzam, że ze względu na stan zdrowia konieczny jest jej całkowity odpoczynek w domu. Zaświadczenie wystawiam na prośbę zainteresowanej i przekazuję do jej rąk własnych”.

– I co? Zadziałało?

– Nie. Tekst był doskonały, ale zamiast podrobić podpis taty, podpisałam się swoim imieniem. To dopiero była głupota, ale tata dwa razy dolewał sobie twojej zupy, więc jeżeli grzecznie go poprosimy, da ci zaświadczenie. Żle wyglądasz, brakuje ci snu, potrzebujesz całkowitego odpoczynku w domowym zaciszu.



9 STYCZNIA

Pomme, Lorient

Popłynęłam na ląd razem z Jo na jego statku „Lou de mer”. Dziadek wprawdzie powtarza mi, że Albane życzyła sobie mojego przyjazdu, ale jestem niespokojna. Na szczęście nie ma jej, kiedy wchodzimy do sali. Moja siostra schudła i mówi cichutkim głosem, tak jak się rozmawia podczas lekcji w klasie.

– Dziękuję za twoją plażę – mruczy, wskazując flakoniki stojące na stoliku nocnym. – Boy i Lola nie przylecieli.

– Musieli pomylić piętra.

Siadam na jęczącym plastikowym krześle.

– Zostawiam was dziewczynki – mówi Jo.

Idzie porozmawiać z lekarzem. Opowiadam Charlotte, jak było na święcie zupy, i pokazuję filmik nakręcony moim iPadem. Widzi dekorację sali i słyszy, jak śpiewa Federico.

– Tata poprosił Jo, żebyś przyjechała odpocząć na Groix, kiedy stąd wyjdiesz.

– To prawda?

– Poprosił mnie, żebym wybrała sobie prezent za to, że ci pomogłam. Wybrałam właśnie to. Będziesz miała własnego lekarza w domu, to *cool*, nie?

– To nie pojedę do Vésinet? Jesteś niesamowita!

– Tata będzie przyjeżdżał w weekendy. Dostaniesz mój pokój na parterze, żebyś nie musiała chodzić po schodach. Jest tam *stal*, ale posprzątam dla ciebie.

– Co to jest *stal*?

– *Stal* to bałagan po bretońsku. Mama mówi, że to jakbyśmy byli na *strouilh*.

– Gdzie?

– Na śmietniku. Tam, gdzie fabryki konserw wyrzucały kiedyś resztki tuńczyka.

– Na parterze będę daleko od mamy! – cieszy się Charlotte.

– Ktoś tu o mnie coś mówi? – pyta Albane, otwierając drzwi.

Usłyszała? Charlotte robi się czerwona. Wstaje, sprawiając, że paskudne krzesło znów jęczy, i odsuwam się pod ścianę. Jej spojrzenie nie jest już mordercze, ale wolę mieć się na baczności.

– Muszę cię przeprosić, Pomme – mówi nagle.

Mam nadzieję, że wejdzie Jo.

– Wybacz mi, proszę – mówi dalej. – Charlotte opowiedziała mi wszystko. Byłam niesprawiedliwa. Oskarżałam cię bezpodstawnie, tak bardzo się bałam...

– Coś ci przyniosłam – mówię do Charlotte, żeby trochę rozluźnić atmosferę.

Podaję jej puszczkę konserwy, którą kupiłam w Escargoterie w Kerbus.

– Charlotte musi jeść szpitalne jedzenie – wtrąca się Albane.

– To, co jest w puszcze, nie jest do jedzenia.

Charlotte czyta: „Powietrze jodowane, pochodzenie: wyspa Groix”.

– Ta puszka zawiera powietrze. Ale fajnie!

– Z głębi serca ci dziękuję, Pomme – ciągnie Albane.

Jej komplementy mnie krępują, więc ją uspokajam:

– Jestem zachwycona prezentem. Niczego innego nie potrzebuję.

– O jakim prezencie mówisz?

– Charlotte przyjedzie na rekonwalescencję na Groix.

– Dziadek będzie mnie leczył. Będę miała prywatnego lekarza, jak gwiazdy z Hollywood – szepcze zachwycona Charlotte.

Albane patrzy na nas przez dłuższą chwilę, potem wychodzi z pokoju.

– Nie wiedziała – mruczy Charlotte.

Dlaczego tata nic jej nie powiedział?



Albane, Lorient

Cyrian tłucze w klawiaturę swojego przenośnego komputera, siedząc przy stole w kawiarni. Widzę przed nim puste filiżanki. Ma plamę na rękawie, zmarszczone brwi, poobgryzane paznokcie u kciuków. Widzę jego bladość, jego urok, nowe zmarszczki na czole. Nadal mimo wszystko kocham tego człowieka.

– Cyrian?

Podnosi głowę i przypomina sobie, że dla mnie nie istnieje. Jego uśmiech znika. Patrzy na zegarek ze zdziwieniem.

– Już czas cię zastąpić?

– Pomme jest u Charlotte.

Zamyka komputer, odsuwa dokumenty, wstaje jak dżentelmen. Ja siadam.

– Wygląda na to, że Charlotte myśli, iż spędzi rekonwalescencję na Groix – mówię oschłym tonem.

– Chciałem z tobą o tym porozmawiać. Chirurg uważa, że to dobry pomysł. Systo... Mój ojciec też.

– Myślałam, że załatwiłeś wszystko ze szpitalem w Le Vésinet. Zamierzałeś mnie o tym powiadomić w ostatniej chwili? Chciałeś mnie postawić przed faktem dokonanym?

– Nie będziesz musiała mnie widywać w ciągu tygodnia, powietrze na Groix jest lepsze. Obecność taty z pewnością będzie dla ciebie pomocą, a Pomme dobrze wpłynie na Charlotte. W Vésinet w nocy byłaby sama. Na Groix będzie z tobą – argumentuje Cyrian.

To, że nie będę widywać męża, na pewno będzie dla mnie ulgą, to prawda. Joseph jest świetnym kardiologiem to pewne. Kiedy weszłam do pokoju, Charlotte uśmiechała się dzięki Pomme.

– Zastanowię się – mówię. – Byłam niesprawiedliwa wobec Pomme. Mam nadzieję, że mi to wybaczy.

– Brakuje mi ciebie, Albane.

Wychodzę z kawiarni, nic nie mówiąc.



10 STYCZNIA

Pomme, wyspa Groix

Regularnie ćwiczę z orkiestrą i czuję się coraz pewniej. Tak jest łatwiej, bo nawet jak się pomylę, to tego nie słyhać. Zrozumiałam, co trzeba zrobić, żeby dogonić innych. Robię postępy z partyturą *Danny Boy*. Przy akompaniamencie pianina Ywesa cwałuję na spienionych morskich falach. Ta melodia jest tak samo magiczna jak ciasto Martine. Kiedy ją gram, serce mi bije w rytm melodii saksofonu, tak jakbym się nie bała, że Groix może oderwać się od morskiego dna, jakby tata mieszkał z nami przez cały rok, jakby Lou nie umarła.

Federico zostaje na kilka dni dłużej, ciocia Sarah chodzi o wiele lepiej, odkąd on tu jest. Charlotte i Albane przyjeżdżają jutro. Mama przeprowadza się do Locmaria, ale codziennie będę się z nią widywać. Tata będzie przyjeżdżał w piątek wieczorem i będzie spał w swoim pokoju. Albane zamieszkała w błękitnym pokoju, bo tata chrapie i to jej przeszkadza spać. Jest u nas teraz prawdziwa zabawa w krzesła, ja zamieniłam się pokojem z Charlotte, Federico opuścił pokój błękitny i teraz będzie spał z ciocią Sarah w pokoju brzoskwiniowym. Tylko Jo został w swoim własnym pokoju.



12 STYCZNIA

Charlotte, wyspa Groix

Przyjechałam porsche cayenne, siedząc z przodu na miejscu mamy. Tata mówił, że byłam zabezpieczona i zadowolona jak pączek w maśle, ale jeżeli pączek ma być usmażony w tym maśle, a potem zjedzony, to nie rozumiem, dlaczego miałby być zadowolony. Dziadek nie lubi tego samochodu, nazywa go czołgiem bojowym, ale tym razem nic takiego nie powiedział. Na statku zjechałam windą, zamiast zejść schodami, i nawet nie wyszłam na pokład. Rozgościłam się w pokoju Pomme. Zauważyłam zdjęcie naszego taty przyklejone do boku etażerki. Widać je tylko, kiedy się leży na łóżku. Nie powiedziałam mu o tym.

Tak bardzo marzyłam, że tu wrócę, ale nic nie jest takie jak w marzeniach. Czuję się jak jakaś trzydziestoletnia staruszka. Nie mogę biegać ani spacerować, nie mogę nawet podnieść talerza. Trzeba mi pomagać przy myciu, wpadam w panikę, kiedy Hopla podbiega do mnie, żeby się pobawić, przy oddychaniu czuję ból. Kaszel to prawdziwa tortura. Cieszyłam się na spotkanie z Pomme, ale teraz sprawiam jej zawód. Jestem słabsza od dziadka. Za dwa dni zdejmie mi szwy zewnętrzne, te wewnętrzne się same zresorbują, rozpuszczą się. Dziadek ma pewną rękę. Będę się trzęsła, ale przyjmę to ze stoickim spokojem. Stoicki, tego słowa nauczyła mnie Pomme. Podobają mi się dwie kropki nad tym wyrazem *stoïque*, lepiej być we dwie niż w pojedynkę. Lepiej mi z Pomme niż samej w Le Vésinet.

Jo dał mi karmelki z Groix z czekoladą peruwiańską i pistacjami, przepyszne! Daje mi leki, które zmniejszają ból. Kinezyterapeuta jest miły,

jestem jego najmłodszą pacjentką na wyspie. Uczy mnie odpluwać, abym pozbyła się wydzieliny i mogła uniknąć infekcji. Mówi, że za sześć tygodni będę normalnie oddychać. Oddychałam od urodzenia i nawet nie zdawałam sobie z tego sprawy, a teraz dzięki niemu dowiaduję się mnóstwa różnych rzeczy. Nie oddychamy wszyscy tak samo, to zależy od wieku. Malutkie dzieci oddychają szybciej niż starsze, a te z kolei oddychają szybciej niż dorośli. Wciąż jestem zmęczona i jeszcze przez jakiś czas nie wrócę do szkoły. Boję się, że już nigdy nie będę biegać, krzyczeć ani tańczyć. Zastanawiam się, czy to samo czuje ciocia Sarah, kiedy inni biegają. Gdyby babcia tu była, to jej bym o tym opowiedziała, ona wszystko rozumiała. Wydaje mi się, że o mało do niej nie dołączyłam.

Pomagam Pomme uczyć się wiersza do szkoły:

*Droga jest po to, by nią iść, bo jest płaska. Droga jest po to, by nią jechać, bo jest kręta. Widziałeś, żeby słońce mówiło: Jestem zmęczone? Widziałeś, żeby księżyc spał pod dachem?*¹.

Mam dobrą pamięć, więc szybko się uczę i recytuję cały tekst za pierwszym podejściem. Pomme wymachuje rękoma i udaje niewidzialną publiczność. W jej wierszu wszystko się porusza, droga, słońce, księżyc. Ja siedzę uwięziona w swoim pokoju jak motyl przypięty szpilką do korkowej tablicy.

1. Jean Richepin, *Chanson de la route* [Pieśń o drodze]. [\[wróć\]](#)



22 STYCZNIA

Cyrian, wyspa Groix

Kiedy widzę nazwę statku na burcie, serce ponownie mi się ściska. „Lou de mer”. Nie jestem lepszym ojcem niż on, ale on był lepszym mężem niż ja. Chronił mamę do samego końca. Zaczynam się nawet zastanawiać, czy naprawdę ją zdradził.

Charlotte nie ma humoru. Pomme robi wszystko, aby ją zabawić. Hopla przynosi jej zabawki i nie może zrozumieć, dlaczego już mu ich nie rzuca.

– Chcesz stanąć za sterem? – proponuje mi Systole.

– Nie poradziłbym sobie.

– Masz patent żeglarski, prawda? O tej porze promy już nie pływają. Nie mów, że się boisz?

I znów zadziałało to, co kiedyś, kiedy skakałem z najwyższego pomostu albo rzucałem się do balastowania na żagłowie, żeby mu udowodnić, że nie jestem tchórzem. W porcie szybkość jest ograniczona do trzech węzłów.

Dodaję gazu w kanale portowym, potem, kiedy płynę po Courreaux i jesteśmy z dala od wybrzeża, przyspieszam. Statek drży pod moimi stopami. Płynię na grzbiecie fali, znów dodaję gazu. „Lou de mer” staje dęba, ale ja nad nim panuję.

– Cudownie, prawda?! – wykrzykuje ojciec.

Kiwam głową, koncentrując się, żeby rozpoznać boje. Kardynalna północna dwie strzałki w górę, kardynalna południowa dwie strzałki w dół, to łatwe. Kardynalna wschodnia ma swoje strzałki ustawione w górę i w dół, a kardynalna zachodnia do środka.

Systole mi nie pomoże, znam go – pozwoli mi zatopić swój statek, a potem dobije mnie wyzwiskami.

– Miałaś rację z tym domem opieki! – wrzeszczę, aby przekrzyczeć silnik. – Mama sama chciała tam iść.

Stoi za mną, więc nie widzę jego reakcji. Prowadzę samodzielnie nocą statek do jego wyspy. Moje ręce zeszywniały od tego, jak trzymam koło sterowe. Odwracam się, zbliżając do Groix, i przypominam sobie: „Wchodząc do portu, trzeba włożyć zielony trykot i dwie czerwone pończochy”.

Zielony trykot to zielony stożek na prawej burcie, a czerwone pończochy to czerwony cylinder na lewej ¹.

– Tato, twoja kolej, przybij do portu.

– Załatw to sam.

– Już dziesięć lat nie manewrowałem w porcie. Nie sądzisz, że to jednak nie jest rozsądne?

– Boisz się, synku?

Znowu to samo. Zgrzytam zębami. Zwalniam, kieruję się na nabrzeże pod kątem 45 stopni, ustawiam się na martwy punkt, żeby uzyskać pozycję równoległą, trochę podciągam, potem włączam na chwilę wsteczny, żeby zatrzymać statek.

– Świetna robota.

Systole wysiada z zadziwiającą zręcznością jak na jego sześćdziesiąt lat i cumuje statek.

– Niczego nie zapomniałeś – stwierdza.

– A jak układa się wam z Albane?

– Jest uśmiechnięta, usłużna, sympatyczna, nie rozpoznaję twojej żony. Lou i Thierry umieją ocenić człowieka.

– A co do tego ma twój kolega Thierry Serfaty? Ledwie ją zna!

Czy mój ojciec też traci pamięć?

– Jest wielkim znawcą duszy ludzkiej, Cyrianie. Lou uważała, że Albane jest szlachetna. Jestem pewien, że Thierry by się z nią zgodził.

– Wy jesteście otoczeni przyjaciółmi, mama i ty, ja swoich straciłem. Moja żona i córka też ich nie mają. Dlaczego?

– Ty kiedyś miałeś przyjaciół, a Charlotte odkrywa, co to jest przyjaźń, przy Pomme. To przyspieszy jej rekonwalescencję.

Razem kierujemy się ku domowi. Przechodzimy koło „Ty Beudeff”. Gdyby nie to, że mam ochotę jak najprędzej ucałować Charlotte, to po raz pierwszy w życiu zaprosiłbym ojca na drinka.

Moje córki są w kuchni wraz z Sarah i Federico. Grają w *burraco*, włoską grę podobną do kanasty. Charlotte uśmiecha się, widząc, że wchodzę. Chce wstać, ale rezygnuje zgięta w pół. Całuję ją w czoło. Znowu schudła. Pomme czeka na swoją kolej, ją też całuję w czoło.

– Gdzie jest Albane?

– Poszła śpiewać z chórem La Kleienn.

Ja chyba śnię. Moje córki się kochają. Ojciec uważa, że moja żona jest sympatyczna. Ona sama śpiewa sobie piosenki z ludźmi z wyspy, których zna zaledwie od kilku dni, a przez dziesięć lat mieszkania w Le Vésinet nie zapalała sympatią do nikogo, nawet do ludzi mieszkających na tej samej ulicy.

– Dasz nam skończyć partyjkę? – pyta Sarah.

Cieszę się, widząc, jak są sobie bliscy, ale ja czuję się odrobinę zbyt czyny. Biegłem jak wariat z biura na dworzec Montparnasse. Całą drogę w pociągu wyobrażałem sobie moment powitania, a teraz traktują mnie jak piąte koło u wozu.

Pomme wrażliwa i wyczulona jak mało kto przeprosza mnie wzrokiem.

Charlotte o szarej cerze zostaje przywołana do porządku przez moją siostrę.

– Właśnie spuszcza im ostre lanie. Skoncentruj się, moja bratanico, inaczej będzie paskudnie!

– Wygrywamy, tato! Ciocia Sarah mówi, że mamy pieprzone szczęście! – krzyczy moja mała ranna dziewczynka.

Jeżeli użyje takiego języka przy swojej matce, ta na pewno zwróci jej uwagę.

Do kolacji siadamy dopiero za trzy kwadranse, jak wróci Albane. Idę na dzikie wybrzeże. Mijam warsztat dmuchacza szkła. Damien jedenaście lat temu wykonał mój pierwszy prezent dla Maëlle, naszyjnik z prześwitujących pereł w kolorze jej oczu. Stworzył też bransoletkę, którą ofiarowałem Albane tego dnia, kiedy po raz pierwszy zobaczyła Groix. Ten facet ma bardzo liczną rodzinę, ale uśmiecha się bez przerwy. Ja partaczę wszystko, co jest związane z moimi córkami, i bez przerwy marudzę. Czyżby tu właśnie tkwił błąd? Tuż obok mnie zatrzymuje się samochód.

– Cyrian?

Szczere spojrzenie, rude włosy pod turbanem, kobieta niewysoka, a wielka duchem. To Martine, twoja przyjaciółka od *magical cake*. Mieszka w Lomener z mężem Olivierem, który jest gitarzystą.

– Podwieźć cię gdzieś?

Czy to Lou mi ją podesłała?

– Idę do Locmaria.

– Wsiadaj.

Króliki biegają po poboczu krętej drogi. Zawraca przy wjeździe do Locqueltas, mija Kermarec, jedzie w kierunku Locmarii.

– Jo nas trochę zaniepokoił, ale już jest lepiej – mówi.

Dretnieję.

– Pracuję w Paryżu, nie mogłem się nim zaopiekować – odpowiadam w odruchu obronnym.

– Oczywiście, że nie, powiedziałam to, żeby cię uspokoić! Wspieramy się tu nawzajem. Tęsknimy za Lou. Któregoś roku napisałam na konfiturach:

„Gruszki, banany, uściski”. Ona dała mi słoik z napisem: „Duszone jabłka, Kalwados, cynamon i przyjaźń”.

- Wyrzuciłaś do śmietnika, choć powiedziałaś, że pyszne?
- Oczywiście, że tak!

Wysadza mnie w Locmarii. Na parterze domu pali się światło. Z komina unosi się dym. Mam mnóstwo dobrych wspomnień związanych z tym domem. Znow widzę babcię Maëlle, a więc prababcię Pomme, z koronkowymi skrzydełkami bretońskiego czepca we włosach. W niedzielę nosiła wysoki czepiec. Opowiadała nam o swoim dzieciństwie, o chłopcach, którzy rozbijali dzbany na wodę, wracając od źródła, o wspólnie wypiekanych ciastach, często pomieszanych potem w piecu piekarza, o wielkich rodzinach w maleńkich domach w osłoniętych od wiatru wioskach.

Nosiła się jak królowa. Znow widzę siebie, jak rzucam kamykami w szyby okna Maëlle, żeby do mnie wyszła w nocy. Widzę jej rodziców, którzy zginęli w lawinie, kiedy Pomme miała kilka miesięcy. Po raz pierwszy pojechali w góry, bo wygrali wycieczkę. Jej ojciec przeżył morskie burze po to tylko, żeby zginąć gdzieś na szczytach gór. Byłem już wtedy z Albane, ale nie wiedziałem, że oczekuje Charlotte. Miałem nadzieję, że wreszcie Maëlle do mnie przyjedzie, bo nie było już jej rodziców, którzy trzymaliby ją na Groix. Nie doceniłem mocy duchów. Gdyby żyli, może kiedyś by ich opuściła. Kiedy umarli, nie była w stanie zbyt daleko od nich odejść. Pukam do drzwi.



Maëlle, wyspa Groix

Co on do cholery tu robi?

- Wszystko w porządku z Pomme? – pytam zaniepokojona.

– W jak najlepszym. Mogę wejść?

W salonie nadal stoją meble rodziców, ale inaczej ozdobiłam sypialnię i odnowiłam łazienki w pokojach gościnnych. Wskazuję gościowi fotel mojego ojca.

– Usiądź. Nie wróci, żeby skopać ci tyłek.

Ojciec gonił go aż na plażę, żeby mu przyłożyć, bo nie wróciłam na noc, ale Cyrian szybko biegał. Pogodzili się, szanowali, podczas gdy z własnym ojcem Cyrian był w otwartym konflikcie.

– Dziewczyny grają w karty, Albane jest na chórze.

– A ty czujesz się opuszczony. Co cię sprowadza?

– Chcę zawrzeć pokój.

– A to jest jakaś wojna między nami?

Patrzy na zdjęcia w ramkach. Moi rodzice, babcia w czepcu, Pomme w każdym wieku.

– Wyjeżdżasz z miasteczka, kiedy ja przyjeżdżam, nie chcesz brać pieniędzy na wychowanie mojej córki. Uciekasz przede mną.

– Gdybyś po mnie przyjechał, wróciłabym do miasteczka. Pomme nie jest twoją córką. Jest naszą córką. Gdybyś postawił sprawę inaczej, zaakceptowałabym twoją pomoc. I nie, nie uciekam przed tobą, staram się unikać twojej żony.

– Wyznaczyłaś mi brzydką rolę. Rolę wrednego typu, który porzuca swoje dziecko.

– Nikogo nie porzuciłeś, to ja nie chciałam jechać za tobą. Pomme jest świetną dziewczynką. Wiedziałbyś, gdybyś widywał ją częściej niż cztery razy do roku.

– Jest do ciebie podobna. Straciłem ciebie i od początku wiedziałem, że stracę i ją.

– Zamknąłeś się w swojej wieży z Albane i Charlotte.

Proponuję mu papierosa. Odchyła głowę do tyłu, wyciąga swoje długie nogi w kierunku kominka i pali papierosa, delektując się nim.

– Przyszedłem ci też podziękować. Pomagałaś Lou i zaopiekowałaś się moim ojcem, choć ta rola powinna przypaść mnie.

– Są dziadkami Pomme, zajęli się mną po śmierci rodziców. To ja jestem im wdzięczna.

– To, co ci powiedziałem w dzień wypadku, że cię kocham, to jest to, co myślę naprawdę – mruczy.

– Ja także, ale jesteśmy nie do pogodzenia.

– Wiem. Masz kogoś?

– Nie w tej chwili, ale miałam. Pomme o tym nie wiedziała.

– Stracę Albane.

– Zależy ci na niej?

– Nie zdawałem sobie z tego sprawy, ale tak.

– Walcz o nią.

– Zdradziłem ją, wiedziała o tym i akceptowała to. Już jej nie zdradzam, ale ona mnie nie znosi. Sądziłem, że kocha mnie na śmierć i życie.

– Wy, faceci, jesteście niesamowici! Zadaj sobie trochę trudu, żeby ją odzyskać, zamiast się skarżyć. Uwiedz ją tak, jakbyś ją spotkał po raz pierwszy. Masz asa w rękawie, przyjacielu, jesteś ojcem jej córki!

– Nie jestem twoim przyjacielem – odpowiada Cyrian żartobliwie.

Patrzę na niego znów z czułością.

– Czas, żebyś nim się stał, bo ja też mam asa w rękawie – jestem matką twojej córki.



Charlotte, wyspa Groix

Federico i Pomme pobili nas w *burraco*. Ciocia Sarah jest wściekła.

– Gdzie się podział twój ojciec? – dziwi się mama po powrocie.

Od mojego wypadku, mówiąc o nim, nie używa jego imienia.

– Wyszedłem się przewietrzyć, podczas gdy moje córki robiły za klientki szulerni! – krzyczy tata, otwierając drzwi.

Od wypadku mówi „moje córki”, w liczbie mnogiej. Marszczę nos.

– Palileś, tato?

– Tylko jednego papierosa.

– To bardzo niedobre dla Charlotte! – protestuje mama.

Tata zbliża się, żeby ją pocałować, ale ona odwraca głowę i otwiera szafę na talerze. Pomme zbiera karty i układa nakrycia. Ja jestem bezużyteczna.

– Pójdę po sweter – mówię.

– Może ja pójdę – proponuje Pomme.

– Który chcesz? – śpieszy z pomocą mama.

– Jest rekonwalescentką, nie jest z cukru – wtrąca się dziadek. – Pokój jest na parterze, nie zmęczy się.

Wstaję powoli i idę do sypialni, gdzie siadam na łóżku, żeby uspokoić oddech. Teraz, z powodu moich żeber, noszę tylko swetry rozpinane, bo nie byłabym w stanie wciągnąć golfu ani innego swetra wkładanego przez głowę. Pomme zostawiła mi półkę w swojej szafie. Zauważam pomarańczowy polar, który miałam na sobie, kiedy spadłam. Był cały w trawie, ziemi i krwi. Ktoś musiał go uprać, czeka na mnie czysty, równiutko złożony, kuszący. Wkładam ogrom wysiłku w to, żeby go włożyć. Ktoś puka do drzwi.

Tata siada obok mnie.

– Ciężko, co, pchełko?

Zupełnie nie mam siły. Kinezyterapeuta mówi, że to minie, ale tylko tak gada. Zawiodłam Pomme, nie mogę nawet wyjść na dwór.

– Sądzisz, że kiedyś będę mogła oddychać tak jak dawniej?

– Będziesz się leczyć, jeść, spać. Znów sobie zaufasz i odzyskasz dawne życie. Masz swój iPad. Pokażę ci, co mnie pomaga, kiedy mam paskudny humor.

Klika w ekran i podaje mi. Widzę rozjaśnione nabrzeże, światła, które migają: jedno zielone, drugie czerwone, widzę zacumowane żagłowce, widzę pławy.

– To kamera internetowa, pokazuje teren od Cap-Lorient do Port-Tudy. Masz tu niczym nieprzesłonięty widok na port w Groix w czasie rzeczywistym.

– Patrzysz na to, kiedy jesteś smutny?

– Tak, i rano, i wieczorem. Widzę, jak przybijają tankowce, widzę, jak wysiadają pasażerowie i samochody, patrzę, jak marynarze wyładowują towary. Widzę, jak żagłowce i statki rybackie wychodzą z portu i przybijają do brzegu. Widzę, jak deszcz drży na wodzie albo jak słońce ją rozświetla. Mogę obserwować życie za dnia i bezseny ocean nocą. Raz widziałem nawet Pomme i „Granny”, i twoją babcię, jak parkowały, żeby kupić bilet na prom.

– Byłeś zielony?

Patrzy na mnie przerażonym wzrokiem.

– Jabłko jak Pomme i „Granny” jak babcia, czyli jabłko Granny Smith! Tak bardzo żałuję, że zeszałam do tej dziury. Wcześniej byłam w więzieniu z powodu mamy, ale mogłam przynajmniej oddychać.

– W więzieniu? – pyta zaskoczony.

A przecież mieszkał z nami. Nie zdawał sobie z niczego sprawy?

– Nie mam prawa mieć przyjaciół. Nie mogę jeść w szkolnej stołówce. Nikogo nie wolno mi zapraszać ani chodzić do nikogo. Jestem mamusią laleczką.

– Chyba trochę przesadzasz? – dopytuje, uśmiechając się.

– Teraz będzie jeszcze gorzej. Mama zamknie mnie na klucz, aż skończę osiemnaście lat.

- A potem co zrobisz?
- Wyjadę tak daleko, że nigdy mnie nie odnajdzie. Adres dam tylko Pomme.
- A mnie nie?
- Ty czułbyś się w obowiązku przekazać go mamie.

Uśmiech taty znika.

– Czyli mam tylko dziewięć lat, żeby przeszkodzić ci zniknąć? – pyta poważnie.



Lou, tam, gdzie idzie się potem

Początkowo jeszcze się do mnie zwracaliście, teraz należą już do przeszłości. Już nie myślicie „To by Ci się spodobało”, ale „Mama albo Lou byłaby z tego zadowolona”. Jeszcze tylko ty jeden zwracasz się do mnie bezpośrednio, mój przybracielu. Takie jest życie, to znaczy, taka jest śmierć.

Spotkaliście się w domu wszyscy razem, to mi rozgrzewa duszę. Stawiacie sobie czoło, kłócicie się, doświadczacie gwałtownych uczuć. Jesteście w pułapce tego samego labiryntu co kiedyś, ale teraz trzymacie się za ręce. Przynajmniej już nie jesteście samotni.



Albane, wyspa Groix

Drzwi błękitnego pokoju otwierają się ze skrzypieniem i nagle się budzę.

- Kto tam?
- Cyrian.

Zapalam światło. Stilnox mnie otępia.

– Charlotte czuje się gorzej?

– Śpi. Ubierz się. Muszę z tobą porozmawiać.

Mój mąż ma na głowie marynarską czapeczkę, na twarzy trzydniowy zarost, można by powiedzieć, że to model z reklamy wody toaletowej.

– Nie rozmawiasz z ludźmi w pizamach?

– Zabieram cię na zewnątrz.

– W nocy? Piłeś coś?

– Nawet nie. W niedzielę wyjeżdżam, wtedy będziesz spała spokojnie, no, już! Chodź.

Nie zostawi mnie, jest uparty. Ubieram się, marudząc, spowolniona przez działanie leku nasennego.

– Ubierz się ciepło. – Podaje mi szal i marynarkę.

Wychodzimy. Wiatr oszalał szczęśliwy, że ma nowe zabawki do przewracania. Cyrian otacza mnie ramieniem i prowadzi w kierunku ulicy.

– Schodzimy do portu.

Zimno zamraza moją krew i wszystkie te chemiczne cząsteczki, które miały sprawić, że będę spała jak dziecko, a nie jak przerażona matka. Idę, potykając się wzdłuż drogi, podtrzymywana przez mężczyznę, którego kocham, ale którego wkrótce porzucę.

Port jest pusty, ale pełen dźwięków. Wanty uderzają o maszty, kadłuby trzeszczą. Nie ma żadnego kota, marynarza, żadnej mewy, tylko dwoje idiotów, którzy siadają na nabrzeżu z nogami spuszczoneymi w pustkę. Zielone światło z lewej mruga walecznie.

– Charlotte ma kiepski nastrój, Albane.

– W cieple własnego łóżka też mogłabym to potwierdzić.

– Przed wypadkiem czuła się jak w więzieniu. Boi się, że teraz będzie jeszcze gorzej.

– Myli się – mówię z sarkazmem. – Udowodniła nam, że można jej zaufać. Zapiszę ją na skoki na bungie i na lotnię. Musi rozwinąć skrzydła!

– Ma silne serce, Albane. Żebra się zrosną. Ma energię, przeżyła. Ona to nie Tanguy.

Usiłuję wstać, ale on przewidział moją reakcję, przytrzymuje mnie, więc znów siadam. Przytula mnie do siebie.

Siedzę wściekła, dysząca i zła. Mam zamglone oczy.

– Chciałbym znać twojego brata, uczynić cię szczęśliwą, sprawić, by Charlotte i Pomme były lekkie i wolne. Wczoraj przed obiadem byłem u Maëlle w Locmarii.

– Zejdziecie się? – pytam tonem, który ma udawać obojętność.

– Z nikim nie mam zamiaru się schodzić. Ty jesteś moją żoną i kocham cię. Już czas, żebyśmy stali się przyjaciółmi, Maëlle i ja.

Przybliża swoją fascynującą twarz do mojej. Gdybym chciała, mogłabym go zepchnąć z nabrzeża do tej lodowatej wody i poszedłby na dno. To byłaby idealna zbrodnia. Port jest pusty, wróciłabym położyć się do swojego pokoju, a rano zdziwiłabym się wraz z innymi jego nieobecnością. Ta jego dziwka czekałaby na niego na próżno.

– Daj mi jeszcze jedną szansę, Albane. Zaczniemy od zera. Zmienię się. Wszystko jest jeszcze możliwe. Nie chcę was stracić.

– A ta twoja kurewka?

– Już ci mówiłem, że to skończone.

– Dlaczego tak ci zależy, żebyśmy rozmawiali akurat tutaj?

Odwraca się i pokazuje kamerę za nami.

– To portowa kamera internetowa. Miałem za złe Groix, że odebrała mi matkę. Miałem żal do Maëlle z powodu Pomme, ale jestem przywiązany do tego kamienia, tu wyrosłem, tu są moje korzenie. Co wieczór i co rano patrzę na port i wyobrażam sobie, jak wpływam do niego statkiem. To moja przystań,

moja ucieczka.

Rozkłada ręce na kształt litery V.

– Kamera filmuje dokładnie tę część nabrzeża, gdzie jesteśmy, aż do tego statku na prawo. Jesteśmy na pierwszym planie. Tu się nie oszukuje, tu mówi się prawdę.

– Gdybym cię zepchnęła do wody, setki internautów by mnie zobaczyły?

Nagle całuje mnie tak jak kiedyś. I ja się na to zgadzam. Bo Charlotte jest bezpieczna w domu, bo ma osobistego lekarza, bo zamierzamy tutaj i dlatego, że znów jest nas dwoje.

Idziemy w górę ulicy do miasteczka. To nie mogę być ja, ta kobieta przytulona do swojego mężczyzny w tej wyspiarskiej ciemności. To nie może być on, ten mężczyzna ognisty i czuły. To nie mogę być ja, ta kobieta tak niecierpliwie czekająca na to, by ją rozebrał.

I jest to coś nie do uwierzenia, nie do upragnienia, ten ogień i pocałunki, jakby to był pierwszy raz, z cudowną niezręcznością i pełnymi żaru odkryciami. Poznajemy się w pierwszy poranek świata. Już się nie boję przekleństwa rzuconego na mnie przez oszalałą z bólu matkę. Charlotte ma całe życie przed sobą. Znów mogę się zapomnieć. Miłość jest silniejsza od nienawiści.



Charlotte, wyspa Groix

Kiedyś spałam na boku, teraz muszę spać na plecach i dlatego mam lekki sen. Słyszę, jak otwierają się drzwi domu, a po chwili się zamykają. Rozpoznaję głosy rodziców, mówią cicho, ale ja słyszę bardzo dobrze. Gdzie oni idą w środku nocy?

Czekam. Nie wracają. Może mama poprosiła tatę, żeby skoczył przez Trou de l'Enfer? Może pozabijają się nawzajem na wrzosowisku? Jeżeli oboje umrą, to gdzie ja będę mieszkać? Babci już nie ma, dziadek nie może się mną zająć. Sarah uważa, że jestem łajdackim smarkaczem. Nie jestem spokrewniona z Maëlle. Babcia, mama mamy, nienawidzi dzieci. Do kogo trafi Hopla? Wsadzą go do klatki i zamieszka razem ze mną w sierocińcu? Zrobią mu zastrzyk, a ja będę płakać i wypłaczę oczy. To głupie określenie, nie można wypłakać oczu. Pomme nie będzie nawet wiedzieć, gdzie jestem. Już nigdy się nie zobaczymy. Właściwie moja złota klatka nie była taka zła. Mama za bardzo się o mnie martwi, ale jednak mnie kocha, taty nigdy nie ma, ale nas lubi.

Już sama myśl o tym sprawia, że serce zaczyna mi walić jak oszalałe. Jeżeli puszczą szwy i wszystko z niego wycieknie dołem jak ze skarpetki? Chirurg założył mi szwy na krzyż czy na okrętkę jak okręty z Groix? Muszę się uspokoić. Testuję pomysł taty. Biorę iPada i wchodzę na kamerę w porcie Groix. Widzę jakiegoś pana i panią od tyłu, patrzą na wejście do portu, siedząc obok siebie. Obraz zastyga. Tata mi wytłumaczył, że te obrazy trwają sześćdziesiąt sekund i są aktualizowane co dwie minuty. Kobieta chce wstać, ale mężczyzna ją przytrzymuje. Ona przypomina mi... mamę? A ten pan... to tata?

Obraz zastyga. On się odwraca, ona też. Obraz zastyga. On jej pokazuje kamerę, macham do nich ręką, ale mnie nie widzą. Obraz zastyga. Teraz widzę, jak się całują, błeee. Obraz zastyga, odchodzą przytuleni, objęci.

Dobrze widziałam czy zaczyna mi odbijać? Znów słyszę, jak otwierają się, a potem cichutko zamykają drzwi domu. Słyszę ich szepty i zduszone śmiechy. Wchodzą na górę. Tata nie skoczył przez Trou de l'Enfer, nie pozabijali się, nie pójdę do sierocińca, Hopla nie będzie uspiiony. Zostaniemy wszyscy czworo. Tata miał rację, ta kamera internetowa poprawia humor.

1. Znaki boczne systemu oznakowania nawigacyjnego IALA. [\[wróć\]](#)



30 STYCZNIA

Pomme, wyspa Groix

Boję się. Ćwiczyliśmy przez cały rano. Koncert miał się odbyć na zewnątrz, ale leje jak z cebra, więc zebraliśmy się w sali balowej. Muzycy i chórzyci ubrani są na czarno. Charlotte pożyczyła mi super miękki golf. W mojej rodzinie nikt nie wie, że gram w orkiestrze, myślą, że jestem w chórze. Wyjmujemy instrumenty, przygotowujemy je. Dorośli są tak samo podenerwowani jak dzieci. Mój duet z Ywes'em *Danny Boy* jest zaplanowany jako piąty występ, potem zagram z orkiestrą szósty kawałek, a na zakończenie przejdę za scenę i dołączę do rodziny w głębi sali, i razem z nimi będę słuchała chóru. Zająłm dla nich miejsca, naklejając karteczki taśmą klejącą na plastikowych krzesłach. Charlotte postanowiła przyjechać z tatą samochodem w ostatnim momencie, żeby nikt jej nie potrącił. Wykonuję powoli oddechy brzuszne, które sprawiają, że chce mi się ziewać. Znam obie partytury na pamięć. Inne dzieciaki już występowały przed rodzicami z okazji świąt albo konkursów. Mnie tata zobaczy po raz pierwszy.

Sala się wypełnia. W końcu zostają puste tylko te miejsca, które zarezerwowałam. Drzwi w głębi się otwierają. Charlotte ma twarz bledszą od innych. Siadają. Światła gasną.

Orkiestra zaczyna grać pierwszą melodię, puzony, trąbki, kornet, saksofony i bębny, to jest święto. Czekam spokojnie za sceną, patrząc, jak grają inni. Armelle wchodzi z boku, mówi coś do ucha Jacote, a ona przekazuje to Ywesowi. Ten przestaje grać i znika w cieniu. Przywołuje mnie wzrokiem i każe, jak najszybciej zmontować saksofon, potem wraca do grupy, żeby

dokończyć melodię. Zbliża się do mikrofonu.

– Przyjaciele, mała zmiana programu. Jeden z naszych muzyków złapał gumę w deszczu w Port-Mélite, pojedziemy po niego, a przecież nie przewidywaliśmy wykonania *Singing in the rain!* Dlatego nastąpi zmiana programu. Teraz przejdziemy do melodii, która miała być grana jako piąta. To duet pianino i saksofon altowy.

Słucham go, składając instrument.

– Pomme, prosimy.

Mam wilgotne dłonie, suche usta. Ywes siedzi przy pianinie, czeka na mnie. Cała sala oczekuje naszego występu.

Ywes gra pierwsze takty *Danny Boy*, jak to było przewidziane. Saksofon ciąży mi na szyi, sznurek wpija się w skórę, mam ciepłe palce, ale muzyka mi pomoże. Nie patrzę na rodzinę, myślę tylko o jednym – o drzeniu, które powtarza się zawsze, o magii tej czarowniczej melodii. Palce Ywes’a biegają po klawiszach, układam usta na ustniku i znane mi nuty wybiegają cudowne... Nie? Nie.

Moje serce wybucha. Mam palce na dobrych przyciskach. Mam muzykę w głowie, nie za dużo ustnika, nie ściskam zębów, dmucham i nic. Nic a nic, zupełnie nic, wcale a wcale. Słyszać tylko pianino. Mój saksofon robi tylko szszsz, coś jak szum morza, jakby był zepsuty albo zatkany. Szaleję, ktoś zrobił mi głupi kawał? Mój saksofon nie chce grać dla taty. Zdenerwowałam go? Ywes nie może mi pomóc, bo siedzi przy pianinie. Więc cały ten wysiłek na nic? Dmuchać i znów szszsz. Z głębi mojego nieszczęścia patrzę na tatę. Siedzi w oddali i rozmawia z Charlotte. Ma mnie gdzieś. To było dla niego, to jego melodia. Nie jestem ani Sidney Bechet, ani Stan Getz, których Ywes dał mi posłuchać, ale rano jeszcze umiałam zagrać *Danny Boy*. To było zbyt piękne.

Ywes sprawia, że jego pianino tańczy, inni nic nie rozumieją, niektórzy

myślą, że to żart. Zaciskam zęby, ściągam z szyi sznurek, kładę saksofon na podłodze i schodzę ze sceny. Jest mi strasznie wstyd. Uciekam w ciemności, aż do drzwi. Zamykam je w momencie, kiedy cichnie pianino, kiedy wybuchają oklaski, które nie są przeznaczone dla mnie. Idę w ulewnym deszczu. O mało nie wpadam pod samochód, który oświetla moją błyszczącą od deszczu sylwetkę. Biegnę schronić się do Lou.

Siadam na cmentarnym kamieniu. Chciałam być sprytna, byłam groteskowa. Ukryję się, aż tata wyjedzie dziś wieczorem. Kładę się na plecach i patrzę na niebo, gdzie przeprowadziła się Lou. Jestem mokra i skostniała. Wrzeszczę, kiedy jakaś ręka kładzie się na moim ramieniu.

– Nie bój się, to ja!

Tata ma wielki parasol i trzyma go nad nami.

– Przeziębisz się, zdejmij ten golf.

– Należy do Charlotte, nie mam nic pod spodem.

– Nikt nie będzie patrzył. Włóż mój sweter zamiast niego.

Zdejmuję golf, który wydaje się mokrą szmatką. Wkładam wielki sweter taty, jego rękawy zwisają z moich rąk. On zostaje tylko w lekkim polo. Zimno nam.

– Wracamy do ciepła, ale musisz skończyć to, co zaczęłaś. Pamiętasz, co zawsze mówiła Lou? Co musisz zrobić, kiedy spadniesz z konia?

– Trzeba natychmiast znów wsiąść, ale saksofon to nie koń. Wcale nie jestem zdolna. Ywes mnie okłamał.

– Saksofon to bestia, która potrzebuje stroika, kochanie. Zapomniałaś o nim.

– Co?

Kładzie delikatnie walizeczkę na grobie obok.

– Możesz potrzymać parasol?

Oślaniam nas troje: tatę, instrument i siebie. Tata montuje saksofon z pewnością, jaką daje przyzwyczajenie, ale nie wkłada stroika. I to robi

szysz. Szum morza. Dokładnie tak jak na scenie.

– Widzisz? Bez stroika nie ma wibracji, nie ma dźwięku.

Rozumiem. Myślałam, że mam mnóstwo czasu, ale jeden z muzyków odpadł i zostałam wypchnięta na scenę. Tata podaje mi pudełko ze stroikami, potem ceremonialnie skłania się przede mną.

– Mogę odzyskać mój parasol? Wchodzisz na scenę za dwie minuty.

– Nie wrócę tam!

– Zagrasz tutaj, dla Lou i dla mnie.

Stoję z otwartymi ustami.

– Nie mów, że się boisz!

Jestem moką dziewczynką, a nie zmokłą kurą. Łapię stroik, wydaję z pudełka, nawilżam językiem, wkładam do ustnika, skręcam maszynkę. Mokre włosy spadają mi na twarz, tata zakłada mi je za uszy. Jest tu, ogromny z parasolem, który nas chroni. Rękawy swetra skręcają się, tata podwija je na moich ramionach.

– Słuchamy cię – mówi.

Nie potrzebuję partytury. Wkładam ustnik w usta. Melodia *Danny Boy* rozlega się w ciszy cmentarza spod parasola.

Ziemia znów zaczyna się kręcić. Saksofonowi wszystko jedno, że jestem mokra od deszczu. Opowiada o miłości, o przyjaźni i o celtyckiej ziemi, takiej jak Bretania. Marynarze, którzy tu spoczywają, poznają tę melodię z przeszłości, śpiewaną w bistrach po drugiej stronie oceanu. Tata słucha wsparty na Lou.



2 LUTEGO

Charlotte, wyspa Groix

Tata wrócił do pracy do Paryża. Wcześniej byłam arogancka i marudna, teraz czuję się wrażliwa. Wróg jest pod moją skórą, w mojej piersi, wróg to ja sama.

– Masz podkrążone oczy – niepokoi się mama.

– Jo mógłby zawieźć nas samochodem na plażę. Pooddychałabyś świeżym powietrzem – proponuje Pomme. – Dlaczego cały czas siedzisz w zamknięciu?

– Jeżeli się ze mną nudzisz, nie trzymam cię tu. Idź, baw się ze swoimi przyjaciółmi, którzy mogą biegać i śmiać się.

– Od przyjazdu tutaj ani razu nie widziałaś oceanu!

Ona nie wie, że codziennie patrzę na port dzięki kamerze internetowej. Nie boli mnie, kiedy bije moje serce. Boli mnie przy oddychaniu z powodu żeber, które musieli przeciąć, żeby się do niego dostać i je zeszyć. Dziadek mi powiedział, że to trochę jak w szafie, kiedy trzeba rozsunąć T-shirty, żeby dostać się do swetrów, które wiszą z tyłu.

– Radość życia wypadła ci z kieszeni w Trou de l’Enfer? – pyta Pomme, żeby zmusić mnie do reakcji.

– Można by powiedzieć, że to pierwsze zdanie z jakiejś powieści – mówi ciocia Sarah.

Jest smutna, bo Federico dziś odjeżdża. Dziadek codziennie mnie osłuchuje i rozmawiamy.

Od mojego wypadku interesuję się tym, co ludzie mają w głowach, dlaczego mają przyjaciół albo ich nie mają, dlaczego można być królem świata,

a chwilę potem być nadzianym na krzak, jak to się dzieje, że człowiek się zakochuje?

– Twoje serce działa jak szwajcarski zegarek. To wszystko wkrótce będzie tylko bardzo, bardzo złym wspomnieniem – mówi dziadek.

– Czuję się samotna. Kiedy babcia tu była, wszyscy byli samotni, tylko nie wy oboje. Nawet kiedy odeszła, jesteście razem. Sarah ma Federico. Pomme ma swoją mamę. Tato i mama znów śpią razem, odkąd w porcie się całowali, jakoś teraz chrapanie jej nie przeszkadza. A ja nie mam nikogo, no oprócz Hopla.

– A co twoi rodzice robili w porcie?

Opowiadam mu to, co widziałam na kamerze internetowej.

– Sądysz, że twój tata i ciocia Sarah są szczęśliwi? – pyta zachłannie dziadek.

Przytakuję. To wygląda tak, jakby sprawiało mu to przyjemność.

– Wy wszyscy macie teraz wiosnę, a ja mam zimę – precyzuję.

– W ich życiu jest piękna i ciepła pogoda, a ty marzniesz w swoim, o to chodzi?

– Nie mogę oddychać.

– Ależ możesz! Boisz się to robić, bo to boli. Przyjdzie taki dzień, kiedy się obudzisz i nie będziesz zdawać sobie sprawy z tego, że wdychasz i wydychasz powietrze, że w ogóle oddychasz.

Kładzie delikatnie rękę na bliźnie, która tak przeraża mamę i tak fascynuje Pomme.

– W twoim życiu będzie wiosna, zanim jeszcze nadejdzie wiosna.



Sarah, wyspa Groix

Federico kupił torbę, żeby zastąpić tę, którą dał Pomme. Nie lubi pożegnań.

– Idź stąd, Sarah, bo jeżeli nie, to nie wsiądę na ten statek i stracę pracę.

– Jeżeli marzysz o doskonałej włoskiej rodzinie, gdzie *mamma* robi *pasta* dla *bambini*, pomyliłeś adres – mówię, żeby postawić sprawy jasno.

– Nie mam żadnych konkretnych marzeń, szukałem odpowiedniej osoby. W Rzymie ludzie na ulicy są „fellinowscy” i nie robią tego celowo. Tu wyspiarze z Groix nie udają, że są wyspiarzami. Oni po prostu nimi są. To, że są otoczeni oceanem, zmienia perspektywę. To, że poznałem ciebie, zmieniło moją.

– Nie chcę, żebyś się poświęcał!

– Raz dwa trzy – mówi Federico. – W Wenecji strażnicy miejscy, kiedy robią obchód, przyklejają karteczki na drzwiach domów i na bramach sklepów, aby udowodnić, że tam byli. Mam ochotę poprzyklejać karteczki z twoim imieniem wszędzie w moim życiu. Wracam do Paryża za miesiąc.

To długi miesiąc. Nie dam rady czekać aż tak długo.

– Jaki kolor ma twój pokój?

– Pompejański róż.



Pomme, wyspa Groix

W tamtej chwili nie zwróciłam uwagi na to, co powiedziała nam ciocia Sarah, ale potem jej słowa do mnie wróciły.

Wpadam jak trąba powietrzna do Charlotte, wykrzykując:

– Mam pomysł!

Włosy mam tak nastroszone jak włosy Jo, bo właśnie zdjęłam берет. Moja siostra, pięknie uczesana ze swoimi złoconymi spinkami, leży skulona.

- Spałam – narzeka.
- Masz dziewięć lat, jesteś za stara na leżakowanie.
- Jestem rekonwalescentką.

Jo opowiadał mi o depresji anaklitycznej, depresji małych dzieci przebywających długo w szpitalu. Oddzielone od matek, popadają w regresję i po prostu umierają. Charlotte była przyzwyczajona, żeby mama traktowała ją jak małe dziecko. Czuła się chroniona na reanimacji, potem kardiologii, ale tu znów uczestniczy w życiu i jest tak delikatna jak skorupka jajka.

- Mój pomysł na pewno ci się spodoba! – mówię wesoło.
- Nie powinnaś mnie budzić. Kiedy śpię, zapominam, że jestem zamknięta w tym pokoju.
- Powinnaś rozprostować nogi.
- Boli mnie, ledwo zrobię trzy kroki. Sama w maju przebiegniesz *La Groisillonne* ¹.

- Spacer, który ci proponuję, nie zmęczy cię.

Deklamuję:

– „Radość życia wypadła ci z kieszeni w Trou de l’Enfer”. Ciocia Sarah powiedziała, że to przypomina pierwsze zdanie z powieści. Nie możesz się ruszać, ale możesz żeglować na skrzydłach słów. Napiszemy nowelę na cztery ręce, tak jak do nagrody Prix Clara de Lou. Nie patrz na mnie tymi cielecymi oczkami, bo zacznę wierzyć, że przeszczepili ci bawole serce.

- O czym będzie ta twoja nowela?
- Nie moja, twoja! O czym zechcemy – mówię.
- Dlaczego nie o wypadku?

Zastanawiam się.

- Można by go opisać z dwóch punktów widzenia: twojego i mojego.
- A gdyby to moje serce było bohaterem opowieści?

Rozumiem, co chce powiedzieć. Kiedy byłam mała, Lou dała mi książkę,

w której główną bohaterką była kropla wody. Opowiadała o swojej podróży po rurach i kranach, o tym, jak trafiła do wanny, a potem spotkała się z morzem.

– Serce narratorem, świetny pomysł!

– *Cool* – oznajmia moja siostra. – Dziadek mówił, że serce jest jak dom z czterema pokojami. Wchodzi się przez przedsionki, a wychodzi przez komory. Trzeba znaleźć tytuł.

– *Yolo! You Only Live Once!*

Oczy Charlotte błyszczą, jest mniej blada.

Próbuje przybić mi piątkę, aby przypieczętować układ. Zatrzymuje się w połowie gestu z grymasem.

Albane zagląda przez drzwi.

– Niczego nie potrzebujecie, dziewczynki?

– Nie, dziękuję – mówi moja siostra, uśmiechając się po raz pierwszy od dłuższego czasu.



Albane, wyspa Groix

Gubię się w labiryncie uliczek, kręcę się w kółko, za każdym razem wracając pod kościół Notre-Dame-de-Plasmanec. Locmaria była najludniejszą wioską na wyspie, zanim pod koniec XIX wieku rozwinęło się Port-Tudy. Mój teść powiedział, żebym skręciła za placem do młócenia zboża, ale jak wygląda taki plac? W końcu docieram na miejsce.

Siadam przed kominkiem. Maëlle podaje mi herbatę. Wyglądam, jakbym ją piła, więc często mi ją podają, choć jej nie lubię.

– Powinnyśmy przeprowadzić tę rozmowę dziesięć lat temu – mówię bez

zastanowienia.

– Wiedziała pani, gdzie mnie znaleźć.

– Mój mąż wciąż panią kochał.

– To była wakacyjna miłośćka, nie taka na całe życie, Albane. Gdyby naprawdę nam na sobie zależało, bylibyśmy razem wbrew wszelkim przeciwnościom losu. Lou opuściła swój zamek dla Jo, on opuścił dla niej wyspę. Cyrian i ja zostaliśmy każde przy swoim.

– Poślubił mnie, bo byłam w ciąży.

– Mnie też poślubiłby z tego powodu. Niech pani zapomni o przeszłości, Albane. On panią kocha. Spanikował na samą myśl, że może panią stracić. Kocha go pani nadal?

Powoli kiwam głową.

– Pani Pomme była bohaterką, uratowała życie mojej córki. Nigdy nie zdołam jej się odwdzięczyć.

– Działała instynktownie.

– Chcę coś zaproponować Cyrianowi, najpierw jednak chciałam zapytać panią o zdanie. Możemy mówić sobie na ty?

– Słucham cię – odpowiada Maëlle.

1. Bieg po ścieżkach wyspy. [\[wróć\]](#)



5 LUTEGO

Jo, wyspa Groix

Nie wiem, co kombinują moje wnuczki, ale Charlotte znów się zaróżowiła. Je, oddycha i nawet nie zdaje sobie z tego sprawy. Pomme i ona wybuchają śmiechem, Hopla też odzyskał radość życia.

Cyrian przyjeżdża pociągiem, płynę po niego do Lorientu razem z Pomme na „Lou de mer”. Wskakuje na pokład, trzymając w ręku dwie prostokątne walizki: jedną czarną, drugą szarą. Tę podaje Pomme, a ona robi się czerwona jak pomidor.

– To Yamaha, kupiony okazji, wiele przeszedł. Ma ciepły, delikatny dźwięk. Szukał właśnie ciebie, dodałem do niego ustnik Selmera.

Pomme rzuca się w ramiona ojca i tam, w tym momencie mówię sobie: „Dałem radę, Lou. Nasze dzieci i wnuki są szczęśliwe. Nie wiem, jak długo to potrwa, ale to jest cudowne”.

W domu wchodzę na konto Google i dezaktywuję alerty, potem zbieram rodzinę w kuchni.

– W listopadzie zeszłego roku notariusz, ten od krokodyla, przeczytał wam część testamentu waszej matki, a potem kazał wam wyjść. Reszta dotyczyła już tylko mnie. Pokazał mi butelkę, w której zostawiła dla nas list. Jutro po nią pojedę.

– Nie mogłeś zrobić tego wcześniej? – dziwi się Cyrian.

– Nie, ale teraz już mogę.

– Pojedziemy z tobą? – proponuje Sarah.

Odrzucam jej propozycję. Muszę pojechać tam sam.

Wieczór jest intensywny. Pomme ćwiczy na swoim nowym saksofonie, gra w duecie z ojcem. Doskonale im to wychodzi, mimo że nigdy nie ćwiczyli razem. Patrzą na partyturę, spoglądają na siebie nawzajem, wibrują jednocześnie. Jestem pod wrażeniem. Mam nadzieję, że ich słyszysz tam, gdzie teraz jesteś, moja przybracielko.

– Jak nazwiesz swój saksofon? – pyta Cyrian, składając swój instrument.

Pomme konsultuje się z Charlotte i natychmiast odpowiada:

– Clara!

Wychodzę popatrzeć na niebo. W Paryżu niczego nie widać z powodu zanieczyszczenia, tu śpimy pod wielkim płaszczem usianym gwiazdami. Twój „apetyczny ogródek” nie przeżył ciebie, zapomniałem o nim. Trochę mi wstyd, bo wszystko przepadło: bazylia, mięta, szczypiorek, szalwia i majeranek, werbena, melisa, tymianek cytrynowy i twoja ulubiona roślina *marensa maritima* – ostrygowe liście, które jedzone na surowo mają smak ostryg, ale nie ich teksturę.

Znów myślę o nocy, kiedy znalazłem cię w moim gabinecie. Gdybym się nie obudził i nie stwierdził, że cię nie ma, albo gdybym czekał w łóżku, aż wrócisz i miałabyś dość czasu, żeby zrobić to, co zaplanowałaś, dziś wieczorem nie byłoby tu nas...



OSIEM MIESIĘCY WCZEŚNIEJ

Jo, wyspa Groix

Wychodzę przejść się wzdłuż brzegu. Idzie ze mną Bertrand, Jean-Luc i Marie-Christine. Kiedy wracam do miasteczka, twoje ręce i twarz Pomme są poparzone. Pomme miała świetny pomysł, żeby użyć zimnej wody na wasze oparzenia, ale nie pomyślała o biafine. Smaruję was nim, dziękując Bogu, że nie jest gorzej.

Badam jej oko oftalmoskopem, bandażuję twoje ręce, daję wam analgetyki, wrzeszczę na tego, kto doprowadził do katastrofy – kota Triborda – jak na wredną paskudę. Odwraca się do mnie plecami upokorzony.

Następnej nocy budzi mnie hałas. Wyciągam bezwiednie rękę na twoją stronę. Nie ma cię w łóżku, a prześcieradło jest zimne. Wyruszam na poszukiwania po uśpionym domu. Znajduję cię w swoim gabinecie, w koszuli nocnej, drżącą z zimna. Siedzisz w moim fotelu, twoje obandażowane ręce zaciśnięte są na mojej strzelbie łowieckiej, pudełko z nabojami leży otwarte na biurku, lufa verney-carron wycelowana jest w twoją szyję.

– Co ty robisz, Lou?

– Kim pan jest?

Lodowata dłoń ściska mi serce.

– Lou, odłóż broń...

– Niech się pan nie zbliża!

– Lou, to ja, Jo, twój mąż.

– Uprzedzam pana, że jest naładowana!

Nie rozpoznaję twojego głosu, jest niski i przerażony.

– Proszę cię, kochanie...

Zbliżam się i zdarza się to, co jest wręcz nie do pomyślenia – odwracasz broń w moją stronę. Celujesz we mnie. Przystaję się poruszać.

– Ej, spokojnie!

Łza ścieka ci po policzku, podczas gdy wzmacniasz uchwyt. Jeżeli strzelisz na tej wysokości, kula trafi mnie w klatkę piersiową, moje serce eksploduje. Jeżeli strzelisz niżej, trafi w brzuch. Helikopter zabierze mnie do Lorientu, wezmą mnie na stół, prawdopodobnie im tam umrę. Może kula trafi w rdzeń kręgowy i całą resztę życia spędzę na wózku. Będę mógł go do siebie dostosować i ścigać się z Sarah.

Uśmiecham się do ciebie mimo przerażenia. Wtedy coś się dzieje. Nagle zaczynasz kontaktować. Twoje neurony znów zaczynają działać. Twój mózg robi to, co do niego należy, twoja pamięć klasyfikuje, układa i wracasz na odpowiednie tory. Mówię czule:

– Lou?

W twojej twarzy widać przerażenie. Patrzysz na strzelbę w swoich poparzonych dłoniach, na pudełko nabojów, potem odkrywasz mnie po drugiej stronie lufy, szybko kierujesz broń do góry, ja ci ją zabieram, łamię i wydaję nabój.

– Straciłam rozum, Jo?

Usiłuję nadal się uśmiechać.

– Sprawiałaś, że ja straciłem rozum za pierwszym razem, jak cię zobaczyłem. Nigdy już go nie odnalazłem.

– To nie Tribord przewrócił wrzącą kawę, Jo. To ja.

Zmieniam się na twarzy.

– Dobrze słyszałeś. To ja o mało nie oślepiłam Pomme, mój przybracielu. Nie rozpoznałam swojej własnej wnuczki. Chciałam ją odepchnąć.

– Spałaś czy cię przestraszyła?

– Nawet nie. Mam w pamięci czarne dziury i białe przepaście. Nie wiem, kim jestem ani gdzie jestem. Dlatego wzięłam broń, żeby mieć pewność, że więcej was nie skrzywdzę.

Siadam przy tobie, a ty wtulasz się w moje ramię.

– Pójdiesz na badania, będziemy cię leczyć, wyzdrowiejesz...

– Nie umiesz kłamać, ukochany. Jestem żoną lekarza, tego nie da się posmarować. Słyszałam, jak tysiące razy mówiłeś: „Tu już nic nie da się zrobić” albo „Nie chciałbym być na miejscu jej rodziny”. Nie boję się o siebie, ale o was.

– Jestem tu, będę cię chronił!

– To może mi się zdarzyć w każdej chwili, za kierownicą, na ulicy, w kuchni przy zapalonym gazie, na statku.

– Ani na chwilę nie zostawię cię samej.

– Nie jesteś moją niańką! Chciałam to skończyć porządnie, za pomocą twojej strzelby, ale nagle w mojej pamięci pojawiła się pustka. Czy do ciebie mierzyłam?

Przerażona kładziesz swoje obandażowane ręce na głowie. Wyglądają jak uszy małego króliczka, małego, szalonego, ślicznego króliczka.

– O mało cię nie zabiłam?

Nie płaczesz. Jesteś ponad to na tym monstrualnym terytorium, w którym się zagłębiasz coraz bardziej każdego dnia i gdzie ja nie mam wstępu mimo naszej miłości.

– A jeżeli którejś nocy, gdy będziesz spał obok mnie, zapomnę, kim jesteś?

– Schowam broń.

– Nie tylko broń może być niebezpieczna. Wrząca woda, gaz, noże, nożyczki, ogień!

– Uspokój się, kochanie.

– Śpiący zawodnik sumo jest tak samo bezbronny jak mrówka. Zresztą nie

tylko ty tu jesteś, jest jeszcze Pomme. I Maëlle! Jest Charlotte, Cyrian i Albane, kiedy tu przyjeżdżają. Jest Sarah! Nie chcę kiedyś po obudzeniu odkryć, że poraniłam albo zabiłam któreś z was!

– To się nie wydarzy – mówię.

– Chcesz mi udowodnić, że mnie kochasz? Oddaj mi strzelbę.

– Na pewno nie!

– Jest inne wyjście, przybracielu.

– Tak, możesz się leczyć.

– Nie opowiadaj bzdur. Jest za późno. Chcę skorzystać z czasu, jaki mi został, ale pod jednym warunkiem.

– Tak?

Zatapiasz swój wzrok w moich oczach i wymawiasz dwa słowa, które nie powinny cię dotyczyć w wieku pięćdziesięciu sześciu lat:

– Dom opieki.



6 LUTEGO

Jo, wyspa Groix

Zabiłem cię, nie pozwalając ci się zabić osiem miesięcy temu, Lou. Zaakceptowałem to, co było mniej straszne.

Twój umysł gdzieś się wyprowadził, a ty przeprowadziłaś się do domu opieki. Stworzyłem z kolegami Stowarzyszenie Pomocy Żonom Kiepskich Mężów, ale nie dałem rady pomóc tobie.

Dziś twój notariusz ma na sobie koszulkę polo bez krokodyla. Jest tak samo czerwona jak Joseph na moich ramionach. Zmierzam prosto do celu.

– Moje dzieci są szczęśliwe – mówię mu.

Otwiera szufladę i podaje mi butelkę. Wpycham ją do kieszeni mojego płaszcza.

Taksówka odwozi mnie na dworzec morski. Piosenka Jean-Louisa Auberta *Alter ego* brzęczy mi w głowie od samego rana. Nucę ją, idąc do magazynu, który stoi obok parkingu, gdzie samochody wjeżdżają na prom. „Brakuje mi czasu na życie, brakuje mi czasu całego, brakuje mi ciebie, bo jesteś moim alter ego”. Pozdrawiam kierowców ciężarówek i marynarzy, pytam, czy któryś z nich ma pęsetę. Pożyczają mi.

Siadam z dala od nich na skale. Siłuję się z korkiem, lak się kruszy, odpada w czerwonych jak krew kawałkach. Odkorkowuję butelkę, podkładam ją natychmiast do ucha. Wspomnienie twojego głosu pieści moje policzki, echo twoich słów rozpływa się na wietrze. Przysięgłbym, że powiedziałaś mi właśnie, że mnie kochasz.

W środku są dwie kartki papieru. Nasz kontrakt i twój list. Usiłuję je wyjąć,

ale moje palce są zbyt grube. Mógłbym uderzyć butelką o skałę i ją rozbić, ale nie dość, że ja bym się poranił, to okruchy szkła potem mogłyby poranić dzieciaki albo spacerujące tu psy.

Wkładam rękę do kieszeni, żeby wyjąć okulary.

– O cholera!

Zostawiłem je na Groix. Ty miałaś świetny wzrok, a ja bez okularów się gubię. Zestarzeję się, a tobie nie przybędzie ani jedna zmarszczka. Stanę się wiekowym wdowcem, podczas gdy ty będziesz wciąż młodą zmarłą. Jeżeli pożyję jeszcze dwadzieścia lat, będę w takim wieku, że mógłbym być twoim ojcem. To prawdziwe męki Tantala. Mam twoje słowa na wyciągnięcie ręki, ale nie mogę ich ani dotknąć, ani przeczytać. Zamykam więc oczy i wracam do tego, co się stało dziesięć lat temu, w dzień letniego przesilenia.



DZIESIĘĆ LAT WCZEŚNIEJ

Jo, wyspa Groix

– Za miłość! – powiedziałem, zatapiając swoje oczy w twoich w wieczór letniego przesilenia w Grands Sables.

– Patrz na mnie, wznosząc toast, Jo, bo jak nie, to siedem lat bez seksu!

Ugiąłem się pod tą groźbą. Poprosiłaś, żebym pomyślał o jakiejś piosence na ten dokładnie moment. Zanuciłem *Wyspa między niebem a Lou*. Ty odpowiedziałaś: „Opiewaj życie, opiewaj tak, jakbyś umrzeć jutro miał”. Byłaś smutna, twój dziadek, człowiek światły i ciepły, właśnie zmarł z niedołączniały i agresywny. Miałaś żal do jego lekarzy, zarzucałaś moim kolegom po fachu bezsensowny terapeutyczny upór. Powiedziałaś do mnie z powagą:

– Chcę móc na ciebie liczyć, Jo.

– Możesz, oddałbym za ciebie życie.

– Ale czy byś mi je odebrał? Bijesz się o swoich pacjentów. Chcę, żebyś mi przysiągł, że mnie uratujesz, jeżeli kiedyś będzie to konieczne, gdybym stała się taka jak dziadek.

– Od czego mam cię uratować? Od tej piaskowej pchły, która wpije ci się w łydkę?

Krzyknęłaś, delikatnie podciągając nogi.

– Umiesz leczyć, Jo, umiesz skrócić cierpienie. Wstrzyknęłaś coś temu mężczyźnie bez głowy.

Byłem młodym internistą w SAMU, właśnie odebrałem pierwszy poród domowy, byłem oszołomiony. Znalazłem się w tłumie, przed jakimś

samochodem, którego kierowcą był starszy człowiek. Nie zapiął pasów bezpieczeństwa i teraz prawie nie miał głowy. Miał co prawda usta, ale nic ponadto – ani nosa, ani spojrzenia, ani włosów. Jego czaszka rozprysnęła się, jego mózg rozmazał się po całej szybie, ale serce wciąż biło. Brzuch miał zapadnięty, nogi wkręczone w blachy samochodu, ale ręce nadal trzymały kierownicę. Dużo palił i dużo pił. Jego chore organy nikomu by się nie przydały. Jego żona, podobna do mojej babci, została wyjęta z samochodu oszołomiona. Powoli wracała do siebie, powtarzając co chwila: „Jak się czuje mój mąż? Był jeszcze pijany, zasnął za kierownicą, prowadząc. Jak się czuje mój mąż?”.

Nie chciałem, żeby zachowała w pamięci potworną wizję starca bez twarzy i nóg, pokaleczonego ciała i oscyloskopu, który wciąż powtarzał swoje bip, bip, podtrzymując iluzję życia. To był widok nie do zniesienia. Wstrzyknąłem mu coś, co w kilka sekund zatrzymało jego serce. Teoretycznie go zabiłem. Zabiłem człowieka, który był już martwy, ale jakby w zawieszeniu, zabiłem klatkę piersiową, która jeszcze drżała.

Tego wieczora opowiedziałem ci o tym. Potem się upiłem. Nie usiadłem za kierownicę, upiłem się bezpiecznie, w domu, w twoich ramionach i nigdy nikomu oprócz ciebie nie opowiedziałem o tym zdarzeniu.

– Nie jestem z tego dumny, ale też nie żałuję tego. O co ci chodzi?

– Jesteśmy razem szczęśliwi, mój przybracielu, ale kto wie, co przyniesie przyszłość? Jeżeli dostanę nieuleczalnej choroby, jeżeli będę odczuwać śmiertelny ból albo stanę się głupia i zaśliniona... Chcę, żebyś mi przyrzekł, że pomożesz mi odejść.

– Oszalałaś!

– Tak, na twoim punkcie! A ja ci przyrzekam, że zrobię to samo, jeżeli mnie o to poprosisz. Jeżeli nie, to będę cię pielęgnować z największym oddaniem i będę nosić seksowną bieliznę aż do samego twojego końca. Nie znoję

jednak myśli, że mogłabym kiedyś gasnąć powoli, nie pamiętając nawet, że cię kocham.

– Jestem lekarzem, nie zabijam ludzi. Ja ich ratuję! Mężczyzna, o którym wspomniałaś, był już potencjalnie martwy. Jeżeli kiedyś będziesz w podobnym jak on stanie, obiecuję, że zatrzymam bicie twojego serca... Pasuje?

Pokiwałaś głową z wściekłością, to ci nie wystarczało. Twój dziadek, jedyna osoba z twojej rodziny, która mówiła ci o matce, nie zasłużył według ciebie na to, co się z nim stało. Na próżno próbowałem przywieść cię do opamiętania.

– Dlaczego przejmujesz się tym w wieku czterdziestu sześciu lat?

Do późna zostaliśmy nad morzem, przytuleni jedno do drugiego. Jakaś mewa dokończyła nasze kanapki. Nalegałaś, argumentowałaś, zaczęłaś płakać. Ugiąłem się, myśląc, że jeszcze o tym porozmawiamy, że to było tylko takie gadanie w próżnię, że to do niczego mnie nie zobowiązuje.

Pocałowałaś mnie w cudowny sposób, to było „wyzwanie z 21 czerwca”. Wyjęłaś z kieszeni kartkę papieru i napisałaś.

„My, niżej podpisani, Jo i Lou, zdrowi na ciele i umyśle niniejszym kontraktem ze skutkiem natychmiastowym zobowiązujemy się uwolnić siebie nawzajem od życia, jeżeli nastąpi taka potrzeba”. Wpisałaś datę i podpisałaś. Ja także to podpisałem po to tylko, żeby osuszyć twoje łzy. Zwinęłaś kontrakt wokół palca i wsunęłaś go do pustej butelki. Potem ułożyłaś usta wokół szyjki i wyszeptałaś słowa, których nie usłyszałem. Zamknęłaś butelkę korkiem, potem zdrapałaś kawałek etykiety, tak żeby ostatnie litery nazwy nie były widoczne. Zostało tylko *Merci*.



Jo, wyspa Groix

Słońce świeci z błękitnego nieba na prom, żaglowce, rybaków, spacerowiczów, samochody, psy i mewy. Sarah pożyczyła mi swój iPad, słuchałem podczas przeprawy Didiera Squibana grającego *Molène* na pianinie. To mi pomogło. Zdejmuję z uszu słuchawki, wysiadam ze statku, butelka wybrzusza mi kieszeń.

– Eh, Systole! Tato!

Odwracam się. Nasze dzieci przyszły tu czekać na mój powrót. Siadamy na tarasie „L’Escale”, zamawiamy muscadet. Soaz przynosi nam trzy małe szklaneczki, wyjmuję butelkę z kieszeni płaszcza. Ty jesteś tam w środku, jak dzin w lampie. Słowa, które wypowiedziałaś do jej wnętrza, usiadły na brzegu mojego serca.

– Nie udało mi się wyjąć listu waszej mamy.

– Soaz z pewnością ma coś, co nam się przyda – mówi Cyrian.

Wraca z kawałkiem sznurka, który składa na pół. Wpycha pętelkę sznurka aż do samego dna butelki, pochyla ją tak, aby pętelka dostała się pod papier, potem powoli wyciąga sznurek. Rozkładam najpierw kontrakt, którego nie uszanowałem. Potem podaję Cyrianowi list, a on podaje go Sarah, ta zaś czyta go na głos.



11 SIERPNIA

Piszę do Was trojga z mojego pokoju w domu opieki. Wiem, że nie pomożesz mi odejść, Jo, mimo że podpisałeś mój kontrakt. Na co mi było poślubić lekarza?!

Cyrian, Sahar, zrobiłam Wam paskudny żart, przepraszam. Wprowadziłam Was w błąd, celowo każąc Wam wierzyć, że Wasz ojciec mnie zdradził. Oszukał mnie, to fakt, ale mnie nie zdradził. Nie poderwał innej kobiety (ja w żadnym razie o niczym takim nie wiem), choć wcale się nie krępował, patrząc na nie. Dziesięć lat temu w Grands Sables kazałam mu obiecać, że mi pomoże, gdybym któregoś dnia zachorowała na nieuleczalną chorobę, gdybym cierpiała lub gdybym popadła w szaleństwo. Mężczyźni nie umieją oprzeć się łzom. Obiecał. To dodało mi pewności. Wiedziałam, że nie dotrzyma słowa, ale było mi lżej.

Urodziliście się w uprzywilejowanej rodzinie. To miało też i złą stronę, bo rzadko widywaliście ojca. Każde z Was ma swoje blizny i złe doświadczenia, stawiliście im czoło z odwagą.

Chciałam za pomocą mojego dyskusyjnego kłamstwa doprowadzić Was do konfrontacji i zmusić, byście się odsłoniли. Jeżeli mi się udało, stworzyliście więź. Wasz ojciec nie chciał, żebym poszła do domu opieki. Zmusiłam go do tego, dlatego że o mało nie okaleczyłam Pomme, przewracając kafeterkę. Byłam gdzieś indziej i jej nie rozpoznałam.

Byłam skrajnie szczęśliwa dzięki Wam trojgu. Razem z Jo nauczyłam się radosnego szaleństwa życia. Życzę Wam tego samego. Każde paskudne danie, które Wam ugotowałam, doprawione było miłością. Mam nadzieję, że Pomme i Charlotte będą kobietami wolnymi i spełnionymi. To nie dzieci czy

wnuki czynią nas szczęśliwymi, to miłość, którą tworzą, miłość, którą się je otacza, która nas przenika.

Nie wiemy, na co umrzemy, ale możemy zdecydować, jak żyć. Jo, zmusiłam Cię, żebyś lepiej poznał nasze dzieci. To przeszkodziło Ci poddać się i utonąć. Nie dałeś mi się zabić, odpłaciłam Ci tym samym.

Ponieważ tam, na górze, będę przed Tobą, zarezerwuję dla nas najlepszy stolik w restauracji pod rozgwieżdżonym niebem. Miłość do Ciebie to było upojenie. Twoje słowa sprawiały, że chodziłam oszołomiona, ale nigdy pijana.

Dziękuję za Groix, szalenie. Ten kawałek nieba nad wyspą nie jest taki jak inne. Fale, które pieszczą pokruszony brzeg, ziemia, skały, kwiaty janowca, kamienne murki i ludzie z Groix – wszystko jest tu jedyne i niespotykane, cudowne i mocne.

To była wisienka na torcie, nie wisienka na moich przypalonych ciastach ani na magical cake Martine. To była wisienka na tchumpôt. Ko. Uwielbiam Was wszystkich, gast.

Lou



6 LUTEGO

Jo, wyspa Groix

Wracamy powoli, idąc w rytmie kroków Sarah. Właśnie przed chwilą, choć bardzo późno zostałem ojcem. Albane i dziewczynki grają w monopoli w kuchni. Albane kładzie czerwony hotel na ulicy de la Paix i patrzy na Cyriana, który kiwa głową. Potem mówi:

– Albane i ja mamy dla was nowinę.

Drzę. Rozwodzą się? Dziecko w drodze?

– Postanowiliśmy kupić dom na Groix. Byśmy mogli przyjeżdżać podczas wakacji i być bliżej ciebie i Pomme, tato.

Pomme uśmiecha się od ucha do ucha, przypomina Pac-Mana. Ja mówię do tego śmierdziela, mojego syna:

– Robisz ze mnie idiotę?!

– Myśleliśmy, że to ci sprawi przyjemność...

– Mój dom nie jest dość dobry dla was?

Ach, gdybyś zobaczyła jego minę, kochana. Żartuję.

– Żartuję, Cyrianie. Twoja matka nie ma monopolu na głupie żarty. To wspaniała nowina. Proszę cię tylko o jedno: weź jakiś normalny samochód do poruszania się po wyspie, a nie ten twój czołg bojowy, zgoda?

Drzwi wejściowe się otwierają. A przecież jesteśmy już wszyscy?

– Mamy gościa na obiedzie – mówi Albane, dostawiając talerz.

Wchodzi Maëlle i zasiada do stołu, jakby to było coś oczywistego. Cyrian chyba nie jest w temacie, stoi z rozdziawionymi ustami.

– W twoim interesie jest trochę przybrać na wadze, Charlotte – grozi

Albane – bo jak wrócisz do szkoły, uprzedzam cię, będziesz jadła w stołówce!

Charlotte wymienia z Pomme porozumiewawcze spojrzenia. Ja myślę o ostatnim kawałku, którego słuchaliśmy razem w domu opieki – *Après un rêve* Gabriela Fauré z Yo-Yo Ma przy wiolonczeli i myślę sobie, że nawet stołówka jest lepsza od twojej kuchni, moja ukochana.



Lou, tam, gdzie idzie się potem

Ten moment czystej radości tego wieczora w kuchni w miasteczku wart jest każdych pieniędzy. To moment równie wieczny jak nuta zagrana na saksofonie do utraty tchu i tak silny jak przypływ w równonoc. Teraz mogę odetchnąć i odpocząć. Nie jesteście sami. Przyszłość należy do was. Ja mam naszą przeszłość, żeby o niej marzyć i ją wspominać. I muzykę precudownej piękności, aby się w niej zatopić. Bo tam, gdzie jestem, cisza wreszcie oddała miejsce nutom.

Znajduję się na brzegu urwiska pod drogą mleczną, morze jest gdzieś w dole. *Après un rêve* Fauré rozbrzmiewa w noc, zbliżam się do muzyków i śnię. Przy klawesynie siedzi Wolfgang Amadeusz, Jan Sebastian przy organach. Bach zmarł sześć lat przed narodzinami Mozarta, który zmarł pięćdziesiąt cztery lata przed narodzinami Fauré. Barbara, wysoka brunetka, i Reggiani, ten Włoch, siedzą razem z Bowiem, tym Anglikiem. Rodzice zostawili mi miejsce między sobą. Jakiś rybak w marynarskim swetrze uśmiecha się do mnie. Jest podobny do ciebie, Jo. Mały chłopiec podobny do Albane słucha zafascynowany. Fellini tańczy walca z Giuliettą. Ja też już nie jestem sama.

Nasze drogi się teraz rozchodzą, ukochany, ale to nie jest smutne. Szykuję

się do opuszczenia portu bez ciebie, wsiadam na statek, pamiętając wszystko. Jestem koszmarnie słaba z rachunków, ale od dnia Wszystkich Świętych miałam dużo wolnego czasu, żeby policzyć na palcach. Znam dwucyfrową liczbę lat, które spędziliśmy razem. I mającą tysiąc cyfr liczbę naszych wybuchów śmiechu. Utwór Fauré się kończy, Wolfgang i Jan się kłaniają. Publiczność wstaje, aby zatańczyć, każdy do własnej muzyki. Nie ma cię, byś deptał mi po palcach, mój przybracielu. Nie słyszę dźwięku dzwonu jak Clarence, anioł Capry¹. Słyszę niesamowite disco *Ah ha ha ha, stayin' aliiiiiiiiive!*

Paryż, wyspa Groix, Rzym, 2015

Kenavo d'an distro, do zobaczenia wkrótce

1. Chodzi o film *To wspaniałe życie* z 1946 roku. [\[wróć\]](#)

MUZYKA

Audite Silete, Michael Praetorius

Muzyka z filmów Felliniego, Nino Rota

Et puis i La Chanson de Paul, Serge Reggiani/Jean-Loup Dabadie

Pie Jesu, Gabriel Fauré

Une île, Serge Lama

Chante, la vie chante, Michel Fugain

Staying Alive, Bee Gees

Adagio for Strings, Barber, pod batutą Leonarda Bernsteina

Caballitos, Laurent Morisson, do poematu Antonio Machado

Concertos italiens, Bach

Zaczarowany flet, Mozart

Message in a Bottle, The Police

Danny Boy, Frederic Weatherly

Amazing Grace, John Newton

Manu, Renaud

Go West, Swing Cajun, Pat Sacaze

Moc przeznaczenia (uwertura), Verdi

Quand ceux qui vont, Barbara

Cinema Paradiso, Ennio Morricone

Pasja według świętego Mateusza, chór n° 1 et 2, Bach

It's a Wonderful Life (muzyka z filmu), Dimitri Tiomkin

Bianco Natale, Mina

I'll be Home for Christmas, Barbra Streisand

La vie est belle, Frank Capra

Saint James Infirmary, śpiewana potem przez Louisa Armstronga

Le Forban, piosenka marynarska

Mon p'tit garçon, Michel Tonnerre

When Irish Eyes are Smiling, Olcott, Graff et Ball

Quinze marins, Michel Tonnerre

Nous étions trois marins de Groix, piosenka marynarska

Alter Ego, Jean-Louis Aubert

Molène, Didier Squiban

Après un rêve, Gabriel Fauré, z Yo-Yo Ma na wiolonczeli

PRZEPISY

Tchumpôt *Lucette*

Składniki: 1 kg mąki, 2 całe jaja, jedno duże i jedno małe opakowanie *crème fraîche*, 2 jogurty naturalne, 1 paczka ciemnego cukru (ale nie cukru trzcinowego), proszek do pieczenia, rodzynki (albo suszone śliwki), 100 g solonego masła

Do salaterki wsypać mąkę i proszek, zrobić dziurę i dodać odrobinę soli oraz *crème fraîche*, oba jogurty i oba jaja, wszystko wymieszać. Wziąć ściereczkę (upraną, ale bez zapachu środka piorącego), rozłożyć na stole, posypać warstwą mąki. Wywrócić zawartość salaterki i za pomocą ściereczki wyrabiać ciasto, nie dotykając go rękoma (jest lepkie). Uformować ciasto w bochenek, potem podzielić na trzy części. Spłaszczyć każdy kawałek na placek o szerokości od 15 do 20 centymetrów średnicy.

Na środek wysypać cukier, ma być go tyle, ile zajęłyby dwie tabliczki czekolady (2-3 centymetry grubości). Na brzegach zostawić 1,5 centymetra bez cukru.

Dodać kawałki solonego masła, suszone winogrona lub śliwki, zmoczyć brzegi i skleić jak coś w rodzaju pieroga. Nie dziurawić. Każdy z pierogów zawinąć w papier lub liść kapusty albo w ściereczkę (bez zapachu). Nie ścisnąć, bo nie urosnie. Związać jak cukierek. Zagotować wodę i posolić. Zanurzyć w niej *tchumpôt* i gotować dwadzieścia minut. Wyjąć, uważając, by nie przedziurawić. *Tchumpôt* robi się, dopiero kiedy goście są na miejscu. Szybko twardnieje, podaje się go w plastrach. To, co zostanie, podaje się następnego dnia w plastrach, podsmażone na słonym maśle.

Zupa Mirelli z restauracji „Al Cantuccio” w Rzymie

Składniki: fasola (do łuskania albo łuskana), prawdziwki, kasztany jadalne obrane, cebula, seler, marchewka, czosnek, papryka, surowa podsuszana szynka, oliwa z oliwek, sól i chleb pełnoziarnisty

Namoczyć (wieczorem po umyciu fasolę na całą noc), dodając marchewki, cebulę, seler, czosnek – wszystko cienko pokrojone.

Nazajutrz ugotować wszystko w tej samej wodzie, mieć w pobliżu garnek z wrzącą wodą. I dolewać w miarę potrzeby, aby poziom wody się nie zmniejszał. Kiedy fasola jest miękka, dodać prawdziwki delikatnie podsmażone na oliwie z oliwek z ostrą papryką.

Wziąć kasztany, posiekać szynkę albo bekon nożem, wymieszać wszystko razem. Wymieszać fasolę, siekaną szynkę, prawdziwki i kasztany jadalne, wszystko polać oliwą.

Zrobić tosty z chleba pełnoziarnistego. Podawać zupę na talerzach z tostami.

PODZIĘKOWANIA

Niezmiernie dziękuję Héloïse d'Ormesson i Gilles Cohen-Solal, Sarah Hirsch, Roxane Defer, Anne-Marie Bourgeois, całej ekipie EHO, to czysta, wspaniała radość móc z wami pracować.

Bardzo dziękuję Nicole de Pol i Christine Soler za dom na wyspie, Jean-Pierre'owi i Monique Poupée za to, że mogłam z nimi dzielić towarzystwo ich przyjaciół, wszystkim z „bandy z siódmego” Fred, Mylane Corvest za bransoletkę, Lucette Corvec za *tchumpôt*, Brigitte Adam, Jo nav, Jo Le Port, Soaz, która stała się Françoise, i blogowi Anity z Groix.

Specjalne podziękowania dla Anne Gosciny za odnalezienie się naszych ojców.

Proszę, by podziękowania przyjęli: Éric Frachon za Frachon na ramionach, moja mama za róże z Keryargon, doktorzy Catherine Ferracci, Claude Fuilla, Sandrine Paquin za ekspertyzę medyczną,

Ywes Ballan, Amandine Jendoubi, Renata Parisi, Antoine-Basile za emocje związane z saksofonem,

Thierry Serfaty za książki, w których mnie morduje, Grégoire Delacourt za śmiech, Évelyne Bloch-Dano za Illa, Valérie Lejeune za śmierdziela, Caroline Vié za tatuaże, Sylvie Overnoy za mówiący patyk, Jean Failler za Mary Lester, François Boulet za Charlesa,

Yveline Kuhlmei za odkorkowany cydr, Christel Pernet za przybraciela, Nausicaa Meyer za żywy głos, Didier Piquot zawsze, Martine Pilon za *magical cake*, Mathilde Pouliot za *burraco*, Philippe Chambon za New York, Isabelle Preuvot za delikatność, Silvia i Alessandro za moją wnuczkę Livię.

Dziękuję motylowi wytatuowanemu na moim ramieniu i mojemu cockerowi Urielowi, który ma gdzieś, czy mówię *number one* czy *number two*,

Proszę, by podziękowania przyjęli: Christian Fouchet, Hughes Ternon, Alberte Bartoli, Isabelle Redier – brakuje mi was; moja ciotka Talel, która karmiła bezdomnych z Saint-Germain-en-Laye, którzy dzwonili do naszej bramy nocą.

Podczas pisania tej książki żadne zwierzę nie doznało uszczerbku, butelki zostały opróżnione, muzyka odsłuchana i zagrana. Miałam bilet w jedną stronę na Groix każdego ranka, kiedy włączałam komputer. Kocham tę wyspę.